LIOTE

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

FELIKS BRODOWSKI

LIOTE

NOWELE

LIOTE — DZIECIĘ SYMCHY
PO NAD WSZYSTKIEM! — TOMASZ SITOK
PO CO DZIEŃ ICH BUDZI...

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1905

Дозволено Цензурою.
Варшава 2 Августа 1904 г.

LIOTE

Z Anglii.

Hwashano, przezacny druhu i nauczycielu (dzięki niech będą opiekuńczym duchom, iż nauki twoje puszczałem zawsze mimo uszu), z za lądu Azyi i Europy ślę pozdrowienia tobie, a zarazem przypomnienie obietnicy. Gdzież jest owo szczegółowe sprawozdanie o postępkach wiadomych ci osób, zwłaszcza nędznika Matsumy. Niema sprawozdania, niema listu, niema nic! Miły mój Hwashano, nigdy nie powątpiewałem, iż jesteś stekiem rozmaitych wad i złych skłonności, tym naganniejszych, że nawiedzających cię w tak późnym wieku, pomimo to sądziłem... miałem cię za słownego, boleję więc nad nowym rozczarowaniem, jakie mi zgotowałeś.

Trzy miesiące, i ani słowa od Liote, ani o Liote.

Gdy myśląc o przestrzeni, jaka legła między mną i prześliczną córką czcigodnego

Tayotomi, wystawię sobie jednocześnie, iż łakomy na ponęty dziewicze Matsuma bawi tak blizko niej — czuję Hwashano, czuję wyraźnie świder ostry, bezlitośnie zimny, wkręcający mi się w serce. Zdaje mi się, że widzę pożądliwe spojrzenia Matsumy, któremi ogarnia rumianą twarzyczkę i inne wdzięki Liote; widzę, jak trzęsąc pękatym workiem, ten wściekły stary pies kusi ją — uroczą, niewinną, kaprysną dzieweczkę moją.

O Liote, ona ma w sobie coś z kwiatu, motyla, cukierka, papugi i mocnego wina. Taka mieszanina — powiesz, to równoważnik niestałości. Zapewne. Pamiętam jednak pewien cudny ranek, tak promienny, jak oczy mojej Liote, tak wilgotny od rosy, jak jej usteczka, tak biały od mgieł ponocnych, jak jej liczko... Rozmawialiśmy o trudnościach, piętrzących się na drodze do naszego połączenia. Gdy Liote odjęła główkę od mego ramienia, spojrzałem w jej oczy i spostrzegłem w nich wyraźnie błysk niezwykły, błysk zaciętości nieugiętej — i pomyślałem sobie: otóż jest w niej coś i ze stali. Czasem znów uważałem, iż ptaszęca figlarność jej spojrzenia znika w cieniu jakiejś zadumy serdecznej. Owóż te błyski niepochwytne i cienie

przelotne, to wszystko, na czem opieram nadzieję, że ona mnie nie zdradzi...

Słyszę już, jak mówiąc: «wątła to podstawa» — śmiejesz się ze mnie, Hwashano, stary krokodylu, coś upasł się na sercach niewieścich! Ty — gdy zdradziła cię jedna — trzem bez namysłu kradłeś cnotę; kochanki miewałeś na codzień, od święta i na zapas, jak konfitury w spiżarni — i twierdzisz, że takie postępowanie to jedyny sposób zrównoważenia honoru mężczyzny ze czcią kobiety.

Pozwolę sobie być innego zdania.

Pod jednym względem tylko nie myślę się w życiu rozczulać: pragnę zostać jak najprędzej bogatym. Co zrobię wtedy? — pytasz. Kupię powóz, starego osła i starego Matsumę (przecież i on byłby do nabycia za miliony), zaprzęgnę ich razem do powozu, a Liote posadzę obok siebie z tęgim biczem w ręku. Oh, jakże się wezmę wtedy pod boki i jak serdecznie będziem się śmieli z moją miłą kochanką.

*
* *

Mam list od Liote; nadszedł dzisiaj.

Niech przyjazne bóstwa roztoczą opiekę

nad jasnowłosą główką mojej narzeczonej. Niech słońce ją budzi codzień z rana snopem szczerozłotych promieni; niech kwiaty zakwitną pod jej drobnemi stopkami, a ptaszęta niech nauczą się dla niej najpiękniejszych śpiewów.

Ty mnie już nie zrozumiesz, opasły Hwashano, dokładna podobizno hipopotama... Albowiem powiedziane jest: komu rośnie wielki brzuch, temu serce chudnie — a któż w Hakodate ma brzuch większy od twego!

Czy wiesz, co uczyniła Liote? Na drugi dzień po moim odjeździe (przewidziałem to!) zjawia się u jej ojca wstrętny Matsuma, przybrany w świąteczną szatę. Gdy Liote, grzecznością jedynie powodowana, ofiarowała mu filiżankę herbaty, on wyschłą swą łapą zuchwale dotknął jej podbródka i szepnął (a śliny mu z ust leciały): «Moje pocałunki, o słodka Liote, mają smak złota, dobrego złota, kiedy całusy takiego smarkacza, jak syn Yakonina (to o mnie mowa!) są jedynie cmokaniem wiecznie głodnego urwipołcia. Więc namyśl się, malutka...»

Nie namyślała się długo. «Przedewszystkiem — pisze ona — wylałam mu na łysinę prawie wrzącą herbatę, potem tak nie-

zgrabnie obeszłam się z tacką, iż wielbiciel mój postradał ząb, zdaje się — ostatni; wreszcie chwyciłam ciężką, bronzową urnę... Wtedy staruszek umknął. Jak się też śmiałam — śmiałam — śmiałam...»

Ile sprytu i finezyi w tej młodziuchnej główce, bo posłuchaj tylko, co pisze dalej:

«Lecz ciebie, mój serdeczny «smarkaczu», proszę na wszystko, byś nie martwił się myślą, że Liote, gdy ją poślubisz, będzie potem i z tobą wojowała tackami lub poparzy cię gotowaną wodą, jak to czynią czasem niedobre żony. O nie, ja na ciebie, mój słodziutki, mam mały, najmniejszy, cały atłasowy i miękki... pantofelek!»

Tyle Liote, a teraz czekam na wieści od ciebie, Hwashano; przemóż swe lenistwo i napisz obszernie, a cofnę wtedy niektóre z użytych tu wyrażeń, oraz przyznam, iż jesteś w gruncie daleko lepszy, niż się wydajesz, gdy umyślnie kryjesz swą twarz pod maską szydercy i cynika.

Hakodate (Japonia).

Mito, młodzieńcze, oto jest moja odpowiedź: po pierwsze nie przyznawaj mi żad-

nych zalet, to bowiem, co ty mianem tem nazwiesz, we mnie obudzi ckliwość i nudę; po drugie nie nazywaj mnie swym nauczycielem, bo jeśli chciałem być dobrym siewcą trzeźwej i praktycznej nauki życia, ty okazałeś się kamieniem, że nie zaczerpnę porównania ze świata zwierzęcego — i po trzecie, wiedz, że jeśli ulegam nagannej skłonności do ciebie i biorę za pióro, to tylko z największą niechęcią, bo wdawać się w korespondencyę ze stronami zakochanemi — jest to wtórzyć miauczeniu kotów na dachu.

Skoro jednak życzliwość moja, niedostatecznie twoją nieprawością stłumiona, przezwyciężyła wstręt, jaki odczuwam do pisania, to nie sądź, abym na wstępie mógł powiedzieć ci co innego nad to, że — opamiętaj się, opamiętaj, biedny, trzykroć litości godny młodzieńcze! Wszak na świecie nie zabrakło zimnej wody — zanurz się w niej i nie wychodź, póki cię szał nie ominie.

Czy wiesz, mój mały, jakie były skutki, gdy łakotniś pewien, zoczywszy dopiekający się w piecu przysmak, gołą uchwycił go ręką? Oczywiście, poparzył się fatalnie i przysmaku nie pokosztował, uronił go bowiem na ziemię. A stary, mądry pies,

wyczekawszy, aż łakotka ostygła, pożarł ją, i poszło mu to na zdrowie.

Gdy młodzieniec ubogi kocha ładną dziewczynę, która, jak dyament, wymaga oszlifowania i kosztownej oprawy, jest ona dla niego takim gorącym przysmakiem. Głupi wyciąga rękę i — parzy się.

Co do mnie, to w tych wypadkach umiałem być rozsądnym. Dowodem, iż rok rocznie w dniu mych imienin około stu mężatek przysyła mi całe sterty upominków na znak tkliwej, choć dziś już zupełnie bezinteresownej pamięci, i w tym samym dniu około stu mężów życzy mi wszystkich nieszczęść na wieczerzę. Tak, tak, umiałem wyczekać, aż przysmak da się wziąść bez poparzenia ręki, a koszty szlifowania i oprawy dyamentów przelewałem zawsze na osoby trzecie.

To co powiedziałem, jest mądre, przewidujące i przekonywujące i dlatego nie wątpię, iż wstęp ten opuścisz, bo jesteś lekkomyślnym, młodzieńcze, i będziesz wolał, gdy zacznę mówić o Liote. Lecz mniejsza o to. Posłuchaj.

Byłem w domu Tayotomi, a na kwadrans przede mną przybył tam już Matsuma. Nie wydawał się bynajmniej zrażony niegrzecz-

nym postępkiem Liote, o którym powiadomiła cię ona w liście swoim. Czy dodała jednak, że wybicie zęba i wylanie wrzątku na łysinę zakochanego staruszka nastąpiło podczas nieobecności samego Tayotomi, a więc w chwili, kiedy mała mogła sobie poczynać samodzielnie, co biedaczce rzadko się zdarza.

Teraz siedziała, jak trusia.

Cały pokój dosłownie zapchany był podarkami, które kilka służebnych Matsumy naznosiło przed chwilą.

Stary Tayotomi, mający bzika na punkcie zbierania rzadkich owadów, przypatrywał się z idyotyczną rozkoszą ofiarowanej mu kolekcyi jakiegoś potwornego robactwa. Dwie młode siostrzyczki Liote zabawiały się rozwijaniem zwojów prześlicznych materyi jedwabnych, a trzej jej braciszkowie najmniejsi mieli usteczka wyładowane najwykwintniejszymi owocami. Zaiste, rodzina ta nie jest przesycona dostatkami; młode zaś latorośle często snać bywają niedokarmione.

Na stoliczku obok Liote leżała rzucona przepyszna makata, tak droga, że wartość jej — wybacz szczerość moją — przewyższa z pewnością dwa razy cały majątek, jaki czcigodny twój ojciec kiedyś ci w spadku

zostawi (zacne ojczysko twoje, znakomity pedagog! — tak gorliwie próżne łby ludzkie nabijał mądrością, że nigdy się nie obejrzał na próżnię własnej kieszeni).

Liote wydawała się zamyśloną. Czy był to «cień serdecznej zadumy», która jest podstawą twojej wiary w jej stałość — nie wiem; zauważyłem, iż kilkakrotnie dotykała paluszkami makaty, cofając je szybko, jakby ją parzyła, ale paluszki znów tam wracały i ślizgały się po barwnych deseniach materyi.

Tayotomi wyciągnął ze szklannego pudełka olbrzymiego karalucha (tak sądzę przynajmniej), usadowił go na dłoni i pieścił okiem.

— Zachwycający okaz — rzekł — poszukiwałem podobnego całe lat pięć, lecz, niestety, w naszych stronach niema ich wcale; trzebaby się udać na wybrzeża jeziora Biwaa.

Jeszcze chwila, i biedaczysko wygadałby się, że podobne przejażdżki są dla niego za kosztowne, ale na skutek spojrzenia córki snać ugryzł się w język. Mimo to Matsuma w lot wyzyskał sposobność.

— Rozkoszą dla mnie będzie, gdy czcigodny Tayotomi zechce dla swych wycieczek skorzystać z mego statku spacerowego: jest

on wygodnie urządzony. Co do mnie, chętniebym towarzyszył naszemu uczonemu, gdyby np. chciał odbyć przejażdżkę do lesistych wysepek, słynących z najrzadszych owadów.

Rozpoczęła się rozmowa o karaluchach i tym podobnych rzadkościach, co wywołało uśmiech na usta Liote i wyznanie, że lubi ptaszki, a niecierpi wszystkiego, co pełza i kryje się w norach.

Potem Matsuma zaprosił całą rodzinę na następny dzień do zwiedzenia «domeczku», jaki wystawił sobie za miastem. Nie wypadało mu pominąć mnie, ja zaś tem skwapliwiej się zgodziłem, że mogąc stać się użytecznym tobie, jednocześnie nie uczynię krzywdy swemu żołądkowi, kuchnia bowiem u tego zgniłego dziada jest wyśmienita, a bez wieczerzy przecież nas nie wypuści.

Domeczek Matsumy — jak się okazało nazajutrz — jest pałacem, położonym wśród nieopisanie pięknego ogrodu. Powiadam ci — cacko ze szlachetnego metalu, wyrzeźbione ręką artysty — takie wrażenie sprawia pałac ze swym urządzeniem, a ogród — to zakątek raju. Jestem po prostu zachwycony, Tayotomi nie mniej, młode latorośle również.

Tylko Liote starała się być powściągliwą

w ujawnianiu swych wrażeń, chwilami opuszczała powieki, chcąc ukryć podziw i zachwycenie, przebijające się w jej oczach. Ale gdy doszliśmy do kwiatów i wonnych gaików, rozbrzmiewających śpiewem ptasząt, prysła jej powaga, zaczęła klaskać w dłonie, cieszyła się, jak dziecko.

Porównałeś ją do motyla. To trafne. Była jak motyl barwny, rwący się radośnie do słońca, kołyszący się nad otwartymi kielichami kwiatów. Ustami dotykała chryzantem, całowała wązkie, pokręcone płatki barwy ciemnej purpury lub złota, powtarzając:

— Jakie one śliczne!

W tym samym czasie Matsuma, mrugnąwszy na mnie porozumiewająco, szepnął mi do ucha:

— Niebrzydkie gniazdko usłałem, jak myślisz?

W ogrodzie gromadka nasza jakoś się rozproszyła, a po niejakim czasie spostrzegłem Liote samą nad brzegiem szemrzącego strumyka, w którym kąpały się płaczące gałęzie jakichś nieznanych mi a bardzo pięknych krzewów. Usiadła na złomie kamiennym, rzuconym przy brzegu.

Usposobienie jej widocznie ulega nagłym

zmianom, bo to, co malowało się teraz na jej twarzyczce i w oczach, nie było ani powściągliwą powagą, ani wpółdziecięcą uciechą. To był smutek.

Ujrzawszy mnie, szepnęła:

— Oh, panie Hwashano, życie jest złe, smutne i niesprawiedliwe.

Zaskoczyła mnie gorycz tego naiwnego wyznania, powtórzyłem więc tylko, jak echo:

— Tak, życie bywa niesprawiedliwe, smutne i złe. Zwłaszcza — dodałem — dla osób, które dobrowolnie przysparzają sobie zmartwień i zamykają oczy na radosną i ponętną życia stronę.

— Może to nie ich wina — odrzekła z powagą, z którą podług mnie nie jest jej do twarzy. — Może to oczy ich inaczej jakoś są utworzone. Bo proszę pana, wszak dla jaskółki radosną stroną życia jest światło dzienne, przestworza jasne, rozległe, a sowie sprawiają radość nocne mroki, lot pod dusznym sklepieniem piwnic.

Z usposobienia Liote i słów jej miarkuję, że gdybyś ty był właścicielem owego pałacu podmiejskiego, wtedy życie byłoby «sprawiedliwe, wesołe i dobre».

Niestety — obym się mylił — nie sądzę

jednak, poczciwy chłopcze, żebyś się prędko zbogacił. Podstawą szybkiego bogacenia się jest zawsze odrobina złodziejstwa, nieco oszustwa i dużo krzywdy ludzkiej, a to nie twój oręż do walki.

Żałuję, mój Mito, że nie mogłem ci napisać nic przyjemniejszego, a skoro twierdzisz, iż cynizm jest maską moją, więc odrzucam ją na chwilę i mówię ze szczerym bólem: Biedne wy dzieci i czeka was wiele przykrości.

Dziękuję ci za list twój, Hwashano, odczytałem go uważnie wraz ze wstępem. Rozumiem, że to co piszesz, nie zawsze jest istotą twoich przekonań, jeno satyrą na świat i kubłem zimnej wody na moją rozgorączkowaną głowę.

Tak — czeka nas dużo przykrości i — prawdopodobnie — rozłączenie tu na ziemi. Czcigodny Tayotomi zechce drogo sprzedać Liote; na szali, którą on waży, szczęście córki zawsze lżejszem się okaże od złota. Zostawszy zaś żoną innego, Liote nie będzie niczyją kochanką.

List twój czytałem na brzegu rzeki.

Niebawem zapadł wieczór, księżyc się ukazał, na falach legł długi snop srebrny, pleciony z drżących płatków. Rzeka szumiała, przelewając się po przerwanej tamie kamiennej.

Ogarnął mnie smutek cichy, niebolesny; poprostu, jakby świat odsuwał się odemnie bardzo daleko, póki nie zostałem zupełnie sam z odrobiną wspomnień.

Przymknąwszy powieki ujrzałem siebie u stóp małego wzgórza, przykrytego ciemnozielonym kobiercem zroszonej trawy. Tu w dole cień jeszcze panował chłodny, gdy w górze splątaną gęstwinę krzaków poczynało wyzłacać wschodzące słońce.

Liote niecierpliwie targała mnie za rękę.

— Pokażesz mi gniazdko mój Mito, obiecałeś pokazać.

— Dobrze, Liote — odparłem — niech tylko wpierw słońce osuszy trawę, żebyś nie zamoczyła po zimnej rosie nóżek.

Ale gdzie tam; później ptaszki odlecą, a ona chce widzieć samiczkę na jajkach. Więc pnie się ną wzgórek, jak giemza ciągnąc i mnie za sobą.

W gąszczach trochę sennych jeszcze, mokrych, niby świeżo obmytych, słychać

było szepty i kwilenia ptasząt. Odgarnąłem pęk gałęzi. Z wnętrza gęstwiny powiało na nas wonną świeżością zieleni i zapachem ziemi wilgotnej.

Głowa przy głowie wypatrywaliśmy gniazdka pod gałęziami splątanemi w stropy i altany ze zwieszającymi się festonami liści, ale trudno było coś zobaczyć w półmroku zielonawym, w który wpadały raz po raz złote strzały słoneczne, rozbłyskały w kroplach rosy i gasły, oślepiwszy oczy.

Niespodzianie policzki nasze otarły się o siebie. Wtedy pocałowałem ją. I stał się odrazu wielki popłoch, z rąk mi się wymknęły gałęzie, a to przestraszyło ptaszęta, które podniosły krzyk rozpaczny. Liote drgnęła spłoszona, uczyniła ruch do ucieczki, gdy wtem — trzebaż biedy — po ślizkiej od rosy trawie nóżka jej się obsunęła. Upadła. Podnosząc ją musiałem ująć w pół jej kibić; zdawało mi się wtedy, że ktoś dmuchnął mi w twarz gorącym oddechem i przesłonił oczy mgłą różową.

Za chwilę byliśmy na dole, oboje drżący; obojgu, zda mi się, serca biły jak młotem — i nic nie mówiąc, rozbiegliśmy się w różne strony...

...Dziecinne, śmieszne wspomnienia — prawda Hwashano, a co powiesz jeszcze na to, że ja wróciłem w to samo miejsce, gdzie zostały ślady jej stópek, tuliłem głowę, usta do trawy, którą ona deptała. Jakieś dziwne uczucie rozpierało mi pierś i znalazło ujście w łkaniu gwałtownem.

— Oh! gdyby Liote mnie pokochała, gdyby pokochała — szeptałem łkając.

W jakiś czas potem zachorowałem i leżałem długo bez pamięci. Pewnego dnia, gdy po raz pierwszy przytomnie otworzyłem oczy, miałem wrażenie, iż pokój przepełniony był jakąś miłą matową białością, sączącą się z za okiennych zasłon. Nademną stała Liote i patrzyła zasmuconym wzrokiem. Nie miałem siły nic powiedzieć.

Po paru dniach ojciec wyniósł mnie na powietrze i usadowił w słońcu, na miękkiej macie. Przyszła Liote, — której rodzice pozwalali odwiedzać chorego towarzysza zabaw dziecinnych, — i usiadła obok mnie na murawie.

Było to w ogródku naszym, wcale nie ładnym i ubogim w kwiaty, nie wiem zatem, skąd brał się cudowny zapach w powietrzu; wyraźnie czułem napływające, może z olbrzy-

mio dalekich przestrzeni, fale powietrza czy eteru niesłychanie wonne. Nad nami wiatr zlekka trącał liśćmi, a ich cienie pląsające wraz ze złotymi słonecznymi krążkami przesuwały się po włosach Liote, po jej twarzyczce i rękach.

Mnie się zdawało, że biła od niej jakaś różowość.

Rozmawialiśmy mało, półsłowami, ale mniemam, że i ją, podobnie jak mnie, napełniała w owej chwili wielka i słodka radość. W moich żyłach tętniła ona mocno, niby prąd wracającego zdrowia, niby upajające rwanie się do szczęścia. Czułem, iż bez przyczyny uśmiech ciśnie mi się na usta. Głaskałem rękę Liote; podnosiłem tę rączkę drobną, miękką do słońca, mówiąc:

— Liote twoja ręka jest teraz przezroczysta, jakby z różowego szkła.

Potem zacząłem wzdychać z udaną bolesnością, naśladując płacz dziecka, a gdy ona nachyliła się nademną i paluszkami dotknęła moich powiek dla przekonania się, czy istotnie łzy mi lecą, szepnąłem:

— Najmilsza, jeśli chcesz, żebym wyzdrowiał i żył, pocałuj mnie.

— Dobrze — odpowiedziała trochę drżą-

cym głosikiem — zrobię to dlatego, żebyś już więcej nie chorował.

To był jej pierwszy pocałunek.

...Drugi otrzymałem — na odjezdnem.

Tayotomi, kiedy mu oznajmiłem, że z woli mego ojca wyjeżdżam do krajów zamorskich dla dobrego obeznania się z handlem, nie ukrywał wcale zadowolenia.

— Ślicznie czynisz, Mito, — rzekł. Nie śpiesz się z powrotem, wracaj, gdy będziesz miał już dobrze nabitą kieszeń. Do tego czasu podrośnie moja najmłodsza Take, którą przez wielki szacunek jaki mam dla twego ojca Jakonina, chętnie oddam ci za żonę.

Wyszedłem odeń smutny. Liote była gdzieś ukryta. Gdym mijał ich ogród, ujrzałem ją wśród drzew, biegnącą szybko, za chwilę zawisła mi na szyi, nie mówiąc nic. Usta nasze przylgnęły do siebie, nie wiem na jak długo. I rozstaliśmy się, nie powiedziawszy sobie słowami nic, a pocałunkiem wszystko.

...Żegnaj mi Hwashano.

Hakodate.

Na wstępie zapewniam cię uroczyście, chłopcze kochany, że Liote żyje i jest zdrowa.

Czynię to, abyś mógł zachować zupełny spokój, czytając poniższy opis wypadków, które chwilowo obrały sobie drogę nieco przykrą, a nawet blizką miejsca spoczynku wiecznego rzeczy i uczuć ludzkich, ale już teraz zmierzają znów do stron jaśniejszych, prowadzone może blaskiem twojej szczęśliwej gwiazdy.

Zatem słuchaj, jak sprawy się mają.

Do domu Tayotomi starałem się uczęszczać pod wszelkimi godziwymi pozorami. Kiedy mi ich zabrakło, poświęciłem noc całą polowaniu na szczypawki, los mi poszczęścił, jedną olbrzymią uchwyciłem w piwnicy, drugą — a może drugiego, bo nie jestem pewien, czy pojmany okaz nie jest złośliwym niedźwiadkiem — spotkałem nie zgadniesz gdzie... na krawędzi mego łóżka. Nie chcąc zaś z istotą, której zamiary nie były mi znane, w osobiste wchodzić stosunki, zamknąłem ją wraz z pierwszą w szklanym słoju — i ofiarowałem Tayotomi, — skłamawszy bez zająknienia, że piękne te stworzenia pochodzą z wyspy Tarakar.

Dzięki tedy niewinnym wybiegom, widując Liote prawie codziennie, uważałem,

iż twoja najdroższa zaczyna dyablo tracić na humorze, nie zyskując nic na ciele, a nawet dość widocznie chudnąc i bledszą się stając z dnia na dzień. Inaczej działo się z jej otoczeniem, t. j. z ojcem i rodzeństwem, wśród nich wzrastał nastrój świątecznego rozweselenia i najsłodszych nadziei.

Zapytałem jednego razu piękną córę Tayotomi:

— Co znaczy nadobna Liote, że widzę cię bledszą od kwiatu lilii, gdy wpierw miałaś twarzyczkę, jako rumiane apetyczne jabłuszko?

— To nieszczęście, Hwashano, być podobną do czegoś, co nęci smak ludzki.

— I czemuż to, piękna? Wszak nie powiesz, aby szczęściem miało być podobieństwo do żaby lub szpetnego owadu.

— Wiem tylko, — odparła najwidoczniej łykając łzy, co nagle zasnuły jej jasne oczy — że odrobina urody, jaką posiadam, sprowadzi na mnie najgorszy los. Zdaje mi się, iż jestem czemś, co musi zostać spożyte przez innych, co musi zaspokoić czyjś apetyt. To znaczy — dla siebie samej lub dla kogoś miłego żyć mi niewolno.

Wyrzekła te słowa tak żałośnie, że wzru-

szyłyby kamień, sądzę jednak że byłyby zgoła niezrozumiałe dla Matsumy, Tayotomi, dwóch młodszych siostrzyczek Liote i trzech jej najmłodszych braciszków, to jest tych wszystkich osób, których apetyt w tej lub innej formie zaspokoić ma ona.

Matsuma promieniał, rozgłaszając, iż słońce miłości go odmładza. Dziwna młodość, oczy jego zaszły maślanką, usta się trzęsą, mowa stała się zająkliwą, a chód podobny do chodu dziecka, uczącego się stawiać kroki.

Jednak kocha. Mówił mi raz:

— Gdyby Liote chciała zobaczyć złotą rzekę, kazałbym roztopić tyle złota, iż płynęłoby u jej stóp potokiem.

A potem:

— Uczynię ją szczęśliwą pomimo jej woli. Będzie otoczona królewskim zbytkiem. Jej ojciec posiędzie zbiór chrząszczów z całej kuli ziemskiej, cała rodzina, nie wyłączając łakomych malców, opłynie w dostatki, których dziś wymarzyćby nie potrafiła.

— Więc bardzo kochasz małą?

— Wiedz, że zgodziłbym się być jej psem, i gdyby mnie biła i kopała, czułbym się szczęśliwym.

W kilka dni po tej rozmowie na zapro-

siny Matsumy, udaliśmy się znów wszyscy, to jest rodzina Tayotomi i ja do zamiejskiego pałacyku.

Sądziłem, że ma tam nastąpić ostateczne przybicie targu, domysł ten jednak był w sprzeczności z okazywanym dnia tego przez Liote spokojem. Nie był to martwy i skamieniały spokój, jaki w ostatnich dniach rozlewał się na jej twarzyczce, niby smętny cień śmierci, — ale jakiś inny... Zdawało mi się, że w ukojeniu łagodnem ucichły jej troski — i oto widzę ją niewymuszenie uprzejmą dla wszystkich i bardzo dla małego swego rodzeństwa tkliwą.

Ogród Matsumy, piękniejszy, niż kiedykolwiek, pełen wonnych tchnień, wchłaniał ciszę przedwieczorną, gasząc zwolna w swych cieniach purpurowe odblaski zachodu. Wyniosłe gaje stały milczące i poważne, jak świątynie.

Szukając chłodu w jednym z tych gajów, oddawałem się już czas dłuższy samotnej przechadzce, gdy ujrzałem Liote obok Matsumy na ławeczce kamiennej. W pobliżu był wodotrysk, a przy nim mała Take bawiła się, chwytając w rączęta wodę, ściekającą perlistymi sznurami z konchy marmurowej.

Zatrzymałem się tak blizko nich, iż dokładnie słyszałem słowa ich rozmowy.

— Więc, panie mój — mówiła Liote — pragniesz, bym została twoją własnością. Ale czyś rozważył, co nabywasz? Prócz ciała, które jest rzeczą ludzkim podległą rozporządzeniom — ja mam duszę, a ta jest częścią bóstwa wiekuiście wolną. Ja ci duszy mojej nie oddam, panie, ona ci na zawsze obcą będzie.

— Ja nie żądam duszy twojej, dziecko. Oddal od siebie myśli przykre.

Ona ciągnęła dalej, spokojnie i dobitnie wymawiając słowa:

— Dziękuję ci, panie mój, dziękuję gorąco, iż wolność zostawiasz duszy mojej i poprzestaniesz na posiadaniu tylko ciała mojego. Otóż przyrzekam tobie, że ono stanie się twoją własnością, twoją rzeczą, z którą uczynisz, jako zechcesz.

— Dość Liote, mówisz to posępnie, a ja chciałbym widzieć uśmiech twych usteczek. Wiedz, iż spełnię wszystko, com rzekł. Twoja rodzina — bo to dla niej czynisz to, co dzisiaj nazywasz »ofiarą« — pozyska połowę moich bogactw.

Na zwiędłe jego lica wystąpiły wypieki

ciemne, co nie dodało mu powabu. Był wzruszony, sądzę, iż trząsł się...

— Tak, połowę mego majątku, Liote. To już się stało. Widzisz ten papier, o cudna (wyjął go z zanadrza), daję ci go wzamian za twoje słowo, papier ten czyni twego ojca tak bogatym, że do śmierci nie zazna troski i wyposaży swą dziatwę po książęcemu.

Liote nizko, nizko opuściła głowę.

— I to za ciało moje, za ciało śmiertelne i nędzne, tyle złota dajesz, Matsumo?

— O Liote, niechbym się jutro stał nędzarzem za usta twoje dzisiaj.

Ona skinieniem przyzwała małą Take, pogłaskała jej liczko rozrumienione i wcisnąwszy w piąstkę dziecka papier otrzymany od Matsumy:

Biegnij Take — rzekła — oddaj to ojcu naszemu. Nie upadnij, złotko.

I w ślad maleńkiej patrzyła długo, potem opuściła powieki, pochyliwszy znów głowę, może dla okrycia różowości sromu, co teraz twarz jej zalała. Bo była już rzeczą sprzedaną...

Matsuma posunął zwolna rękę ku jej kibici, oplótł ją, przyciagał, zbliżając usta do nagiej szyi dziewczęcej. I zdawało mi się, że Liote omdlewa, że słania się i sama na

pierś jego padnie, jak ptak pod czarem spojrzenia węża.

Lecz ona zerwała się nagle.

— Poczekaj Matsumo, zawołała. Posiędziesz mnie całą.

I nóż, niespodzianie ze zwojów sukni wydobyty, ruchem szybkim i silnym wbiła sobie w pierś.

Nim przybiegłem, nim znalazłem się przy niej, leżała już jak gołąbka zakłóta. Jeszcze szepnęła:

— Jak przyrzekłam, Matsumo, oddaję ci ciało moje.

. . . .

Kochany chłopcze, — to stało się miesiąc temu, a na wstępie rzekłem, iż Liote żyje. Odratowaliśmy biedne dziecko, choć przyszło to z trudnością.

Rana okazała się do wygojenia, o ile udałoby się uspokoić biedactwo i wrócić jej chęć do życia. Cudu tego dokonał Matsuma, wracając jej słowo.

Staruszek mocno odczuł ten wypadek. Mówił, że krew Liote chlusnęła mu w usta i oczy, że czuł potem ciągle smak krwi, a przed oczami latały mu wciąż czerwone płatki, rozchorował się, gdy zaś wstał po

paru tygodniach z łóżka, był istotą zupełnie strupieszałą.

Tayotomi naturalnie pośpieszył ze zwrotem papieru, stanowiącego dowód, jak wysoko Matsuma ocenił Liote. Skoro jednak towar nie został wzięty, uczciwość kupiecka — acz nie bez bólu serca — nakazała oddać zapłatę. Ale niedoszły małżonek Liote uparł się wtedy, by te pieniądze zostały własnością jej rodziny, przewidując zaś odmowę dziewczęcia, zapisał je małej Take i uczynił zarazem Tayotomi opiekunem tego majątku.

Liote tedy jest biedna, jak dawniej.

Przyjeżdzaj, bierz ją i idźcie w świat dorabiać się we dwoje. Przyjdzie wam to bez wątpienia łatwo — pod względem potomstwa, bo co się tyczy pieniędzy — sądzę, że nie rychło na zbytek ich uskarżać się poczniecie.

Dopisek Liote. Serdecznie miły Mito mój, dopisuję tylko kilka słów, bo ręka mi jeszcze trochę drży, ale prędko będę zupełnie zdrowa; myśl o twoim coraz bliższym powrocie będzie mnie umacniała z dnia na dzień. Bo ty wrócisz, prawda, po twoją ubogą, jak mysz, Liote?

Sierpień, 1902.

DZIECIĘ SYMCHY

Nie żałuję — raczej cieszę się, iż umarła. Niestety, niewiem co stało się sercu memu, które dawniej znało tylko ukochanie życia. — A dziś cieszy je śmierć, może je cieszyć skuwająca białe nożęta nieruchomość kamienna. Czyliż sprawia to myśl, że czyste stopy nie dotkną ziemi, dla której dość kilku kropli dżdżu, by powstało błoto?

I.

Była to mała, głucha stacyjka, — kąt, mimo niedalekie wielkiego miasta sąsiedztwo, zabity deskami, — dziura, do której przez większą część roku nikt zajrzećby nie chciał, chyba z przymusu, lub za karę. Dobrowolnie, a może chętnie nawet, zaglądano tu w ciągu paru letnich miesięcy.

Od października poczynając — zupełne pustkowie. Widziało się w pobliżu stacyi domostwa pozamykane szczelnie, z zaryglowa-

nemi okiennicami, ale nie widziało się dostępu do nich przez szeroko rozlane, czarne lub zielonkawe kałuże, a później przez zaspy śniegu. Sklepy zamknięte, wszędzie cisza. Gdyby nie karczma, koło której zatrzyma się czasem furmanka, a wewnątrz napotkać można paru włościan z sąsiednich wiosek lub robotnika kolejowego, — wszystko to miałoby pozór miasteczka śpiącego nawet w dzień, lub wymarłego. Opasywał je lasek z młodych, cienkich a wybujałych sosenek.

W zimie nawet pociągi, przebiegające tędy, nie miały mocy ożywiania pustki — o ile nie brać w rachubę ukazania się na peronie posługacza, który uderzał w dzwon stacyjny — i szuby baraniej z kołnierzem szopowym, szczelnie opiętej z przodu, a zwierzchu nakrytej czerwoną czapką zawiadowcy. Ruchom tej szuby brak było żywości i dla wykonania ich mógł wystarczyć nieskomplikowany, umieszczony wewnątrz niej mechanizm. Robotnik zaś, co do którego nie zachodziła wątpliwość, iż jest żywą istotą, miewał w chwili nadejścia pociągu niezadowoloną minę człowieka, o bezużyteczności zabiegów swych przeświadczonego. Jakoż w istocie dźwięki dzwonu nie sprowadzały na stacyę

nikogo, tylko rozchodząc się po wagonach i wpadając do uszu podróżnych, budziły w tych, którym chciało się wyglądać z okien, pytanie:

— Po jakie licho zatrzymujemy się w miejscu, gdzie nikt nie wysiada i skąd nikt wsiąść nie może, bo wszystkiego jest tu dwu ludzi, którzy nie mogą opuścić swych stanowisk.

Złośliwi dodawali, że właściwie jest jeden tylko niezaprzeczenie żywy, bo co się tyczy szuby, to dopiero po sprawdzeniu jej zawartości możnaby orzec coś stanowczego.

Tak więc — pociągi nie ożywiały zimowej głuszy. Tchnące gorączką, kipiące energią i pośpiechem w łączeniu ze sobą wielkich środowisk życia, stanowiły one zbyt wielkie przeciwieństwo z rozpostartą tu ciszą, snem, nudą.

Ile razy przemknął taki wóz życia i umilkły głuche, toczące się po polanach i uderzające o ścianę lasu odgłosy huku kół, w pustkę tych miejsc natychmiast zapadały dziwnie przenikliwe akcenty smutku, i zmieszane z cichym skowytem wiatru kołatały do niezamieszkałych domostw i zaryglowanych okiennic, wołając:

— Czemu tu niema ludzi, czemu niema ich trosk i radości?

W czerwcu, lipcu — przybłąkiwał się w te strony cień życia, kolportowany przez kilkudziesięciu mieszczuchów. Oczywiście był to cień tego odrębnego życia, jakie pojawia się w miejsowościach letnich. Tchnie ono tymczasowością, czemś sztucznem, czemś co mówi o nietrwałości związku pomiędzy ludźmi i miejscem, o tem, że ludzie nie zostawiają tu cząstek swych serc, że ani ich poważne sprawy życiowe, ani uczucia nie zapuszczą tu nigdy korzeni.

Taki stosunek miejsca do ludzi daje się poprostu wyczuwać nawet u rzeczy martwych i milczących. Już same te domy tutejsze, a właściwie baraki drewniane w niewybrednym smaku, wewnątrz tak niegościnnie i nieswojo wyglądające z nagością ścian i swymi śmiesznymi meblami, zdaje się, iż spoglądają na nas obojętnie, a nawet nieżyczliwie.

— Wiemy, wiemy, jak to jest na świecie. Oto trzy ćwierci roku siedzimy same; pies nawet w pobliżu nie zaszczeka. Teraz wpadli jacyś ludzie, niewiadomo skąd i po co. Oni nie mają dla nas najmniejszej życzliwości, wyśmiewają się, porównywają ze swemi wygodnemi i zacisznemi mieszkaniami w miastach. Za pierwszym podmuchem jesieni

umkną bez dobrego słowa, bez żalu, wołając urągliwie: Byle prędzej wydostać się z tej dziury!

Rzeczom niekochanym niepodobna jest przywiązać się do ludzi, gdy naodwrót te, które kochamy, potrafią (niesłusznie miano martwych im dajemy) tysiącznymi sposoby okazać nam swoją miłość, swoją o nas pamięć. Radzę wam wziąć to pod uwagę, byście mogli, gdy ludzie miłość waszą poranią, zwrócić ją ku rzeczom. Zawierzcie mi, iż domy i sprzęty, nie mówiąc już o drzewach i kwiatach waszego ogrodu, zdolne są ukochać was tkliwie i wiernie.

Przed kilkunastu laty N., jako miejscowość letnicza, miało dobre swe chwile. Sprzyjało mu jakiś czas powodzenie, moda. Dobijano się o mieszkania. Lasek tutejszy, posiadający ubogą roślinność i pozbawiony ptastwa, roił się zato od pięknych kobiet. Na zasłanej opadłej igliwiem murawie wypoczywały liczne towarzystwa, pstrzyły się w różnej porze dnia eleganckie gałganki, batysty i zefiry, wykwintne bluzki, szlafroczki, spódniczki, pełne letniej jasności. Falą przelewała się kokieterya kobieca, zastoso-

wana do tła i swobody lasu. Było gwarno, grywała muzyka.

Trwało to niedługo. Znaleziono miejsca nierównie powabniejsze od tej niziny, mającej za cały swój strój przetrzebioną sośninkę, i nudne, rzadkim, wątłym żytem okryte pola.

Teraz przybywa tu na lato kilkanaście mniej zamożnych rodzin żydowskich i niekiedy jaki emeryt.

II.

Nie wiem czy mogła dochować swą dawną postać ta chałupa w niedalekiej od N. wioszczynie, gdzie przed kilku laty czas jakiś zamieszkiwałem.

Od futryn poczynając i belkowania pułapu do podłogi — już wtedy wszystko w niej zbutwiałe było, popaczone; wszystko rozłaziło się w różne strony, zewsząd sypało się próchno. Nakryta wysoką, zczerniałą i rdzawym mchem porośniętą strzechą, koniecznie nasunąć ona musiała każdemu porównanie do wielkiego, starego grzyba, trochę przekrzywionego na jednej nodze, zmurszałej w środku.

Przed domem, od strony drogi, był mały

ogródek, bez jednego kwiatka, nawet bez murawy i chwastów, ot — szara, zaledwie odmieciona z zeszłorocznych liści ziemia. Nagość swoją, oraz liczne ślady kurzych łapek, pomieszane z tropami psów, kryła ona w cieniu zbyt gęsto natłoczonych na małej przestrzeni drzewek.

Dziwaczne towarzystwo! Wybujałe, dzikie jabłonki, nierodzące drzewa śliwkowe; brzydkie bzy, jedne nazbyt rozrośnięte wszerz, inne zbytnio a bez wdzięku pchające się w górę, wytwarzały bezładną plątaninę z kilkoma wiśniami, młodemi akacyami i krzakami porzeczek. Dla powiększenia chaosu była tu jeszcze lipa i jesion, a od drogi rząd starych brzóz. Co najgorsze, iż plątanina ta zgoła nie miała wdzięku. Bywają ogródki zupełnie zaniedbane, objęte zdziczeniem, lecz mające duży, swoisty powab. Nad tym zaś mimowoli trzeba było westchnąć.

Wszystko tu wyglądało na jakieś kaleki, nosiło ślady obłamywań, było oskubane, krzywe, źle rosnące, pokurczone, lub wybujałe nakształt cienkich, śmiesznych tyczek, u góry nieco liści, niby zatknięty wiecheć, mających. Drzewka te miały minę złą, uskarżającą się lub chorą. Takie sprawiały wrażenie jakby

za łby się brały w wiecznej z sobą zwadzie i jakby już zdążyły powydzierać sobie całymi garściami listowie.

— Wokoło jest tyle nagiej przestrzeni, bez jednego drzewka, — słyszałeś ich użalania — a nam nie kazano wychodzić za to ogrodzenie, obejmujące śmiesznie mało miejsca, tyle — ile by ocieniała jedna lipa, gdyby swobodnie się rozrastała. W tych warunkach każdego djabli biorą i pchają do kłótni.

Miały słuszność.

Naprzykład, jesion z pniem prostym i koroną dość ładnie układającą się, — inaczej umieszczony — byłby pięknem drzewem. Rósł zaś tak blizko domu i jakiejś jabłoni, iż gdy niektórym gałęziom w rozrastaniu się przeszkadzała strzecha — inne mogły same być w błędzie, do jakiego drzewa należą; wierzchołek zaś wędził się w dymie z komina i sechł.

Ludzie tworzyli tu zgodny zespół z tem, co było w ich posiadaniu.

Niechby czarodziejska moc przyoblekła kilka różnego wieku drzew z tego ogródka w kształty człowiecze — bezwątpienia otrzymalibyśmy wtedy gromadkę istot niezwykle

podobnych do rodziny gospodarza, który mi odnajmował stancyę.

Tylko zamiast dziwacznie wygiętych w ciasnocie pni i pokurczonych konarów, widzielibyśmy plecy zgarbione, ramiona opuszczone ku dołowi, głowę zwieszoną na piersi.

Dziwne, nierównie dziwniejsze od drzewa, uciskanego przez swe sąsiedztwo, sprawia wrażenie człowiek niestary, krzepki, zdrowy, który nie może sprostować karku i utrzymać głowy tak, by móc swobodnie, bez dziwacznych wykrzywień kręgosłupa, patrzyć — naprzykład na błękit nieba, lub zasnuwające je chmury.

Smutne, dużo smutniejsze od zastygłych w zniechęceniu giestów karłowatych drzewek, sprawiają wrażenie zdrowe ramiona ludzkie, opadające, jakby pociągane ku ziemi, i oczy zbyt rzadko odrywające się od ścieżki, po której stąpają nogi.

Nie mniemam jednak, by gospodarz mój i jego żona mieli być ponurymi ludźmi; tylko podobnie jak żadne z drzew ich ogródka nie może przybrać pozoru wesela i swobody, jaki mają drzewa parkowe, — i oni poprostu nie mogą wydobyć z siebie wesołości. — Żywioł ten jednak nie był im obcy, tkwił

w nich ukryty i nierozwinięty, budzony do życia jednym tylko niezdrowym, zjadliwym środkiem — wódką. Oczywiście, skoro wesołość, ożywienie i jakieś szybsze tętno myśli mogło być wydobyte za pomocą tak lichego środka, to czemuż tego samego nie miałyby dokonać inne — szlachetniejsze natury.

Tak, lecz człowiek bierze to, co ma pod ręką, nie to, co jest za górami i morzem. Wódka jest pod ręką, a książka, wrażenia estetyczne — za górami.

Uważałem, że po każdym święcie i niedzieli ramiona tych ludzi zwisają z większem zniechęceniem, a oczy uporczywiej świdrują ziemię.

Trudno było mieć jakąkolwiek wątpliwość co do tego, iż myśli ich trzymają się, również jak oczy, wciąż jednej ścieżki, niesłychanie wązkiej i okręcającej się w kółko, a duch uderza z każdej strony o zamknięcie swej ciasnej skorupy, której bez pomocy z zewnątrz sam przebić nie może. To zaś jego daremne tłómaczenie się i szamotanie odnosi tylko ten skutek, że skorupa dziwacznie się wygina i wykrzywia, przybierając odstręczający pozór.

Takie drzewa, tacy ludzie.

W jednych i drugich tkwił głęboki smutek nieuświadomionej niewoli. Od jednych i drugich daremniebyś próbował wydobyć słowa związane z treścią ich bólu, lecz bezwiednie wypowiadali je — pierwsze w mimowoli przybranych kształtach i zastygłych giestach, drudzy — cieniem swych oczu, ociężałością chodu, brzmieniem mowy.

Było tu jeszcze stworzenie, przejęte do głębi tym samym, najcięższym ze wszystkich — smutkiem z braku swobody.

Pies — uwiązany dniem i nocą.

Czy gdy szarpał swoim łańcuchem, czy gdy próżnych zaniechawszy wysiłków i miotania się przysiadał na śmietniku koło budy, wkładał on w swe szczekanie naprzemian rozpacz i tęsknotę, wściekłość i zazdrość, a na ostatku — płacz. Istny płacz niemocy. On jeden wypowiadał swój smutek bezpośrednio okrzykiem i skargą.

Dziwne — iż takie rzeczy znajdziesz, nie szukając. Rzuć kamień na chybił trafił, odpowie ci odgłos jego upadku, rzuć myśl gdziebądź, odpowie ci jęk czyjegoś bólu.

III.

Oczywiście, zwrotki piosnki, którą dnie, uchodząc, wydzwaniały mi w tej wioszczynie, nie mogły budzić zajęcia, podobnego temu, jakie budzą np. kuplety w operetce. Nie zupełnie jednak zgodziłbym się na nazwę «prostej» dla tej piosnki.

Prostem często nazywamy to, nad czem nie chce się nam myśleć. Prawda? Ileż razy, wcale nie odgadłszy jakiejś zagadki, mówimy: «To takie proste, dziecinne», — byle tylko nie dać poznać, ile czasu zabrałby nam namysł. W ogóle tym sposobem bronimy się od zgłębiania rzeczy, w których domyślać się należy złożoności wielkiej, a niemiłej, może nudnej, a może — co gorsza — takiej, iż z jej rozwikłaniem odniosłyby uszczerbek nasze interesy, zeszczuplałaby sfera naszych przyjemności. «Lepiej nie poruszać licha» — myślimy, a na głos odpieramy niebezpieczną pokusę słowami: «To takie zwyczajne, znane, codzienne; to było — jest i będzie«.

Piosnka, która zawiera treść ranków, dni, wieczorów i nocy, uchodzących w wiosce pod N., nie jest ubogą w słowa, przeciwnie,

obfitującą dla tych, co słuchać chcą. Którzy słuchać nie chcą, zbywają ją krótko: nudna.

Prawdą jest, że krtań, ubierająca ją w dźwięki, jest nieuczona. Śpiewacza krtań przyrody, chłopów, zwierząt, drzew, ziemi i powietrza — lubi powtarzać jedne i te same dźwięki, jak wszyscy nieuczeni śpiewacy. Stąd jednostajność tego śpiewania nieco smutna, chociaż nigdy nie tak zabójczo smutna, jak jednostajność piosnki suteryn, zaułków, nor i poddaszy, gdzie głos roztrąca się śród kamieni i cegieł.

Przyroda jest wielką, jest otchłanną, jest macierzą. Ona chce i umie wyssać najzjadliwszy smutek, który odczuwają jej cząstki. Gdzież podzieją go ci, kogo otacza kamień, którym całą ich macierz zasłania kamień! On jest macierzy tej częścią najmniej czułą (choć bynajmniej nie martwą), najbardziej zasępioną.

Więc pieśń, której echo nie tłucze się śród kamieni, już nie jest samym smutkiem, samą szarzyzną, ani samą jednostajnością.

Gdy wahadło życia nędzarza porusza się między murami miejskimi, udziałem jego staje się dziwna samotność, w której — rzekłbyś — iż tylko szmer, wytwarzany ruchami

tysięcy innych wahadeł i zgrzyt od ich wzajemnych potrąceń słychać. Przeniesione na wieś, bezwiednie oplątuje się ono nićmi istnień, postronnych, drobnych bytów lubiących kojarzyć się z bytem człowieka, wlecze je za sobą i czasem — dzięki im — w żałosnej bezcelowości swych poruszeń natrafia na jakiś, chociaż nikły, cel.

Zawsze z piersi stworzeń posmutniałych przyroda część troski wykrada — (możeby cień jej rzucić w przeźrocza dusz zbyt szczęśliwych).

Powtarzałem to sobie przed laty kilku w N., patrząc na pewną istotę, młodą dziewczynę, której życie wydawało mi się ogołoconem ze wszelkich radości.

IV.

Była to Żydówka lat szesnastu, lub siedemnastu.

Razem z swoją matką, leciwą kobietą, trudniła się ona roznoszeniem pieczywa po samym N. i paru okolicznych wioskach, w których prócz miejscowych włościan przemieszkiwali robotnicy z sąsiedniej cegielni i jakiejś fabryki podmiejskiej.

Jedno z tych stworzeń Boskich, które można widzieć codzień — a nigdy nie zauważyć.

Przekonany jestem, że mnóstwo ludzi, codzień bułki z jej koszyka wybierających, nie znało dobrze ani brzmienia jej głosu, ani rysów twarzy. Spotkawszy ją bez koszyka, inaczej ubraną, nie w codziennej, wyblakłej, zbrudzonej i obszarpanej u dołu spódnicy, a zwłaszcza bez tej czarnej, włóczkowej chustki, którą obwiązywała sobie głowę, wielu niewiedziałoby, iż mija swoją roznosicielkę chleba.

Znano ją, jak się zna rzecz jaką. Każdy rozumie, iż koszyk z bułkami sam nie będzie latał od domu do domu. Trzeba się z tem zgodzić, iż ktoś musi go nieść. Szczerze mówiąc jednak, zajmowała ludzi tylko zawartość koszyka.

Byli stali odbiorcy pieczywa, którzy nie wiedzieli nawet, jak zowią się matka i córka. Żydówki. Żydówka stara, Żydówka młoda. «Nie piekłam wczoraj chleba, muszę go wziąć od Żydówki» — mówiono; albo: «Nie widzieliście tam gdzie Żydówek z chlebem?»

Gdy którego dnia nie chodziły razem po

wsi, lecz zosobna, zadawano sobie potem pytania:

— Od której żydówki braliście dziś chleb?

— Od młodej — nie, od starej. Ale nie, napewno od młodej. Zresztą, to już dobrze nie wiem.

Wprawdzie nosiły się zupełnie jednakowo ubrane, ale, oczywiście, przy drobnym napięciu uwagi wątpliwość taka byłaby niemożliwą; jeśli więc zdarzała się, dowodzi to, jak dalece osoby roznosicielek były ludziom obojętne.

A jednak uwaga ludzka pochwytywać może bardzo drobne rzeczy. Mieszkając w owej chałupie, nauczyłem się rozpoznawać z pośród kilkunastu uwijających się dokoła niej jaskółek dwie mieszkanki gniazdka, w którym było sześcioro małych. Z mnóstwa napływających przez okno głosów, nauczyłem się rozróżniać zgodne dzwonienie słabiutkich głosików — jakby kto potrząsał szklannymi paciorkami — ilekroć jedna z tych jaskółek zajrzała do gniazdka. Przekonałem się również, że leżąc na ziemi, zainteresować się można bytem kilku źdźiebeł trawy i uwijających się śród nich owadów. Nie mogę więc przypisywać sobie nadzwyczajnej jakiejś bystrości uwagi

z racyi tej, że zauważyłem dwie istoty ludzkie, codziennie napotykane.

Ponieważ nie obchodzi mnie wiele kształt bochenka, ani jego waga, ani to czy skórka na chlebie przyrumieniona jest, czy blada, z większą zatem bacznością mogłem przyjrzeć się chleba tego roznosicielkom.

V.

— Pieczywo z miasta — bułki, chleb — weźmie pan?

Za oknem stały dwie kobiety, każda z dużym koszem na ręku.

Pomimo, iż to był dzień ciepły, czerwcowy, głowy ich były pookręcane grubemi, włóczkowemi chusteczkami, jak u ludzi w najwyższym stopniu cierpiących na zęby. Z nieosłoniętych tem czarnem obwinięciem otworów, pełnych cienia, wyglądały tylko oczy z częścią czoła i nosem.

Jedna ich para miała białka zaczerwienione siecią żyłek, mętność w piwnej barwie tęczówki i mętność w samym wejrzeniu, podkowę pod każdym okiem głęboko odciśniętą w naskórku wzdętym jakby od żaru i zrumienionym, miała z kątów ócz rozsypujące

się w niezliczonem mnóstwie drobnych fałdek łapki kurze, a wreszcie — powieki ociężałe, zwiędłe, które mrugały ustawicznie, może dla odpędzenia osiadającej w oczach bezmyślności.

Druga para oczu miała urok.

Jest to coś, co uderza o wrażliwość naszą wpierw, zanim rozpatrzymy się w cechach szczególnych, co sprawia, iż mówimy — ładne, nie ustaliwszy jeszcze dokładnie barwy, tęczówki, co przeszkadza w badaniu, utrudnia egzamin tak łatwy, gdy idzie o wyblakłe oczy starej kobiety lub choćby młode, lecz niemające uroku.

Rozmaity on bywa. Ten urok był bardzo miękki, bardzo czuły, czułością, w której z kobiety bywa cośkolwiek a z dziecka dużo — cała jego nieśmiałość i cała czysta, lękliwa chęć przypodobania się. Dobre, bardzo czułe a nieśmiałe dziecko było w tych oczach i to właśnie napierw spostrzegłem a następnie dopiero wspaniałą czerń wielkich tęczówek, błękitny cień nasycający białka, piękność długich rzęs.

Parę kobiet wiejskich podeszło do koszyków.

— Świeży chleb, świeże bułki — zachwalała dziewczyna.

Po skończonym targu Żydówki oddaliły się.

Patrzałem za niemi, gdy szły drogą, wzdłuż blado-żółtej, przesianej słonecznymi połyskami ścianki, którą tworzyło dojrzewające, wysokie żyto.

Żałośnie niepowabne sylwetki! Szare, nędzne kaftany; szare nędzne spódnice; te głowy czarno spowinięte; postaci, jak przełamane! Ciężar kosza na prawym ręku zniewala je do przechylania tułowiu na lewo i wyciągnięcia lewej ręki. Bose, stąpały z wysiłkiem, piętami zaorywając po piasku. Znikły mi na miedzy, którą udały się zapewne dla skrócenia drogi do końca wsi.

Odtąd widywałem je codziennie, a czasem zachodziłem z niemi w rozmowę.

VI.

— Ależ mnie wcale zęby nie bolą!

Rozśmieszyło ją moje posądzenie, iż cierpi na fluksyę.

— Pan myślał, że mam twarz spuchniętą.

Zesunąwszy chusteczkę niżej podbródka,

odsłoniła swe szczupłe policzki. Była to twarzyczka dziewczęcia wątłego, powabna, ale niemająca jędrności i świeżej cery zdrowia; wyglądałaby mizerniej, gdyby nie odrobina złocistości na policzkach i czole. Opalić się w turbanie swoim nie mogła; jednak musiało słońce zaglądać do nieosłoniętego otworu, bo bladość jej leciutko cieniem złotawym przysłoniło.

Za to usta dziewczynki — małe i ładnie narysowane, żaden pędzel różem nie powlókł; mówiły one zbyt wyraźnie o niedostatku krwi.

— Brzydko w tej chustce wyglądam — wiem o tem, ciągnęła z milutkiem zawstydzeniem. I zawsze mnie ludzie częstują lekarstwem na zęby.

— Więc pocóż umyślnie się szpecić?

— Tak, z przyzwyczajenia. Czy ja wiem zresztą. Mama toby panu wytłómaczyła.

Zwróciłem się z zapytaniem do starej, ale ta za całą odpowiedź tylko szybciej mrugać zaczęła, ukrywając w oczach wyraz zakłopotania i nieśmiałości, która mnie zawsze wydaje się wzruszającą u ludzi wiekowych.

Nie nalegałem.

Później przyszło to jakoś samo z siebie,

iż Symchowa nieraz dość chętnie, bez wypytywań, opowiadała mi coś o sobie i córce, o «naszej biedzie».

Mówić: «ach, ta nasza bieda» — było jej przysłowiem.

VII.

«Nasza bieda» w postaci dotkliwej zaczęła się — pojąć to łatwo — z chwilą, gdy Symcha wozem czarnym odwieziony został na kirkut.

Był to człowiek bardzo umęczony niepowodzeniem w handlu sklepikarskim i jakąś przewlekłą chorobą; tak «delikatny» — według słów wdowy — i tak naostatku już zwątlony niezdrowiem, że chodząc, stąpał z nadzwyczajną ostrożnością, jakby w swym wnętrzu nosił niezmiernie kruche a szacowne naczynie. Ostatecznie musiało ono pomimo całej troskliwości uledz stłuczeniu, co tak zmartwiło Symchę, iż umarł. Sądzę, że nie mógł nawet inaczej uczynić, ponieważ to jego drogie naczynie zapewne nie było czem innem jak właśnie naczyniem życia.

Po utracie męża został Symchowej jej własny, cały i nienaruszony dzban zdrowia.

Co prawda — za cały majątek, dodawała z westchnieniem. W córeczce zaś tkwiło (smutna po ojcu spuścizna) naczyńko bardzo delikatne, bardzo kruche, może szklane lub kryształowe, z drogiego kryształu, jak u Symchy, wymagające nadzwyczajnej uwagi, opieki i troskliwości, żeby się nie stłukło.

Symchowej nie potrzeba było napędzać do czuwania nad zdrowiem małej. «Mój skarb jedyny». To słowo wszystko tłómaczy: komuż to zalecać trzeba by dbał o swój skarb jedyny. Swoją drogą przyznać musimy — bo i Symcha przykładem swym to stwierdził — że troskliwość ludzka, nie poparta pieniędzmi, które dają możność zaspokajania potrzeb dziecka wątłego, lub starca słabowitego, tyle bywa pomocną, co chuchanie na ranę. Symcha chuchał, dmuchał na siebie, na swoje zdrowie, stąpał bardzo ostrożnie; cóż z tego, kiedy jednocześnie mało jadał, mało pijał mleka, krótko mógł wypoczywać — i naczynie stłukło się. Toż samo — pomimo całej matczynej troskliwości — nastąpić mogło i z kryształową konchą, w której trzepotał się duch życia dziecka, duch tak skory do odlotu.

Czemuż więc przypisać, że dzieweczka

nie umarła pomimo ciągłego pisku i dokuczania biedy?

Jeśli nie zabiegom stworzenia śmiertelnego, jakim jeszcze była Symchowa to chyba — istoty nieśmiertelnej, jaką już wtedy był Symcha. Napewno — jego zabiegom. Tylko istota, która przeszła już przez śmierć, pokonała ją niejako a przynajmniej wyrwała z jej zębów najlepszy kęs swej istności i wyniosła go ponad ziemię, — tylko ona może skutecznie poprzeć sprawę jakiejś nędznej drobiny ziemskiej. A pośród wiecznie żyjących jeden Symcha mógł w tym razie coś zdziałać, bo któżby obcy zechciał się troszczyć o los jego córeczki na ziemi.

To Symcha wstawiał się, Symcha przemawiał za nią. Może nie do samego Jehowy, może do najniższego z jego sług — ale to on przemawiał i z dobrym skutkiem.

Musiał jednak przebyć ciężką chwilę, lękliwy Symcha! Żona jego, myśląc o tem, uprzytomniała sobie doskonale te wielkie kołatanie serca, to bolesne zaciśnięcie gardła i olśnienie w oczach, jakiego doznawać musiał — inaczej być nie mogło — Symcha, gdy przemówić miał do najniższego z sług Je-

howy. Ale szło o dziecko, o własne dziecko — więc zwyciężył strach, właściwy osobom delikatnego zdrowia, i przemówił.

W miarę zaś jak pozbywał się bojaźni (— i to uprzytomnia sobie Symchowa), głos jego, do sługi Jehowego zwrócony, stawał się pełny brzmień tkliwych, do głębi przejmujących, pełny błagania pokornego i zaklęć, aż wreszcie przeszedł w ton uroczysty i poważny.

Dreszcz od stóp do głów wstrząsa Symchową na myśl, jak uroczystym i wzruszającym musiał być głos jej męża, gdy mówił:

— Panie, — oto wstawiam się za moją córeczką, na którą czyha bieda, choroba i śmierć.

VIII.

Był więc Symcha i po śmierci użytecznym swej rodzinie. A swoją drogą wdowa, cokolwiek zdziałać mogła sama bez duchowego poparcia nieśmiertelnego Symchy, tego nie zaniedbywała. Mało jednak dobrego, mało przyjemności świadczyć mogła dziecinie. Ot — tyle, że oszczędzała jej siły.

Do jedenastu lat nie wolno było Esterce

ani tknąć się pracy, jakiegokolwiek ciężaru, jakiej posługi.

— Ja ciebie proszę nic nie rób, tylko żyj. Tem zrobisz mi największą łaskę — mawiała, gdy dziecko, znudzone bezczynnością i leżeniem, chciało dla rozrywki pomóc jej u komina, przy gotowaniu strawy, lub nieść za matką koszyk.

W myśli dodawała:

— Symcha miał tam niemało kłopotu, zanim wyprosił, wyjęczał o trochę zdrowia dla tego mizeractwa.

Rozleniwiona pieszczotami matki, wracała dziewczyna ulegle pomiędzy bety, rozrzucone na łóżku, które nigdy nie było zaściełanem, by ona kiedy zechce, mogła wsunąć się pod pierzynę.

Rychło jednak Esterka, odczuwając doskonale — jak każda pieszczoszka — samowładztwo panowania swojego, poczęła okazywać wolę na przekór zarządzeniom matki. Ale, dobrem będąc dzieckiem, nie używała przywilejów swych na złe. Raczej przeciwnie.

— Do czego to podobne, żeby taka duża dziewczyna jak ja, nic nie dopomagała matce. Rosnę na pośmiewisko ludzkie, a czy to potem będzie się chciał kto ze mną ożenić,

skoro wszyscy się dowiedzą, że jestem do niczego. Ja mamę przekonam, że koszyk pełny chleba zaniosę od naszego mieszkania do cegielni — i nic mi nie będzie.

— Nie rób tego, moja Ester, ja cię bardzo proszę.

— Właśnie że zrobię — odparła, gniewne matce rzucając spojrzenie, i chwyciła za pałąk kosza.

Symchowa nie chciała jej drażnić. Nie można drażnić wątłych dzieci, należy pamiętać, że to są kruche, kryształowe naczynia, ulegające stłuczeniu, przechowujące się w całości tylko dzięki wstawiennictwu nadziemskich istot. Nic więc już nie mówiąc, ujęła coprędzej kilka bochenków z kosza, by uczynić go lżejszym.

Do cegielni nie było zbyt daleko. Dziewczynka doniosła tam ciężar, wyprzedziwszy nawet matkę, i bardzo zręcznie ukryła swe zadyszanie, oraz ten szczegół że naostatku koszyk sam wysunął się z jej rąk, w których czuła wielki ból.

— Ot, cała parada, cała wielka sztuka, — zawołała, powstrzymując z największym wysiłkiem łzy. — Chce mama, to jeszcze dalej zaniosę?

Symchowa, naturalnie, ani słyszeć o tem nie chciała. W następstwie zaś kupiła mniejszy koszyk dla Esterki i brała ją z sobą do roznoszenia bułek tylko w obrębie samego N., odsyłała zaś dziewczynkę do domu z chwilą, gdy sama miała iść dalej, po wsiach. Co prawda, i ów mniejszy koszyk nieraz wyciskał małej łzy, ale nikt ich nigdy nie dostrzegł.

Minęło parę lat. Córka Symchy wyemancypowała się zupełnie, to znaczy — że szła wszędzie, gdzie matka, do krańca ostatniej wioski, gdzie tylko kupowano od nich chleb, — że koszyk jej nie był mniejszy, niż matczyny, i że to ona teraz ukradkiem z koszyka matki do swego przekładała parę bochenków, by ulżyć starej.

IX.

Zbyt wiele dobrych stron miał ten nowy układ rzeczy, by Symchowa, miała sarkać.

Przedewszystkiem cieszył ją widok dziewczęcia, mogącego podołać ciężarowi kosza z chlebem. Takie było cherlawe dziecko — i oto patrzcie, jak silna z niej pomocnica.

Dalej — ciągła obecność córki w tych wędrówkach napełniała matkę jakiemś miłem, choć mało uświadomionem uczuciem cichej,

wewnętrznej radości. — Dawniej, gdy szła sama od wsi do wsi, pomiędzy milczącemi polami, inne nawiedzało ją uczucie — troski, niepokoju o małą, lub tęsknoty bez określonego powodu. Przypominał się jej wtedy Symcha. Niechcący poczynała zagłębiać się w myślach o nim, próbowała wyobrazić sobie teraźniejszy byt jego, np. co on robi rano, a co wieczór, lecz wyobraźnia jej natrafiała na zapory i trudności dziwne. Zniechęcona podnosiła oczy ku olbrzymiej kopule nieba, ale co prędzej opuszczała je, bardziej jeszcze przestraszona jej ogromem, milczeniem i skrytością.

Teraz nic podobnego Symchowej nie dokuczało. We dwie i to we dwie z *córką* — jakże to raźno, jak dobrze. Inaczej nogi człowieka niosą, a ręce przestają się skarżyć na ciężar; nie nawiedzają głowy zbyteczne myśli, odczuwa się spokój, pełny słodyczy.

Latem, gdy się zmęczą, posiadają sobie na miedzy. Żyto z jednej i z drugiej strony zasłania je przed całym światem; sądzą, że to jest ich własny kącik, gdzie nikt natrętny nie zajrzy. Jest w tem coś tak przyjemnego, że natychmiast ustępuje zmęczenie. Esterka podnosi się, zapomina o koszyku i ostrożnie rozgarniając źdźbła żyta, wyszukuje bławatków.

Czy czuje wtedy, iż każdy jej ruch pieszczony jest i całowany spojrzeniem tych oczu, które pod mrugającemi ustawicznie powiekami, zdaje się, iż ukrywają tylko bezmyślność? Symchowa w istocie mało myśli, mało rozważa i rada jest temu, gdy nic nie nastręcza powodu do rozmyślań, z których zazwyczaj nic miłego nie wynika. Ale zato całą swą istotą odczuwa słodycz takiej chwili a nadto wielką dla kogoś wdzięczność.

Cośkolwiek przytem myśli

Oto powtarza sobie:

— Moje dziecko żyje — jest zdrowe i zbiera bławatki.

X

Prócz odrobiny zdrowia (tyle co na codzienną potrzebę — mawiała Symchowa), wyjednał poczciwy Symcha — może za jednym zachodem — nieco też urody dla swojej dzieweczki.

— Czyś ty dobrze zrobił, Symcha, żeś o to prosił?

Takie pytanie żona jego próbowała mu przesłać z ziemi.

Nie dręczyłaby jej watpliwość i samaby

sobie odpowiedziała: »Doskonale zrobił mój mądry i zacny mąż« — gdyby układ ziemskich rzeczy obdarzył Symchową wyłącznem prawem napawania się urodą Esterki, przynajmniej do jakiegoś czasu. Niechby potem prawo to przeszło na mężczyznę — daj Boże, dobrego i bogatego — któryby Esterkę poślubił. Ale mrzonką jest taki układ: niepodobna wszystkim ludziom oczu zawiązać — to jedno, a drugie — iż dobrzy i bogaci nie zbyt są skorzy do żenienia się z ubogiemi dziewczętami, roznoszącemi chleb.

A jednak jakie ładne bywają między niemi.

Gdy o świcie bladym, białawym, Esterka wstawała pierwsza, matce nie dając jeszcze opuścić łóżka, gdy na jego skraju siadała (— tylko oczy matki znały tę chwilę) w samej koszulce, niezbyt zazdrosnej o jej szyjkę, ramiona, ręce i nóżki, czuła Symchowa, iż od jej dziecka bije świeżość pachnąca, świeżość młodych lat i niewinnego ciała, świeżość, jaką mają tylko co zerwane bławatki, lub zazielenione pole, pąki topolowe lub młode pędy w sosnowym lesie.

A kiedy upięło jej dziecko swe czarne sploty na główce kształtnej a niewielkiej

i zwróciło do matki swą twarz, której białość zaledwie owiana była złocistem na policzkach przyćmieniem, mogły oczy Symchowej ile chcieć mrugać — nie odpędziłyby myśli:

— Śliczne jest moje dziecko.

Cóż kiedy śladem tej myśli leciał zaraz podszept zjadliwej troski.

— Bardzo śliczne. Ale czy to potrzebne dziewczynie, którą świt wypędza na ścieżki leśne, na drogi śród pól głuchych i niemownych, puste — lub co gorsze, nawiedzane przez ludzi niepewnych z podmiejskiej okolicy.

Włóczęga podmiejski, mogący każdej chwili zamienić się w napastnika, był zawsze postrachem i zmorą Symchowej. Nie obawiała się chłopów w wioskach, nie obawiała się robotników z cegielni lub fabryki, koło której przechodziły, tylko tych postaci tak nieokreślonych, trudnych do przeniknięcia, jak ich zajęcie, osobników, zdala cuchnących wódką, ziejących wstrętnymi wyrazami, lubujących się w zaczepkach. Takiemu na pustkowiu pokazać młodą i ładną twarz— rzecz to zdradziecka.

Ten był powód, że udając się na codzienną

swoją wędrówkę, obie — matka i córka były ubrane zawsze jednakowo (— niech złe oko nie odróżni młodej od starej), że głowy miały wiecznie obwinięte chustkami, które zasłaniały im również pół twarzy. Nosiły się nędznie i szaro. Symchowa chętnieby obsypała siebie i córkę pyłem z gościńca, byle zniknąć, uczynić się niewidzialnemi na jego szarem tle.

XI.

— Ja się tak bardzo nie boję — kiedyś do mnie mówiła Esterka. — Czasem sama chodzę. W piątek mamy trochę więcej domowej roboty u siebie, więc — żeby prędzej załatwić się z roznoszeniem chleba — mama idzie w jedną stronę — do Lisówki, a ja w drugą, na Czarny Borek.

— Nigdy się nic Esterce nie przytrafiło?

— Nie. Raz jeden gonił mnie jakiś pijak. Była wtedy po deszczu wielka woda na drodze — przebrnęłam na drugą stronę, a tam trafił mi się kawał cegły, który podniosłam i pogroziłam nim temu człowiekowi. Dał mi spokój. Pewnie się nie tyle zląkł kamienia co wody.

Bardzo była zabawna i milutka, gdy to opowiadała.

— Gdyby jednak i on zdecydował się przebrnąć kałużę, czy też Esterka ugodziłaby go tą cegłą, czy potrafiłaby się bronić?

— Ale gdzie tam, możebym odrazu umarła ze strachu, albo bym prosiła żeby mnie już prędzej zabito.

— To źle. Nigdy nie potrzeba odrazu dawać za wygrane; broniąc się, można chociaż zyskać na czasie, może ktoś nadejść z pomocą.

Esterka chwilę milczała namyślając się.

— Zapewne — rzekła potem — zresztą czy ja wiem, gdyby naprawdę było już źle — może strachu by się nie czuło, możebym potrafiła się bronić jak kotka zaczepiona — pazurkami i zębami. Ale Bogu dzięki nikt mnie nie zaczepia, nikt nie patrzy nawet na mnie. Myślą — ot, stara jakaś baba z zawianą głową.

Jednak przykro to robić z siebie zawsze coś niby straszydło — wtrąciłem.

Roześmiała się wesoło.

— No, nie zawsze. W sobotę ubieram się trochę inaczej.

Jakoż, gdy wypadła mi którejś soboty potrzeba udania się na stacyę w N., spo-

tkałem tam Esterkę w jej świątecznem ubraniu.

Było to przed nadejściem pociągu, czyli w godzinie, kiedy oczekiwanie na przelotne wrażenia rozprasza chwilowo całodzienne nudy letników w N. Kto żyw ściąga wtedy ku stacyi.

Na peronie, pod werandą i w poblizkim lasku roili się czasowi mieszkańcy owych domków, tak mało okazujących wesela latem i zimą.

Przeważnie byli to spółwyznawcy Esterki, liczny zbiór żydowskich typów drobnomieszczańskich. Mężczyzn niewielu, kobiet i dzieci dużo. Są to żony kupców mniej zamożnych, komisantów, subiektów — które, nie mogąc pozwolić sobie na droższe letniska, ściągnęły do N. dla taniości, w towarzystwie wszystkich swych sióstr, kuzynek, ciotek i dalszych krewnych, tak potrzebnych do spólnego spędzania czasu, a może i dla rozłożenia kosztów mieszkania na większą ilość płatników.

Dziwnie był jednostajnym typ twarzy kobiet — twarzy bardzo białych i pulchnych z mięsistymi, wydatnymi nosami, grubemi wargami. Wolne szlafroczki mężatek nie czyniły tajemnicy z obfitości ich ciała, z obwi-

słych piersi i czegoś nalanego i ociężałego w całej postaci.

Kilku dziewczętom jednak nie można było zaprzeczyć urody, mającej wybitnie zmysłowe piętno. Były ładne, świeże, ponętne z falującemi jędrnemi piersiami, biła od nich jakaś szczerość zdrowia, otwarcie wyznana przewaga ciała nad duchownością. Kibici ich — zdawało się, iż naiwnie chwalić się chcąmacierzyńskiem przeznaczeniem kobiety.

Śród nich Esterka w czarnej spódniczce i staniku blado różowym, gładkim, zdaje się, jedwabnym, chwaliła się tylko wdziękiem. Ileż go w niej było! Jak trudno było dziś ją poznać, jak trudno uwierzyć, że jej powszedni, odrażający strój mógł ukrywać tak śliczne stworzenie. Wdzięk osiadł w kształcie jej główki i zgrabnym jej osadzeniu, w upięciu włosów, owalu twarzy, zaokrągleniu ramion, w zarysie piersi dziewiczych, drobnych, wstydliwie ukrywających swą kobiecość — równie jak w lekkości ruchów. Był też w naiwnem rozradowaniu oczu i półdziecięcej chęci przypodobania się, tkwiącej w uśmiechu Esterki.

Na ławce, w kącie werandy, siedziała Symchowa w odświętnym czepcu z wstążkami.

Dobra wdowo Symchy, jakże mi łatwo było odgadnąć jedyną myśl, która snuła się wtedy po twej nielubiącej długich rozważań głowie.

Myślałaś wtedy:

— Albo moje oczy już nic nie warte, albo to dziecko moje jest najśliczniejsze z tych wszystkich pań i panien.

Chętnie ci przyznałem słuszność.

Nazajutrz zrana, spotkawszy Esterkę w zwykłej jej postaci czarno-szarej, nędznej poczwarki, nie mogłem się powstrzymać od powiedzenia jej, jak ładnie wczoraj wyglądała i jak korzystnie dla niej wypadało porównanie z innemi paniami.

— Doprawdy? Bardzo dziękuję panu. Jeszczem tego od nikogo nie słyszała.

Biedactwo, — więc to był pierwszy komplement w jej życiu.

XII.

Nie przypominam sobie, bym potem z nią rozmawiał. Nie — z pewnością, to było po raz ostatni.

Gdym ją następnie zobaczył — już to nie była Esterka — już to nie był słodko

pachnący i śliczny kwiatek, tylko biedne, martwe ciało, skulone pośród zbielałego od dojrzałości żyta, na wązkiej miedzy, i nakryte rogożą.

Zdaje mi się, iż w pobliżu był kopiec graniczny, a na nim siedział, pykając fajeczkę, człowiek stary, któremu polecono zapewne pilnować trupa do zejścia władz i lekarza.

Odchylałem rogożę. Musiałem to uczynić, pomimo całą bolesność tej chwili; musiałem pożegnać dobre dziecko Symchy. — Ach, ten ślad łzy na policzku, ziemią powalanym.

Co się stało? Nic nadzwyczajnego. Doskonale pamiętam, że to było opisane drobnym drukiem. »Na polach podmiejskiej wsi Czarnego Borku znaleziono zwłoki młodej dziewczyny, Żydówki, ze śladami gwałtownej śmierci. Sprawca zbrodni poszukiwany.«

Pojmano tego człowieka. Był to włóczęga podmiejski. Na bocznej i mało uczęszczanej dróżce polnej — tak brzmiało jego zeznanie — napotkał Żydówkę. Był pijany, zdarł z niej chustkę i zobaczył twarz młodej dziewczyny. Broniła się zajadle, ugryzła go i podrapała. Nóż wyjął po to tylko, żeby jej pogrozić; w jaki sposób nadziała się na ostrze — on

nie ma pojęcia. Sekcya wykazała, że gwałt nie miał miejsca.

Biedactwo, niema brylantów na ziemi, któreby warte były twej ostatniej łezki. Śpij. — Gdyby żal po ziemi miał być tą kołatką, na odgłos której umarli obudzą się kiedyś i wstaną, — czy ty wstaniesz? Może — nie, Może mylą się ci, co twierdzą, iż zostawia się na ziemi coś godnego żalu.

PONAD WSZYSTKIEM!

Myśli, wysławiające ból i śmierć, cóż więcej śród ludzi — gdy tylu jest obłudnych i bojaźliwych — napotkać mogą, prócz jednej nienawiści. Niech będą głosem prawdy szczerej i nieulęknionej — tembardziej znienawidzone zostaną i wyklęte. Nienawidzcie ich, poczciwcy, którzy kłamstwu chętnie dalibyście świadectwo, gdyby odeń spłynąć na was miała łaska bezbolesnego i długiego żywota — i nienawidząc, kamienujcie myśli te kamieniami, jakie do ręki wam poda upragnienie życia za jakąbądź cenę. Wiedzcie jednak, iż uczczenie kłamstwa nie jestto jeszcze obmierzłej prawdy pochów. Daremna! Nad ukamienowaną ubijecie ziemię i darnią ją obłożycie i głazem jeszcze przyciśniecie i na straży Milczenie z jednej, a Niepamięć z drugiej postawicie strony. Daremna! Nie będzie to jej zabicie, wstanie ona, jako opary wstają nad cmentarzyskami i zasnuje blask ucztowania waszego.

I.

Otóż przyszłaś — ledwie spłynął wieczór, ledwie z łąk zeszli kosiarze, ledwie pierwsza łódź rybacka zakołysała się na naszej rzece, śród drżących łusek złotych, już pociemniałych.

Cieniem nasiąka zachodnia strona nieba. Powiewne chmurki, obłoczne puchy lekkie, które przed chwilą wyścielały purpurową łożnicę słońca, gdy ta się zapadła, zostały na krawędzi niebios opuszczone i smutne. Niebawem objęła je szarzyzna, ociężałość; stały się podobnemi do dymów rozwleczonych i zastygłych nad pogorzeliskiem.

Czy to ty wlałaś w nie przenikliwy smutek istot, skarżących się, iż słońcu już nie są potrzebne, ozdabiać łożnicy jego więcej nie będą, ani w wieńcu płomiennym nad piękną głową jego już nie zawisną? Przyniosłaś z sobą taką cichość, że najsłabsze chmur westchnienia rozgłośnie toczącym się echem do uszu wpadają.

Przyszłaś. Nie czekałem dziś na ciebie, anim się ciebie spodziewał.

Dzień ten był dniem słońca, dniem świa-

tła życiodajnego i tchnień gorących. Ku południowi promienność oślepiająca, zaledwie pozwalając oczom musnąć strop nieba spojrzeniem olśnionem, spychała je wnet na ziemię.

«Dość wam pięknych światełek, któremi łaska słońca pierś jej ozdobiła».

Jakoż wszędzie była mnogość świetnych blasków; szata, okrywająca ciche i martwe wnętrze ziemi, bogato nimi zahaftowaną była.

Na miedzach i polnych drożynach błyszczały smugi wodne, które wczorajsza zostawiła burza; wiatr, popijając z nich (—zdyszany gonitwą i po niej spragniony) — wprawiał je w drżenia świetlne. Przydrożne młode topole, wstrząsając wierzchołkami, odsłaniały niedbale swe bogactwo, swoje srebro, rozsypane w mnóstwie drobnych, świetnie połyskujących krążków śród bujnego, obmytego świeżo listowia.

Po łąkach nieskoszonych szedł dreszcz srebrzysty, dreszcz wstydliwości i zasromania się dojrzałych traw, niepokojonych obecnością rozkwitłych śród nich maków, które w czerwieni swej tchną na łąkę żarem gorącej żądzy, upragnień wzburzonej krwi.

Świeże pokosy miały ten swój cudny

zapach, słaby i delikatny, który by pochwycić — trzeba szeroko rozdętych nozdrzy i silnego, pełnego oddechu. Rzekłbyś — to zapach młodości, zapach twej pierwszej kochanki, jej włosów rozpuszczonych i ramion wstydliwie usuwających się od twych ust.

Jest nad rzeką urocza, zaciszna ustroń, zboczem osłonięta wzgórza, cieniem nakryta prastarych sokor i szumem ich owiana. Głogi, tarnina i róże polne oplatają czarne pnie drzew o nabrzmiałej, spękanej korze. Róże kwitną. Pomiędzy wzgórzem i nadbrzeżną wikliną łąka się usłała a na niej niedawne, przywiędłe pokosy. Kilka dziewcząt grabiło siano.

Były młode, zdrowe, silne i ochocze. Gdy wszystko naokół miało zapach, one miały swą świeżość, wiośnie ujętą. To, co u innych naokół rzeczy było blaskiem, odkradzionym słońcu, w nich stało się wesołością nieustannie roześmianą, radością życia niemilknącą, radością, która wypowiada się bezwiednie a ciągle w każdym ruchu, słowie i wejrzeniu.

Praca ich nie była ciężką; nieustannie przerzucały się słówkami, którym towarzyszył śmiech. W ruchach swych szafowały siłą do zbytku a bez troski. Coraz to która z nich, rzuciwszy grabie, chwytała w pół towarzy-

szkę; poczynały się mocować, póki jedna drugiej nie zwaliła na ziemię śród krzyków i ogólnej uciechy.

Gibkie i sprężyste ciała ich były najdoskonalszym wyrazem życia, najdźwięczniejszym jego okrzykiem, najbardziej iskrzącą z tych fal, które na powierzchni martwej ziemskiej bryły zadrgały, zakipiały i rozsrebrzyły się od blasku i ciepła słonecznego.

Tyś jeszcze nie nadeszła.

Czy wiesz, o czem w tej ustroni myślałem?

Oto — iż przez chwilę chociaż istnieć może na świecie zakątek, w którym niepodzielnie panuje życie, zbudzone w radosnem poczuciu młodości i zdrowia — i cieszyłem się, że *ciebie* tam nie było.

Ona.

Mylisz się. Byłam. Nie dostrzegły mnie twoje oczy, jak nie dostrzegły tego dziewczęcia, które ani w pracy, ani w uciesze nie miało udziału. Zasłaniał ją nadbrzeżny krzak wikliny, cień, którego litościwie darzył ją ochłodą.

Słuchaj. To dziewczę — nim nadeszłeś — do spólnej zabrało się z rówieśnicami swemi roboty, ujęło grabie w wątłe, wyschłe swe

rączki, próbując ukryć ich drżenie. Uśmiech żałosnej niepewności i zawstydzenia błąkał się po jej ustach, a spojrzenie prosiło:

— Nie śmiejcie się ze mnie.

Ale nikt się nie śmiał; wszystkie spoglądały na nią życzliwie, lubo z cieniem frasunku. Bezwątpienia żadna nie chciałaby frasunku tego jej okazać, lecz właściwością jest dusz prostych, iż nic ukryć nie umieją i mimowoli, w sposób naiwny dają wyraz swym uczuciom. To też, pewnie wbrew woli tych dziewcząt, tracił powszednie swe brzmienie i jakichś śpiewnych tonów żałości nabierał głos ich, gdy upominały swą siostrę:

— Nie męcz się, Joasiu. Nie lepiejby ci to pójść w cień wikliny, gdzie chłodek od rzeki pociąga. Nasłałybyśmy dla ciebie pachnącego sianka. Idź tylko, połóż się tam, a zobaczysz, jakich ci pięknych naprzynosimy maków, jak ustroimy kwiatkami twoje śliczne włosy.

A ona jeszcze żałośniejszem spojrzeniem milcząco prosiła, by jej nie odpędzały. Czytałam w jej myślach:

«Otóż to mi wielka radość ustroić włosy kwiatkami, gdy się ich samej nie rwało, ani z nich wianka nie uplotło. Módz w znoju

pracować jak inne — dopieroby radość dla mnie była».

I nie puszczała z rąk grabi, pomimo, iż za każdem poruszeniem głębiej wbijał się w jej chorą pierś tępy klin bólu.

By nie zawstydzać jej niemocy, inne dziewczęta, jakby się namówiły (namowa to była dobroci, serca młode i czyste przenikającej), jęły poskramiać kipiącą ochoczość i żywość swoich ruchów; ręce ich z grabiami wyciągały się powolnie i miarowo. Co chwila prawie — odpoczywały, ocierając pot, niby wielce umęczone i zgrzane, a Joasi dodawały otuchy:

— O! Joasia jaka dziś silna, jak się zwija. Śmiej się Joasiu z twej choroby, poszła ona już na bory i lasy.

Lecz z czoła Joasi poczęły kapać grube, wielkie jak grochy, krople potu, lub spływały po jej twarzy, która miast się zarumienić, stawała się coraz bledszą i bardziej przeźroczystą. I w tem ręce jej zwisły bezsilnie. Podskoczyła do niej najbliżej będąca dziewczyna, podchwyciła ją na ręce i w swych silnych ramionach zaniosła ją, jak dziecko, w cień krzaków nieopodal rzeki.

Za chwilę już biegł po łące ten rozgwar

wesoły, który posłyszałeś, a tam, w zielonej i chłodnej gęstwinie, z za której połyskiwały srebrne fale, Joasia została — sam na sam ze mną. Leżała cichutko, przycisnąwszy ręce do bardzo rozbolałej piersi.

Ja w jej myślach czytałam skargę.

— Boże, czemuż nie jestem jak inne i czemuż to umierać muszę!

II.

Śród osamotnienia, w chwilach cichej człowieka z sobą rozmowy, wtrącają się do szeptów jego myśli echa twojego głosu.

Dziwne echa! Jakby gdzieś, w pobliżu olbrzymi przesuwał się lodowiec — słyszysz pogróżki zmiażdżenia i zimno lodowe obejmuje piersi.

Posępnieje do głębi istota ludzka.

Każda posępnieje zrazu. Gdy była wesołą — utraca wesołość, gdy była posmutniałą od trosk swoich powszednich — bardziej się jeszcze zasępi troską jakąś niepowszednią a wielką.

Lękliwi i żałujący wesołości próbują, czyli spłoszonej nie powróci im kłamstwo (—lęk

bratem jest obłudy) — więc wmawiają w siebie:

— Niceśmy nie słyszeli. Czemuż się nam przywidziało, iż coś słyszymy — gdy nic nie było! Wróćże wesołości nasza.

I do nich wraca ich nędzna wesołość. Czerw może ocaleć, choć śród lodowców giną łodzie i okręty. Lawina tocząca się z gór mniej groźną jest dla mchów, niż dla dębów. Choć zabłąkane echa twego głosu wpadają i do uszu słabych, bojaźliwych i kłamców, nie do nich ty wszelako przemawiasz, lecz do odważnych i szczerych.

Ci także pochmurnieją od mowy twojej i na ich obliczach rylec troski głębsze wyżłabia wtedy rysy i ich serca cierpią w skurczu bolesnym, gdy na nie mróz tchnął znagła.

Lecz nie wypierają się, iż słyszeli.

— Tak, słyszeliśmy — mówią.

— To było straszne — mówią.

— Nie wróci do nas dawna niefrasobliwość — albowiem głos lecący szlakiem gromów przygłusza odgłos piszczałek, trąb i fletników, na których przygrywa wesołość.

Nie miękną jednak w trwodze ich serca, bo są męskie i łatwiej je zdruzgotać, niż przestraszyć.

— Czyż dlatego, że z pośród złowróżbnie błyskających chmur, w których skłębiły się nieznane nam przeznaczenia, wyjrzało straszne oblicze, już mamy nie żyć, lub płakać, lub zasłonić oczy wzorem ptactwa kryjącego głowy pod skrzydła? Mamyż trwać w myśli, iż skoro my nic nie widzimy, to i nas nie widzą te z strasznego oblicza wyglądające oczy?

I choć są to ziemskie tylko, a więc małe i niemocne twory, drobiny w wszechświecie, buntują się jednak.

— Niechże oczy, wyglądające z oblicza strasznego, natrząsając się z małości naszej, nie szydzą przynajmniej z strachu naszego.

— Odwaga jest godnością najmniejszych i najbardziej bezbronnych.

Odkąd bezbronni wobec przeznaczeń swoich rzekli, iż odwaga jest ich godnością, której żadna im moc nie odejmie — otóż z oblicza twego pierzchła złowróżbność, zeszła zeń ohyda, strach wzbudzająca, przestało być strasznem.

Rozwiała się groza twego wejrzenia, paraliżująca słabych. W spotkaniu z hardym i nieulęknionym wzrokiem mężnych czyliż nie

nabrały oczy twoje żałości raczej, jakbyś rzec chciała:

— Otom taka, jak wy — nieświadoma przeznaczeń swoich, nieświadoma skąd i dokąd idę, po co strach szerzę.

A przeto stałaś się nam blizką i niestraszną — i oto wiemy, że dwa są twoje imiona: *Ból* i *Śmierć* — i że dwa przyjęłaś imiona, bowiem śmierć jest ostatnim i najbardziej uroczystym wszelkiego bólu wyrazem — i to wiemy, że śród rzeczy ziemskich ty jesteś ponad wszystkiem.

A że jesteś ponad wszystkiem, więc cześć tobie, cześć od mężnych.

III.

Powiedzcie — którzy Jej nienawidzicie — czy strasznym jest dla was ból, jeśli nie was i nie powinowatych waszych dotyka, lecz obcych i dalekich, lub czy śmierć zwalibyście okropną, gdyby nigdy na waszą nie zaszła łąkę, tylko za miedzą kosiła?

Skwapliwie zaprzeczy obłuda wasza. Niech przeczy tem pewniej, iż dalekie jeszcze prawdy zmartwychwstanie.

Dalekie. Nastąpi wszelako.

I oto, co ujrzymy.

Ujrzymy, iż serca wasze były jako najurodzajniejsza gleba, każdej przyjazna roślinie, ale jednej tylko rozrastać się daliście — ukochaniu życia dla siebie i powinowatych waszych niewielu.

Który był z innej parafii — jużeście bólu jego nie czuli, ani nie budziły w was grozy męki jego konania. Zaprawdę wyście nie czuli bólu żadnej istoty, bo nawet z powinowatych waszych, który oddalił się o sto mil, lub o tysiąc mil, na pięć lat lub dziesięć lat, już mógł ginąć, bo zastąpili go bliżsi, którzy z oczu wam nie schodzili. Kto zaś niepowinowatym był, mógł nawet za murem ogrodu waszego ginąć, lub u progu biesiadnej sali.

Cóżeście rozumieli, gdy was pytano: człowieku, azaliż ty nie czujesz bólu półdzikiej lecz tobie podobnej istoty, kryjącej się w borach dalekich lądów i wysp, nagiej, ciemnej, zbłąkanej, upadającej w walce z okrucieństwem przyrody? Azaliż ty nie czujesz jej bólu tylko dlatego, że ona jest daleko, że jej nie widzisz?

Człowieku — a ból tych stokroć jeszcze od dzikiego borów mieszkańca nieszczęśliw-

szych potępieńców, umęczonych w otchłaniach nędzy, łaknących, splugawionych przez występek — czyliż nie jest twoim bólem?

Człowieku, czyliż jedno choć nie zadrga w twojem sercu włókno, gdy zwierzę ucieka przed tobą w szale trwogi i rozpacznym rykiem odpycha śmierć, którą zadać mu chcesz, by mięsną dla siebie posiąść strawę?

To ujrzymy, iż odczucia innego życia prócz własnego nie było w was, nie było wcale. Śród wód drgających upragnieniem życia innych istot, wyście byli jako kamień, o który fale tłuką daremnie.

Taką martwą okryte skorupą serca wasze stuliły się i nic już nie czuły tylko szalony lęk, by jaki nie dosięgnął ich kolec.

Przeto znienawidziliście Ją.

Szła na waszą łąkę, więc złorzeczyliście jej, wołając: Gdybyż uwolnić ziemię od tego straszydła!

Zaprawdę, nie ona to jest straszydłem, zmorą snów, nie ona — lecz wasze samolubstwo.

Są zaś, którzy żadnej odrazy ku niej nie mają i pytani: Jak wygląda? — mówią: Piękna.

Bo nie kto inny, tylko ona z serc ludz-

kich zrywa skorupy martwe, skrzep krwi ostygłej, ona obudza w nas poczucie wspólności ze wszystkiem, co żyje.

— Oto wszystko, co żyje — cierpi, i przez cierpienie idzie ku śmierci.

Ktoby Jej wyparł się i odepchnął, byłby ogniwem z łańcucha jestestw wyrwanym a w niebolesności i wiekuistości trwania swego straszliwie samotnym. I może — bardziej nieszczęśliwym od nas, którzy bólowi i śmierci podlegli jesteśmy.

IV.

Wysnutej z marzeń, przenikających zasłony przyszłości, posłuchaj bajki o bezchmurnem szczęściu.

W bezdenność czasu zapadł się długi szereg stuleci. Wóz odnawiającego się życia ciężkiemi kołami w proch starł kości wnuków i prawnuków naszych.

Na skrzydłach, przez wiekuistość cicho i niezmordowanie mknących, losy ludzkości niosły ją niepostrzeżenie ku zamknięciu olbrzymiego kręgu jej przeznaczeń.

Te skrzydła ongi wzbiły się do lotu z raju—

wonnej, słonecznej, obcej troskom kolebki życia — i oto, przebywszy krwawą mgłą nasycone, niezmierne przestworza niedoli, szlak ludzkości przez wieki zalegającej, znów podleciały do raju, gdzie ciche wciąż trwało ukojenie śród różowych blasków szczęścia.

W owej chwili umierał ostatni człowiek, który znał na ziemi cierpienie.

Ostatni.

Do świata odchodził umarłych i z sobą w pomrokę milczenia i niepamięci zabrać miał tajemnicę strasznej, ohydnej drogi, jaką przebyli dziady i pradziady tych, którzy teraz bezchmurnego zażywać będą szczęścia.

Umilknięcia wiekuistego blizki, troszcząc się o wypełnienie woli zgasłych, niedolą jeszcze karmionych pokoleń, których końcowem łańcucha był ogniwem, zwołał on rzesze i tak do nich przemówił:

— Gdy umrę — nikt już wyrazów tęsknota i nieszczęście pojmować nie będzie. Z moich ust usłyszycie je raz ostatni. Oto mówię wam, iż z niewymownie tęsknem upragnieniem zastępy pomarłych już ludzi roiły o waszem szczęściu, dla którego żyły, pracowały, cierpiały. Dziś dojrzał owoc wielkich i ciężkich zabiegów i wysiłków. Waszym obo-

wiązkiem będzie szczęście, jak naszym było nieszczęście. Bądźcie szczęśliwi a tem spłacicie dług ojcom waszym.

Niezmierna słodycz rozjaśniła twarz umierającego; w jego oczach skupiły się niezwykłe błyski. Bezwątpienia, w tem sercu ożyła na chwilę cała umęczona, umarła, w proch rozsypana ludzkość i wielką, spóźnioną, od wieków oczekiwaną ucieszyła się radością.

— Bądźcie szczęśliwi.

Nauczał ich, iż szczęście jakie odtąd stanie się udziałem ludzi, będzie trwałem, że nic w teraźniejszości ani w przyszłości zamącić go nie zdoła.

— Nie trzeba jednak — powtórzył po kilkakroć — nie trzeba, byście doszukiwali się przeszłości ludzkiego plemienia. Ona będzie przed wami ukrytą, zostawcie ją w spokoju. To jest przykazanie ojców waszych, uszanujcie je.

Z nim razem umarły nawet echa ludzkiego cierpienia.

Nikt już teraz nie wiedział, jakiem ono jest. Nikt nie wiedział, co to ból, rozpacz, zniechęcenie, łaknienie, głód, gorycz lub tęsknota. Wiedzieli o tem tylko umarli, ale przeszłość ludzi, zaklęta w milczenie, ukryta była

przed żyjącymi, ukryta w głębiach tajemniczych boru, którego nikt nie znał.

Trudno by było doń trafić. Niedostępną osłonięty był górską kotliną, do której droga słała się po piaszczystej, martwej pustyni. Skoro kto w te zabłąkał się strony, dostrzegał tak cudną fata morganę, iż olśniony i rozmarzony nie szedł dalej, jeśli zaś próbował zbliżyć się do uroczego obrazu, wyprowadzała go ułuda na koła błędne, tak, iż zawsze każdy ominął miejsce, gdzie spała przeszłość.

Upływały dni ludzkie w bezchmurnem szczęściu. Uwielbili ludzie wspaniałym hymnem życie i jego radości.

Raz, młodzieniec jeden, zaszedłszy na pustynne szlaki, napawał długo wzrok swój widokiem cudnej, rozpostartej w cichem, słonecznem przeźroczu fata morgany. Potem niebacznie przeniósł oczy na samo słońce, które oślepiło go tak, iż długi czas szedł nic nie widząc.

Gdy wreszcie spojrzenie jego odzyskało jasność, był już za obrębem fata morgany i ze zdumieniem ujrzał posępne zarysy skał, nigdy w tem miejscu niewidzianych.

Za przewodem idąc ciekawości, mozoły młodzieńczą pokonawszy siłą, dotarł do boru;

z zapartym wszedł oddechem pomiędzy ciche drzew kolumny, mroczne podpierające sklepienia. Te ze wspomnień wszystkich, co przeszli przez ziemię, utkane były.

Z ciszą stuleci zmieszane jedno wystarczyło tchnienie istoty żyjącej, by zbudziła się przeszłość.

Bór rozbrzmiał ponurem wyciem...

O zachodzie słońca na żyznej, ukwieconej dolinie zebrane rzesze pieniem miłem, jak pieszczota chłodnego, rozpraszającego skwar wietrzyka, żegnały dzień:

«Zasypia w purpurze cudny dzień — Świat w niezmąconej trwa pogodzie — jak słodko jest o przedwieczornej porze wielbić szczęśliwość życia —».

Wtedy właśnie ukazał się człowiek biegnący, uciekający przed pościgiem czegoś strasznego. Wiatr rozwiewał jego włosy zbielałe, przez krótką zbielałe chwilę; blask obłąkania niosły rozwarte szeroko, przerażone oczy.

Za nim ciągnęło widmo. Olbrzymie — rozrastało się aż po strop nieba. Cała przestrzeń wypełniła się nim i jego brzmiała głosem.

— Przeszłość, przeszłość — zajęczały usta żyjących.

— Ile tam mąk, ile mąk było.

— Jak mało radości.

— Jak wielka przewaga złego nad dobrem, nieszczęścia nad szczęściem, występku nad cnotą, nędzy nad dostatkiem...

— Ile ofiar, poświęceń, złamanych istnień.

— Ile zbrodni.

Widmo swą dłoń położyło na bezchmurną szczęśliwość ludzką i pierzchła szczęśliwość, bo wielki był ciężar tej dłoni.

— Zaprawdę, niech wróci ból do nas — skoro szedł trop w trop za plemieniem ludzkiem od jego poczęcia. Nie bylibyśmy z tego plemienia, gdyby uszy nasze zatkane były na jęk grobów.

...I wrócił ból.

TOMASZ SITOK

I.

Zwątlony i już od wielu lat kalectwem dotknięty organizm Tomasza Sitoka przypominał owoc robaczywy.

Porównanie niewyszukane – ale malujące rzecz bez osłonek. Trzeba jednak dodać, iż to, co nurtowało w ciele kaleki i toczyło je, nie było płodem starości — on zaledwie czterdziestkę przekroczył — ani wynikiem chorób, które wypadkiem podkopują zdrowie. Stanowczo, nie było to nic innego, jak tylko — szkodliwe nałogi. Działały one powolnie, zjadając sprawność fizyczną małymi kąskami, dokonywając dzieła zniszczenia zupełnie tak, jak robak, rozpanoszony w gruszce.

Do czegoby można przyrównać duszę Sitoka?

Należałoby chyba powiedzieć, że ma ona lepkość błota i ślizgość gadu.

Wogóle niemiłe osiągało się ze znajomości z nim wrażenie. Pomijając brud jego odzieży, świecący ohydnym połyskiem tłuszczu na rękawach, kołnierzu i klapach surduta, pomijając swoisty odór, którym osoba Sitoka przesyconą była, — trudnoby zaprzeczyć, że i duchowe cząstki istoty jego bynajmniej nie pachniały. Są dusze cuchnące.

Patrząc na ułomność cielesną i duchową tego człowieka, nie chce się wierzyć, żeby on był pędem od potężnego i wspaniale rozrastającego się w krzepkości i zdrowiu pnia ludu wiejskiego. Ale tak jest.

Sitok pochodzi z małej, nędznej wioski, rzuconej na jedną z tych nizin, które ludziom tak trudno ubłagać o dostateczną dla ich wyżywienia ilość płodów ziemi. Pomarszczona gdzieniegdzie w żółte fałdy wydm piaszczystych, miejscami znów zapada nizina owa w wymiękłe, tatarakiem porosłe mokradła. Żyta tu zawsze liche i ziemniaki się nie udają.

Rodzinną wioskę Sitoka w dość dużym promieniu nazywają *głodną wsią*. Więcej mieści ta nazwa pogardy, niż współczucia; zwłaszcza brzmi ona nieżyczliwie w ustach mieszkańców poblizkiej osady. — Nikt łatwiej

nie ulega posądzeniom od biedaka, niemającego co jeść; komukolwiek w osadzie coś zginęło, mówiono bez wahania:

— To sprawka jednego z głodnej wsi.

Nie ulega wątpliwości, że wśród mieszkańców wioski było paru ludzi, zniecierpliwionych macoszą dokuczliwością losu i zdecydowanych zwalczać ją środkami brzydkimi. Drobne kradzieże stały się dla nich sposobem wiązania końca z końcem, łatania dziur, ciągle roztwierających się w ich nędznem bytowaniu. Stanowili wyjątek, opinia zaś ludzka podniosła ich do znaczenia reguły. Za ich winy cierpieli ludzie zrezygnowani, uczciwi, nie mogący przezwyciężyć odrazy do wyciągania ręki po cudzą własność.

Nie dowierzano jednym i drugim.

Mówiono:

— Jan Wargoń i Mateusz Dorobski to złodzieje jawni, szczere złodziejskie natury, a tamci — to baranki wilkiem podszyte. Ho, ho — niechby się tylko któremu zdarzyła okazya; pewnieby się nie wzdragał. Toć to głodna wieś.

Była to bardzo pospolita ludzka niesprawiedliwość.

»Tamci« odczuwali ją głęboko. Znać to

było po ich przygnębieniu. Życie im obrzydzała nędza, obrzydzały bezowocne wysiłki, by wydrzeć ziemi trochę plonu, obrzydzały choroby, lęgnące się z mokradeł, febra dręcząca na wiosnę dzieci i starców, i — ten brak miru u ludzi. Nie dość, że cię bieda gryzie, jeszcze każdy złodzieja w tobie węszy.

Bardzo szarą jest powierzchowność i apatycznym wyraz twarzy u gospodarzy z tej wioski. Trudno wyciągnąć ich na rozmowę. Nigdy nikomu prosto w oczy nie patrzą. A to jeszcze bardziej odstręcza od nich ludzi.

— Aha, nawet w ślepia człowiekowi spojrzeć nie śmią.

Ludziom, wielu ludziom się zdaje, że gdy poskrobią z wierzchu skorupę, okrywającą duszę bliźniego, to go już znają, przenikają nawskroś. Oczywiście — jest to omyłka. Kto badał nie skorupy, lecz same dusze, ten wie, iż niepatrzenie komuś w oczy nie zawsze dowodzi występnego sumienia, że to bywa również skutkiem uczuć bardzo smutnych, ale nieuwłaczających, np. uczucia beznadziejnego przygnębienia, macierzą którego bywa ciężkość losu i ludzka niesprawiedliwość.

Przed trzydziestu laty był w tej wiosce

mały chłopak, na widok którego każdemu mogła się przypomnieć legenda o ulepieniu Adama z gliny. Mieliście przed sobą sporą jej grudkę, zagniecioną pospiesznie i dość niedbale w kształt chudego malca.

Niezdrową bladość wiotkiej, jakby wymiękłej skóry tego dziecka przyćmiło opalenie się na słońcu i przykryła warstwa brudu. Stąd powstała barwa gliny, powlekająca nadzwyczajnie chudą z śpiczastym podbródkiem twarzyczkę i cienką szyję, widoczna też na uszach oraz nogach, obnażonych do kolan. Cały wyglądał jakby tylko co obsechł po uprzedniem wynurzaniu się wraz z odzieżą w błocie.

Gdy Tomek położył się w bruździe, na gołej ziemi, a jeszcze lepiej na rżysku, trudno go było od szarego tła odróżnić.

Nie było to zdrowe dziecko. Co wiosna męczyła go febra, od której sechł i mizerniał, która nie dawała mu się rozwinąć. Cierpiał też wiele rozwój chłopczyny od złego i skąpego pożywienia. Gdy omijała go febra, uczuwał ciągły głód i zazdrościł każdemu jedzącemu.

Oto matka niesie misę z resztą kartofli,

rozbełtanych wodą, Burkowi, stróżującemu na uwięzi przy obórce — Tomka to złości.

— Jabym jeszcze jadł, a to już psu dają.

Jeśli się uda, że nikt nie widzi, on skrzywdzi Burka, ujmie mu trochę jadła.

Wyrzucano chłopakowi jego lenistwo, wykręcanie się od wszelkiej roboty. Co prawda, nie miał za grosz siły.

Każą mu np. odegnać świnię, która zapędziła się na zagony z kartoflami sąsiada, Tomek udaje, że nie słyszy; zerwie się wreszcie, gdy mu pogrożą, leci, zadyszy się, upadnie jak długi i leży. Rodzice tylko wymyślali na niego, żadne go nie tknęło.

— Marnota, suche to — bić go się nie godzi.

Tłukli go za to bracia i siostry.

Był najmłodszym z dzieci, dzieckiem już z tego okresu, kiedy ojciec począł bardzo ulegać skłonności do kieliszka. Stąd może złe popędy — choć rodziców i rodzeństwo miał uczciwe. Przydybano go raz na dobieraniu się do szuflady matczynej z pieniędzmi; znajdywano przy nim po parę groszy niewiadomego pochodzenia.

Skryty był, nieszczery, tchórzliwy.

Wreszcie tkwił w nim jeszcze jeden rys zepsucia na gruncie chorobliwym. Trawiły go przedwczesne, nienaturalne popędy. Na twarzy jego widziało się nieraz dziwne wypieki. Jeśli się bawił z innemi dziećmi, to zawsze w ukryciu przed okiem starszych.

Chłopiec ten, jeszcze będąc małym, z pewnością znieprawił niejednego z rówieśnych, wtajemniczając ich w rzeczy, które nieustannie jego chorobliwą ciekawość niepokoiły.

II.

Trudno upatrzeć twarz bardziej śpiczastą. To już nie owal wydłużony, lecz poprostu — klin.

Ku ostrzu podbródka, kępką rzadkich włosów obrosłego, zbiegają jak promienie po zapadłych policzkach fałdy skóry; podłużne linie tych zmarszczek i głębokich wyżłobień jeszcze wydatniejszą czynią klinowość niezwykłego oblicza.

Nos długi; wąsy z twardych, nastroszonych włosów przysłaniają górną wargę.

Dwie fałdki, po obu stronach nosa opadające poniżej kątów ust, mieszczą w sobie tajemnicę zawodu Sitoka. One to do stopnia

najbardziej wzruszającego podnoszą żałosność wyrazu, którym całe jego oblicze przemawia do was na ulicy, przemawia tak wymownie, tak prawie nakazująco — chociaż usta Sitoka są zamknięte, lub poruszają się bezdźwięcznie. Błogosławione dwie owe fałdki.

No — i to bezdźwięczne drżenie warg, ta niby skarga bez słów, niby modlitwa cicha — to także znakomicie udaje się Sitokowi. Stanowi ono jego oręż w walce o środki do życia tak udoskonalony, iż nim pobija z łatwością swych współzawodników, nawet ślepców uposażonych w dramatyczny wyraz zgasłego spojrzenia, — nawet baby, trzęsące się nieustannie.

Wogóle Sitokowi wszystko sprzyja. Czy można wymarzyć skuteczniejsze poparcie od losu nad tę twarz głodomora, zaczarowaną w swej chudości, z skórą obwisłą jakby po parotygodniowym poście. Wszak to cała okropna i rozrzewniająca opowieść nędzy, głodu, świeżo przebytej choroby. Błogosławiona opowieść.

Gdy Sitok mówi: »Trzy dni nie jadem« — każdy mu wierzy.

Gdy mówi: »Wyszedem ze szpitala, panie litościwy, ze szpitala«—znów każdy mu wierzy.

A jednak człowiek ten odżywia się regularnie, przepada za tłustą strawą, za smacznymi kąskami. Nie brak mu ich, po najedzeniu się dosyta obdziela nimi swą kochankę. Przekąski gorące, ociekające tłuszczem, niesłychanie pieprzne i słone, które Sitok przyrządza dla swych przyjaciół, mają ustaloną sławę — zachęcają w najwyższym stopniu do picia.

Przy nienasyconej żarłoczności być jeszcze pijakiem, a przy pijaństwie i obżarstwie módz zachować twarz głodomora, obudzającą litość serc czułych—to znaczy chyba, iż los nie jest nam krzywym.

Kalectwo Sitoka polega na sztywności, uczuwanej w lewej nodze i ręce, któremi włada z niezupełną swobodą. Nadto, ma trochę utrudnioną mowę, wielu wyrazów wcale nie wymawia i to żadnem symulowaniem z jego strony nie jest. Co zaś do ręki i nogi, to umie on mistrzowsko uwydatnić swe upośledzenie.

Nic dziwnego. Choć rzemiosło jest człowieka wytworem, jednak i ono urabia go nawzajem, urabia jego członki.

Ściśle mówiąc — następuje wyćwiczenie cielesne, przystosowanie członków takie, by

w zawodowej pracy służyły człowiekowi najkorzystniej. Patrząc na Sitoka, gdy posuwa się zwolna przy pomocy dwóch lasek i z niesłychanym trudem ciągnie swą lewą nogę, rzeklibyście, iż jest ona zupełnie martwym ciężarem. Jego lewa ręka, wiecznie jednakowo zgięta, wydaje się zesztywniałą jak drewno. Dużo w tem wyrobienia.

Chorobie, która odjęła mu na razie władzę w jednej połowie ciała i mowę, uległ Sitok będąc jeszcze bardzo młodym, coś koło dwudziestu kilku lat, człowiekiem. Leczono go w szpitalu długo i starannie; wyreperowano go, jak połamany sprzęt. Trzeba było na nowo uczyć go chodzić i mówić; po roku jednak wyniki były bardzo dobre.

Coś z choroby zostało — i dobrze że zostało.

Sitok nigdy nie lubił pracy. Nie czuł sił do niej; nużyła go i przykrzyła mu się każda robota; uczuwał głęboką odrazę do wszelkiego wysiłku, woląc cierpieć ból, niż robić. Stan fizyczny, w jaki pogrążyła go choroba, przyniósł mu uczucie blizkie tryumfu.

Aha, nareszcie jest niezdolny do pracy.

Instynkty żebracze wystąpiły w nim od-

razu, bez najmniejszego nałamywania się, wyłoniły się jako tajone upragnienie.

Gdy wyszedł ze szpitala, był zewnętrznie istotą jak najbardziej godną politowania; wewnątrz uczuwał zadowolenie. Odrazu wszedł w swą rolę.

Wyglądał istotnie żałośnie, chudy, jakby pokręcony. Mowa jego dziwna, zająkliwa, przytłumiona, robiła wielkie wrażenie.

— Ze szpitala, litościwe, ze szpitala...

Wtedy była to prawda i — rzecz dziwna — zarabiał wówczas bardzo mało. Ale nie trapił się złymi początkami, czując, iż — mimo wszystko — stąpa po pewnym gruncie.

Zwolna, coraz wyraźniej począł się zarysowywać przed nim gmach szczęśliwości doczesnej. Trzy jego słabostki — żyłkę pijacką, pociąg do obżarstwa i usposobienie romansowe — choroba nie tylko nie przytłumiła, ale owszem rozjątrzyła. Zaspokojenia tych popędów bez pracy żądał teraz od losu. Tak, los w ten sposób powinien wynagrodzić mu jego kalectwo. I los był mu posłuszny.

III.

Wódka — dobre żarcie — kobiety!

Pierwszą kupował za użebrane pieniądze. Jadło dostawał. Na każdy dzień w tygodniu miał u kogoś innego zapewnione resztki obiadowe. Miejsca, gdzie je otrzymywał, zwał swemi «gospodami«.

Był bardzo ostrożny w wyborze tych gospód; postępował z namysłem, sondując przenikliwie ludzi, którzy zamiast datków pieniężnych skłonni byli udzielać mu stale w pewien dzień coś do zjedzenia. Odgadywał kulinarne upodobania dobroczyńców z taką samą bystrością, z jaką potrafił wykryć w kimś żyłkę filantropijną. Badał charaktery służby, wiedząc doskonale, że rozkaz, wydany jej przez pana lub panią, jest dopiero zapoczątkowaniem faktu, istota którego zależeć będzie w zupełności od dobrej woli fagasa. Gdy czuł, że lokaj albo kucharka go nie lubią, dawał odrazu za wygranę.

Ostatecznie dobrał sobie komplet dobroczyńców, którzy go zadowolnili.

W poniedziałki—młode małżeństwo, czule w sobie rozkochane; spodziewają się pierw-

szego potomka; pani przywiązuje zabobonną wiarę do błogosławieństwa żebraka. Sama wybierała dla niego kawałek soczystej pieczeni, do którego dokładała skrzydełko kurczęcia.

— To dla naszego biednego.

Lokaj Antoni, młody drab o bezwąsej, pucołowatej twarzy, odnosi do kuchni talerz z kąskami i zjada je w obecności Sitoka, mówiąc z filuterną minką:

— Pyszne, pyszne, doprawdy nasza pani bardzo wam sprzyja.

Jest wielkim smakoszem, oblizuje się, cmoka i pospiesznie otarłszy usta, biegnie z powrotem do jadalni. Tu napotyka pytające spojrzenie młodej kobiety.

— Oh, proszę jaśnie pani, biedny kaleka mówi, że ta polędwica pokrzepi go na cały tydzień.

Jest to kompromis pomiędzy nimi obydwoma. Lokaj zabiera sobie pieczyste żebraka, ten zaś w zamian otrzymuje podwójną porcyę sztuki mięsa, przerastałej łojem, którą bardzo lubi. Zapewne nie odmówiłby również kawałka polędwicy i nie bez żalu patrzy, jak znika ona w ustach innego smakosza, ale człowiek rozsądny idzie drogą najmniej-

szego oporu. Zacząwszy grymasić, naraziłby się Sitok na wojnę ze służbą i prędzej, czy później przegraćby musiał.

Wtorek — u kanonika. Stół dobry, obfitość zupy i sosów, mięsiwa dostaje Sitok skąpo, ale za to kąski, zniewalające do oblizania palców. Żadnych kompromisów ze służbą. Wogóle grunt trochę niepewny. Lokaj apatyczny, milczący, traktuje żebraka chłodno, toleruje go tylko. Kucharka wietrzy w nim alkoholika; kilka razy przysuwała się z wyraźną intencyą wybadania jego oddechu.

Sitok odgadł to natychmiast; on jest niezrównanym w takiej grze partnerem. Nie widzi żadnej potrzeby, by pozbawiać siebie tych dwóch kieliszków straszliwie mocnej wódki, którą wypija codziennie naczczo, lecz przed wejściem do kuchni kanonika wykadza sobie usta pastylką miętową, a potem stara się otwierać je jak najrzadziej, milczy z godnością, powstrzymując się nawet od wzdychań, które stały się jego nałogiem.

Za to środa jest dniem użycia wyzwolonego z pęt przymusu śmiałego ucztowania w domu kobiety utrzymywanej, prześlicznej, wesołej i bardzo bezwstydnej. Tutaj nikt do-

broczynności nie bierze na seryo, bawią się tylko doskonale osobą żebraka, w czem on sam dopomaga, odchylając z nieopuszczającą go nigdy ostrożnością rąbek własnego cynizmu.

Co prawda, gdyby nawet ukazał głębię swego zepsucia, nie zadziwiłby »pani« domu, która przejrzała go odrazu, nawskroś. Ta młoda kobieta o słodkich, głębokich oczach— bez najmniejszej trudności odgadła całe aktorstwo Sitoka i nurtujące w nim instynkty.

Pewnego razu pokojówka podpatrzyła żebraka, gdy skrycie głaskał spódnicę jej pani, rozpostartą do prasowania, kiedyindziej widziała jak z lubością wetknął nos w jej bieliznę, przygotowaną dla praczki, jak grzebał w stosie koszul, delektując się ich wonią.

— Ależ ja dokonale wiedziałam, że on jest taki — roześmiała się młoda kobieta, wysłuchawszy odkrycia pokojówki — dosyć mi było raz jeden na niego spojrzeć. On ma zabawne iskierki w spojrzeniu, zwłaszcza kiedy sobie podpije.

Bawiło ją to, iż przejmuje pożądliwością żebraka, że to zapachu jej ciała szuka on w bieliźnie: zresztą odnajdywała w nim tysiące stron komicznych. Pokładając się ze

śmiechu, opowiadała swym przyjaciołom o dwóch żałosnych fałdkach jego oblicza, lub o kapce, spływającej z jego nosa. Swoją drogą miała rodzaj uznania dla bezczelności, dla talentu wyzyskiwacza. Myśl, że ten człowiek musi w duchu kpić z całego świata, jednała Sitokowi jej sympatyę. W gruncie rzeczy łączyło ich poczucie koleżeństwa, wspólności gruntu, w którym instynkty obojga puszczają korzenie.

Sitok wiedział, że jest odgadnięty i że to żadnem nie grozi mu niebezpieczeństwem. W kuchni używał, pochłaniając wszystko, cokolwiek mu podsunięto a dodatkowe kąski wypraszając od służących pochlebstwem. Nie psuły mu humoru, ani apetytu figle grooma i pokojówki, którzy do zupy dolewali mu sosu, lub sztukę mięsa jego garnirowali resztkami leguminy. Przyjmował to z dobrą miną, wtórując cichym uśmieszkiem tym żartom. Ale żądał zadośćuczynienia, nadstawiał kieliszek, mrugając w stronę butelki z niedopitym likierem. Tego dnia bywał rzetelnie pijany, a wróciwszy do swego kąta w suteterynie, oddawał się śmiałym marzeniom, w których znikał przedział między nim i opływającą w dostatkach kurtyzaną.

Następnych dni musiał znów poprzestawać na posiłku skromniejszym, musiał hamować pożądliwości i naginać się do trybu życia, przyjętego w tych uczciwych, zamożnych domach mieszczańskich, gdzie litowano się szczerze nad jego kalectwem i niedolą. Drobiu i pieczystego tutaj nie dostawał, pozwalano mu jednak najeść się do syta zupą z jarzynami i napełnić resztkami jadła bańkę blaszaną, którą zawsze nosił z sobą ukrytą z boku pod surdutem. Myślano o jego kolacyi; otrzymywał zawiniętą w papierek szczyptę herbaty, kilka kawałków cukru i parę kromek chleba.

Służba w tych domach po większej części składała się z ludzi niedawno przybyłych z prowincyi, nie zbyt jeszcze zepsutych; kucharki zamawiały u niego litanie i modlitwy na różne intencye.

Wszystko to było dla Sitoka bardzo naiwne i nudne. Wzdychał też często i głęboko, co tutaj sprawiało dobre wrażenie.

IV.

O kobietach ma Sitok ohydne zdanie. Właściwie daje on wszystkim jedną obelżywą nazwę

Historyę swego ożenienia i rozejścia się z żoną opowiada każdemu chętnie. Ile tkwi prawdy w tej opowieści, dojść trudno. Niema możności przesłuchania drugiej strony, bo żona Sitoka od paru lat zeszła z widowni jawnego dla ogółu życia — za jakieś ciemne sprawy odsiaduje karę.

On mówi o tej kobiecie niestworzone i potworne rzeczy, przypisuje jej mnóstwo zbrodni, o których jednak milczą akta prokuratorskie. Opowiadając plugastwa, na jedną rzecz tylko nie targa się nigdy — na urodę żony. Zawsze twierdzi, że była i jeszcze jest śliczna, twierdzi to z lubieżnem roziskrzeniem oczu.

Gdy zachęcicie go do rozpoczęcia tej historyi, będziecie musieli na wstępie wysłuchać opisu kobiety. Sitok wam powie, jaka ona była powabna w szesnastu latach — bo tak młodo wyszła za niego, — jaką małą a jędrną miała pierś, pokaże wam robiąc kółko z palców obu rąk jak szczupłą była w pasie. Opisze jej drobne, białe zęby.

A zaraz potem zacznie plwać na te wspomnienia.

To dopiero dostała mu się łajdaczka. Gdyby pozwolił jej mieć trzech kochanków,

wtedy mógłby się spodziewać spokojnego z nią pożycia. Oburza się Sitok, jeśli mu napomknąć, że może nie umiał postępować z tą kobietą. Nie pojąłby wcale, o co idzie, gdyby wyrażono przypuszczenie, iż lubieżnością swą mógł znieprawić żonę, a następnie obudzić w niej żywy wstręt.

Ostatecznie, ta kobieta chciała go otruć, przynajmniej on tak upewnia; próbowała tego dwa razy. Potem uciekła od niego.

O późniejszem jej życiu odzywa się Sitok z największym przekąsem; wyraża radość, iż nareszcie osadzono ją w więzieniu i nadzieją, że po wyjściu stamtąd nie zostanie jej chyba nic innego do uczynienia, jak wstąpić do domu rozpusty.

— Chciałbym ją tam widzieć — mówi.

Patrząc wtedy na niego, mimowoli ulega się myśli, że dusza tej kobiety mogła nasiąknąć występkiem od zimnej topieli obrzydzenia, w jaką pogrążyć ją musiała plugawość Sitoka.

Jedna zwłaszcza rzecz daje do myślenia.

Sitokowie mieli dziecko, córkę, która w chwili ich rozejścia się liczyła dziewięć lat. Matka zabrała ją i wychowała przy sobie. No i wyrosła dziewczyna dobra, skro-

mna, niczem nieskalana, poślubił ją chętnie — gdy ośmnastu lat doszła — jakiś uczciwy, godny szacunku rzemieślnik. Musiał ją gorąco kochać, skoro uczynił poświęcenie z bardzo zrozumiałej ambicyi, wzdragającej się od wprowadzenia pod swój dach córki żebraka.

Jest więc żywe i dobre świadectwo wystawione matce: uczciwie wychowana córka. Stąd wytryska na Sitokową snop światła jasnego, czystego, ujmującego. I jakkolwiek potem ścieżki tego żywota zgmatwały się i zawiodły kobietę na jakieś bagna i trzęsawiska, gdzie na ostatku z karcącą sprawiedliwością ludzką się spotkała, jednak chce się myśleć, iż jest to istota zmarnowana raczej, nie zaś tylko występna.

Sitok, opuszczony przez żonę począł dobierać sobie przyjaciółki z pośród kobiet najlichszego gatunku. Jedna z nich stała się jego nałogiem, który z latami się utrwalił. Swoją drogą Sitok marzył jeszcze o innym stosunku, o przywiązaniu do siebie jakiej uczciwej istoty, któraby była niepodzielną jego własnością.

V.

Mieszkał Sitok w suterynie.

Gdy mu przekładano, iż poddasze jest zdrowsze, odpowiadał:

— A schody? A moje nogi? Kalika — nieszczęście...

Gdy szło o wytłumaczenie pobudek jego czynności, miał zawsze na ustach stereotypowe: »Kalika — nieszczęście«.

— Czemu Sitok pija tyle wódki?

— Kalika — nieszczęście! Wiatr--śnieg— żeby nie zmarznąć, trzeba — trzeba...

Co do trudności wchodzenia na schody — mało kto wiedział, iż przyjaciółka jego mieszka na czwartem piętrze, a Sitok odwiedza ją niemal codziennie.

Wybierał sobie suteryny, bo je lubił.

Lubił te długie, sklepione, ciemne korytarze piwniczne, w których stąpa się po omacku, wiodąc dłonią po zimnym, opleśniałym i chropawym murze.

Zapuszczając się w nie, smakował ciemność i z zadowoleniem, jak lis węszący u otworu swej nory, wciągał nosem ciężki zapach wilgoci.

Wieczorem, gdy powracał do domu, ulegał, znalazłszy się w swojej sieni, zwykle jednej i tej samej pokusie. Zatrzymywał się przy lampce, wpatrywał się chwilę w czerwone światełko, które słabo walczyło z zatapiającą je czernią korytarza; nasłuchiwał — wreszcie gasił lampkę.

I zaraz rozpoczynały się jego głośne utyskiwania.

— Patrzcie, litościwe — otóż znów lampka się nie pali. I jakże ja trafię kalika — nieszczęście. A zawdy mówię — powiesić lampkę wyżej, gdzie wiatr nie dmucha.

Słyszano go w suterynach. Ludzie, nie dbając czy słowa ich dojdą uszu Sitoka, mówili:

— Kulas wraca i lampka, jak zwykle, zgasła mu przed nosem. Teraz do reszty połamie suche patyki, które nazywa swemi nogami.

A on się śmiał wewnętrznym cichym, pełnym natrząsania się z ludzi śmiechem.

— Nie, nie, ja patyków nie połamię, ale z was niejeden guza sobie nabije. Oto namacałem szaflik tej śmierdzącej baby, tej żydowskiej praczki, która nijak mi na imię

natrafić nie może — tylko kulas i kulas. Namacałem szaflik — dobrze, bardzo dobrze.

Przesuwał szaflik na sam środek przejścia. Pierwszy, kto teraz będzie szedł, musi się potknąć i przewrócić, a wskutek tego nawymyślać właścicielce zapomnianego sprzętu.

Idąc, czynił dziesięć razy więcej hałasu, niż to było konieczne. Suwał i stukał nogami, chrząkał, wzdychał, gadał sam do siebie, a skówka jego laski przeraźliwie zgrzytała po murze; usiłował wpoić w sąsiadów przekonanie, że musi namacywać drogę i posuwa się z największą trudnością.

Szło mu zaś o to, by mieć czas przez szpary, dziurki od klucza i małe w drzwiach szybki podglądać czynności ludzkie. Ciemność, zalegająca korytarz, bardzo ułatwiała to wypatrywanie, któremu oddawał się z lubością.

Podobnie, jak mrok, smakował nędzę.

Lubił ją.

Węch upewniał go, że z nieprzewietrzanego korytarza nie ulotnił się odór pleśni. Chciał jeszcze, by oczy upewniły go, że z lochów, zamieszkanych przez ludzi, nie uszła nędza. Czuł potrzebę naocznego i codziennego przekonywania się, iż ci ludzie

żyją stokroć gorzej od niego. Uważał to za dobre i słuszne; w duchu kopał wszelką biedę i biedaków, tryumfując jednocześnie z swej umiejętności pokonywania losu.

— Oto ja, kalika — nieszczęście, daję sobie radę, a ta zdrowa hołota piszczy z głodu. Bardzo dobrze.

— Co oni dziś źrą na wieczór? — to pytanie najbardziej go zajmowało.

Z głośnem chrząkaniem, udając, że idzie a właściwie drepcząc w miejscu, obserwował wnętrze mieszkania swej nieprzyjaciółki, praczki.

— Podła baba zasmradza mydlinami cały dom. Aha, zgadłem — dzieci, dostaną same katofle z solą. Świńska kolacya a to samo pewnie było i na obiad. Bardzo dobrze — nie trzeba, żeby się tuczyły.

Sprawdzał następnie, że robotnik, najmujący się do kopania ziemi przy budowie kanałów, spożywa tylko czarny chleb. W izbie ani śladu ognia na kominie, pod którym w kucki na podłodze siedzi jego kobieta, dająca chudą, zczerniałą, pierś dziecku. To samo widzi się co wieczór.

W ten sposób kontrolował mieszkańców

suteryn, polując przytem skwapliwie na jaki drastyczny szczegół.

Uciechę stanowiły dla niego odgłosy kłótni, wymysłów, bójek małżeńskich, płaczu i wrzasku dzieci bitych, lub bijących się ze sobą. Musiał zawsze dotrzeć przyczyny tego wszystkiego; znał wszystkich doskonale, wiedział, które pary są istotnie zaślubione, które żyją na wiarę.

A wszystkich wogóle podejrzywał o występki, którym chciał przeciwstawić swoją cnotliwość, umiejącą obywać się bez środków, zbytnio potępianych. W mężczyznach wietrzył złodziei (nie byłaż to zemsta za »głodną wieś?«), o kobietach był zdania, że muszą sobie ukradkiem dopomagać, frymarcząć cnotą.

VI.

Ludzie, u których Sitok decydował się zamieszkać, musieli ściśle odpowiadać jego wymaganiom.

Szło mu o trzy rzeczy. Żeby nie mieszkać z oddającymi się żebraninie, gdyż kolegów swoich nie cierpiał. Żeby jednak mie-

szkać z biedakami, z nędzą i to taką, któraby się korzyła przed nim. Żeby ta nędza nie ważyła się go okraść.

Dobierał sobie otoczenie, od którego mógłby się spodziewać pewnej czołobitności. Lubił chwytać pożądliwe spojrzenia głodnych, skrycie lecz uważnie obserwujących każdy kąsek, który on wyładowywał z swej torby; lubił zwłaszcza pokorę małych dzieci wpółnagich, wychudzonych, które otaczały go wieńcem i nie śmiąc o nic prosić, ssały swe paluszki w bezmyślnem, żałosnem osłupieniu.

Wyładowywanie torby trwało długo, odbywało się powoli i z namaszczeniem. Sitok po sto razy oglądał każdy ogryzek, badał wartość tych resztek, stanowiących zapasy jego na kolacyę, śniadanie i na wypadek, gdyby jutrzejszy dzień miał nie dopisać.

Upewniwszy się, że apetyt jego nie poniesie uszczerbku, wyszukiwał dla dzieci czerstwą bułkę, czasem udzielał im kość, niezupełnie ogryzioną, lub kawałek mięsa, jeśli wywąchawszy je wpierw sumiennie, przekonał się, iż cuchnie. Wzdychał, dając, i natychmiast nadstawiał swą kościstą rękę do ucałowania.

Dobrze sondował dusze ludzi, u których

miał mieszkać. Ponieważ zdarzało się, iż wieczorami wracał zapełnie pijany, mogąc zaledwie dowlec się do łóżka — chciał więc mieć pewność, że nikt nie ośmieli się wtedy sprawdzać zawartości jego woreczka. I z biegiem czasu jego zmysł psychologiczny wyćwiczył się, wskazując mu nieomylnie, komu może zaufać. Przenikał na wskroś biedaków, ofiary losu wplątane w najgorszą matnię nędzy, ale niezdolne lub nie mogące się odważyć na występek.

Trafił przed rokiem na ex-posłańca, wdowca obarczonego dwoma córkami.

Człowiek ten kiedyś o losem podsuniętą potknął się przeszkodę.

Trudno dojść, czy istotnie uległ pokusie, czy okoliczności go oskarżyły, czy — jak twierdzi — zgubił rzecz jemu powierzoną, dość iż wypadek ten odjął mu prawo pełnienia służby posłańca.

Odtąd nie tylko, że żył w nędzy, ale jeszcze w jakiejś chorobliwej, nieustannie trapiącej go obawie, by nie uledz posądzeniu o złodziejstwo. Wyrzekł się wszelkiego zajęcia, któreby najmniejszą do takich posądzeń nastręczało sposobność. Był jakiś czas roznosicielem pism, ale i ten zawód stał się

dlań dręczącym z powodu, iż wprowadzał go do mieszkań ludzi zamożnych. Ostatecznie nabył pudełko, trochę papierosów i sprzedawał je na ulicy.

Od córek, mimo że jedna ośmnaście, druga szesnaście lat liczyła, żadnej nie miał pomocy.

Starsza była ładną, szczupłą dziewczyną o regularnych, drobnych rysach, pozbawionych zupełnie cech wesołości i swobody dziewczęcej, o oczach wodzących spojrzeniem bezmyślnem, lub zapalającym się złą, zuchwałą śmiałością. Skończona próżniaczka. Ojciec nie umiał jej chować; drżał, by nie poszła na złą drogę, nie dawał jej iść do służby w obawie stracenia jej z oczu, a nie rozumiał, iż zepsucie wsiąka w nią z jakichś niewidzialnych źródeł, zapada do jej duszy w sposób nieodgadniony, że ono jest w kurzu, unoszącym się na trotuarach, w wyziewach rynsztoków i suteryn, w słowach rzucanych przelotem przez bezczelnych wyrostków, którzy całemi gromadami wystawają po bramach domów w tej nędznej dzielnicy, gdzie on mieszka z swemi córkami.

Młodsza jeszcze o wiele, urodą przewyższała starszą. Mowa naturalnie o twarzy, bo

ta dziewczyna była kaleką niezdolną utrzymać się na swych nogach, uschniętych do kolan i wyglądających, jak piszczele obciągnięte skórą. Nie chodziła, tylko czołgała się, albo kucnąwszy i oburącz swe zgięte kolana obejmując, posuwała się w sposób, przypominający nieco skoki żaby.

Żałosne wtedy, rozkrwawiające serce sprawiała wrażenie, ale sąsiedzi, oswojeni z jej widokiem, nazywali ją tylko małą ropuchą.

Gdybyż przynajmniej była brzydką, lecz jakby dla uczynienia tym zjadliwszem szyderstwa losu, ciało jej do połowy rozwinęło się prawidłowo; nie brak było dziewczęcego wdzięku jej kształtnej, dość pełnej piersi, a główkę miała bardzo ładną, oczy wielkie i daleko bardziej uduchowione, niż u siostry.

— Staśka, może ty jesteś jaka zaczarowana królewna? — pytali ją łobuzy.

— Może jak ciebie ktoś taki jeden pocałuje, to czary odejdą i ty pójdziesz do tańca na zdrowych nogach.

Całował ją kto chciał, póki była młodszą i głupiuchną. Gdy tylko wypełzała na podwórze, lub gdy zoczono ją w bramie, pierwszy lepszy chłopak podbiegał do niej z tyłu,

chwytał za szyję, przeginał głowę i całował w same usta. A miała blade, lecz słodkie i milutkie usteczka biednej, małej królewny, uciskanej przez czarodzieja, który, zawziąwszy się na nią, zrobił z niej w połowie jakąś poczwarę i skazał na życie w lochu pośród nędzarzy.

VII.

Był to rodzaj kwiatka piwnicznego, siostra tych bladych gwoździków lub fuksyi, które widujemy w oknach suteryn, jak wspinają się na wątłych łodygach, usiłując wychylić swe smutne główki na odblaski słoneczne, zabłąkane wśród murów.

Znała piwniczną izbę, podwórze i kawałek ulicy.

Znała ludzi, których ciemne sylwetki pojawiały się na tle mętnej jasności, zalegającej otwór sieni, — którzy po przegniłych, lepkich od błota schodach zapuszczali się w czeluści sklepionego korytarza, a potem snuli się w czerni jego, jak widma.

O innych nie miała jasnego pojęcia.

Podwórze i brama stanowiły jej szkołę.

Tutaj — gdy była małem dzieckiem — w kąciku jakim kucnąwszy, uczyła się życia, uczyła się potężne jego pulsowanie odgadywać po tych kroplach, któremi w jej stronę bryzgało. Stąd przysłuchiwała się odgłosom, dochodzącym z ulicy i wydobywającym się z otwartych okien, których szeregami na wysokość czterech pięter podziurawione były mury odrapane domu oficyn.

Mieszkali tu sami biedacy różnych kategoryi.

Widywała ich wychodzących i powracających. Co cała ta rzesza robi, gdy rozprószy się tam gdzieś, po mieście, tego nie mogła sobie jasno wystawić. Zato dość wcześnie i mniej więcej dobrze pojęła treść ich życia w domu, okręcającą się około różnych zgryzot, różnorakich powodów do kłócenia się.

Kłótnia to najwybitniejszy i najbardziej zajmujący z poznanych przez nią w dzieciństwie objawów życia.

Dość jej było o jakiejkolwiek porze dnia uchylić drzwi, wiodące na korytarz, by słyszeć dolatujące skądsiś głosy podniesione. Ktoś komuś wymyśla, ktoś na coś się skarży. To już tlące zarzewia awantur. Aż oto roz-

lega się krzyk, rodzaj hasła po którym natychmiast potężnieje fala głosów i najczęściej — z ciasnoty mieszkań, która więzi rozpęd gniewnych brzmień, — .przelewa się na podwórze, gdzie osiąga najwyższe napięcie wśród pomruku widzów.

Wtedy Staśka wypełzała do sieni i tu spotykała inne dzieci już rozgorączkowane i przejęte do głębi treścią widowiska. Jedne przed drugiemi, wymachując rękami i krzycząc, spieszyły się by ją wtajemniczyć w przebieg wypadku, by jej opowiedzieć, kto z kim się kłóci, kto kogo pobił.

— Marcel tragarz zrobił swojej żonie dziurę w głowie. Wiesz Staśka? Tuczkiem od moździeża. Ot — taką dziurę.

— A kłamiesz — wtrącił inny dzieciak — bo większą — tylą.

I poczynały się spierać o wielkość tej dziury.

O! jakże dobrze znała twarze rozjątrzone, pałające ogniem, twarze złe, pobłyskujące wściekłością, twarze pijaków. Patrzała na bójki, widziała uderzenia nożem, krew, zbiegowiska na podwórzu lub przed bramą na ulicy.

Niektórych rzeczy się bała, ale żadne jej nie dziwiły.

Takie dzieci niczemu się się nie dziwią.

Od rówieśnych swych dowiadywała się o tem, co się dzieje dalej, po za domem, na ulicy, czem jest miasto, czem jest świat, naturalnie w pojęciu małych zepsutych włóczęgów, łobuzów i rozpuszczonych dziewczątek.

Ci mali a już niosący brzemię straszliwego doświadczenia ludzie zbierali się gromadkami po kątach podwórza lub w zakamarkach korytarzy. Tam, przytulone do siebie, biedactwa te powierzały sobie wzajemnie wszystko, co wiedziały o życiu. A wiedziały dużo. Życie miało dla nich jawność wyuzdaną, lazło im do oczu. Bezwstydne leżało przed niemi jak nędzarz, który zrzucił łachmany i nie dba, iż czyjeś spojrzenia padają na jego ciało nagie, brudne i owrzodzone.

VIII.

Gdy ex-posłaniec upominał swe dziewczęta, by były uczciwemi, zwracał się głównie do starszej, Bronki.

Mniemał, iż kalectwo zabezpiecza młodszą od zamachów na jej czystość. Tymczasem ledwie Staśka podrosła, już za każdem jej na podwórzu ukazaniem się kładziono jej do uszu głupstw bez liku.

Chłopaki, wyrostki — młodsi i starsi, ale jednakowo znieprawieni — prześcigali się w próbowaniu szczęścia — czy nie uda się namówić jej na złe. A jednocześnie nie przestawali docinków i szydzenia nielitościwego.

— Staśka, ciebie narzeczony będzie musiał nieść do kościoła jak barana na plecach.

Zrazu przyjmowala to wszystko z obojętnością istoty, nawykłej do cynicznych żartów i brudnych słów, których od dzieciństwa pełne miewa się uszy. Potem, w miarę zbliżania się okresu dojrzałości, poczęła uczuwać nieokreślony niepokój; poufałość chłopaków sprawiała jej przykrość, wreszcie pojęła, że usiłują rozbudzić w niej złe pożądliwości. I czynią to ci, którzy dogadują jej że nigdy nie będzie niczyją żoną, nigdy nie zostanie matką.

— Ah, wyobraźcie sobie Staśkę z jej

dzieckiem — wielką ropuchę z małą ropuszką, skaczące po podwórzu.

Rozpłakała się pewnego razu, słysząc takie słowa, chociaż nie było to najgorsze z szyderstw, jakie dostawały się jej od najmłodszych lat. Ale dawniej nic jej one nie obchodziły. Teraz zaś napłynął do jej piersi gniew, oburzenie, żal — jakiego nigdy dotychczas nie uczuwała.

Od tej chwili zaszła w niej zmiana. Nauczyła się zionąć brudnym potokiem przekleństw, ilekroć ktoś zbliżał się do niej z zamiarem pożartowania. Drapała lub gryzła ręce chłopaków, którzy jak dawniej usiłowali chwycić ją za szyję lub dotknąć jej piersi. Oczy jej wtedy iskrzyły się a twarz wykrzywiała kurczowo.

Znalazła gdzieś koło śmietnika krótki żelazny drążek i odtąd nosiła go za pazuchą; zaczepiona broniła się nim, wymierzając ciosy naoślep, gdzie popadło.

— Patrzcie — mówiono — jakie to teraz złe, prawdziwa ropucha. Tylko łopatę dać tej młodej czarownicy a zaraz kominem wyleci.

W tym czasie Sitok zamieszkał u ex posłańca.

IX.

Z początku oskomę budziła w Sitoku starsza, Bronka. Przyglądał się jej z iskierkami w połyskujących tłustawym blaskiem oczach. Rychło jednak osądził, że ta dziewczyna przeznaczona jest na kochankę dla jakiego łobuza, który nożem staczać będzie o nią walki z kamratami; począł więc myśleć o młodszej i zrobił odkrycie, że w kalectwie jej tkwi coś podniecającego.

Starsza pewnego dnia znikła z domu.

Wszyscy wiedzieli, że to nastąpiło za sprawą młodego, o zuchwałym wyglądzie draba, z którym poprzednio często ją widywano.

Ojciec już oddawna uczuwał zupełną swą niemoc w zapasach z następującą nań siłą jakąś, dążącą do rozproszenia resztek jego nędznego ogniska rodzinnego. Coś się zawzięło, by rozrzucić gasnące głównie nawet, popiół nawet, który pokrył wspomnienie o zmarłej żonie ex-posłańca. To ona była niegdyś smolnem polanem, od którego buchał płomień ciepły i jasny tego ogniska. Gdy zgasł, poczęła się dla osamotnionego czło-

wieka walka smutna i beznadziejna o jego dziewczęta, walka z sięgającym po nie olbrzymim choć niewidzialnym zalewem zła, z falą podstępującą z wszystkich stron, z oddechem zakażonym miasta, z wyziewami nędzy i zepsucia.

Co ten biedak mógł wystawić przeciwko owej sile?

Swoje żałosne: »Dziewczęta, bądźcie uczciwemi«.

W zgiełku życia, druzgoczącego biednych i słabych, słowa te upodobniły się brzmieniom nikłym i stłumionym; były to dźwięki bez znaczenia, bez istotnej treści, niezrozumiałe.

»Co to jest — być uczciwemi? Jak ostać się uczciwemi?»

Poszła sobie.

Stało się — co stać się musiało. Wół jest na pożarcie, nikt się z jego upragnieniem życia nie liczy, ktoś mięsem jego musi głód swój nasycić. I córki nędzarzy są na pożarcie.

Nikt nie pytał ex-posłańca, czy bardzo cierpi z powodu, iż starsza córka jego gdzieś się podziała. On by zresztą ani chciał, ani umiał odpowiedzieć. Z pewnością nie umiałby opisać tego, iż dawną jego obawę — by nie

zostać posądzonym o złodziejstwo — zastąpiła inna — by nie spotkać na ulicy córki wystrojonej i włóczącej się, zupełnie takiej jak wszystkie ulicznice.

Jednocześnie straszliwie tęsknił za nią.

Oto nadchodzi noc.

Łóżko, na którem sypiały obie córki jego, obie razem — zajmuje teraz jedna tylko. Zaledwie ją tam znać pod wytartą, starą kołderką — to małe, pokurczone biedactwo. Gdzież tamta? Gdzie pierworodne, ukochane dziecko matki?

Godziny uchodzą. Stary przewraca się na twardem posłaniu. Zasypia i znów się budzi jakby od wstrząśnięcia, budzi się mając na ustach jakieś splątane wyrazy niedokończonej w śnie rozmowy.

Ocknął się i poczyna nadsłuchiwać, nadsłuchiwać bez końca a im dłużej i daremniej nadsłuchuje, tem mocniej, tem okrutniej zaciska mu się na piersiach twarda obręcz tęsknoty i niepokoju.

Nigdy ciemność nocna, zalegająca suterynę, ta ciemność piwniczna nie wydawała mu się tak gęstą, tak ciężką i lepką. Ona teraz wtłacza mu się do ust i głazem przywiera do powiek.

I znów zwolna wpada w odrętwiałą senność i zaraz poczyna coś przez sen gadać, kogoś przeprasza, tłumaczy się.

Drży mu na ustach szept:

— Maryniu, com ja winien... Moja Maryniu — gdybyś ty była — możeby — możeby...

To jego rozmowa z tą, co jako płomień ogniska była.

X.

Jednego razu nie pokazał się w domu przez cały dzień, a późnym wieczorem ktoś wepchnął go do izby pijanego. Przewrócił się zaraz za progiem i tak na podłodze pozostał do rana. Owego dnia Staśka, której na obiad pieniędzy nie zostawił, nic nie jadła. Takie wypadki zaczęły się powtarzać.

Nadeszła dla Sitoka pora działania.

Pękatą, wypełnioną jadłem torbę skąpy ten a teraz nagle do hojności pobudzony człowiek wyładowywał powoli w obecności dziewczyny, rozkładał wszystko na stole, oglądając — jak zwykle — każdy z osobna kawałek mięsa, każdą kość — oblizując się, mrucząc:

— Ho, ho — ten tłusty kąsek to z talerza samej jaśnie pani.

Trwało to dobre pół godziny. Zwlekał z zachęceniem Staśki do jadła, udawał, że wcale jej nie widzi, że nie dostrzega udręczeń rozbudzonego w niej apetytu. Wreszcie zwracał się do niej:

— A może byś co zjadła? Mów, nie wstydź się — tatuś nie bardzo o tobie pamięta.

Dziewczyna milczała; ani jedno słowo prośby nie przeszło nigdy przez jej usta. Siedziała na podłodze, jak zwykle, obejmując rękoma kolana i kiwając się bezmyślnie. Od czasu do czasu przełykać musiała napływającą od widoku jadła ślinę.

Sitok kładł obok niej parę kawałków mięsa.

Spróbuj.

Nie odrazu rzuciła się na nie. Przymknąwszy oczy, błyszczące jak u zgłodniałego zwierzątka, ociągała się jeszcze i wprawiała w mocniejsze kołysanie całe swe skurczone ciało, jakby dla uśpienia ssącej ją pożądliwości. Ostatecznie chwytała, co było jej dane, i nie oglądając tego zaczynała pożerać.

Zjadłszy całowała Sitoka w rękę.

Gdy jednak po pierwszej takiej uczcie chciał ją przyciągnąć do siebie i uściskać, uczuł zęby jej na swym policzku. Ugryzła go do krwi. Rana napuchła i sprawiała mu wściekły ból.

— Ach, podłe zwierzę — jęczał — za moją dobroć, za to, że ją karmię.

Ex-posłaniec wkrótce przestał się pokazywać w domu, zapodział się gdzieś. Nikt go nie poszukiwał, a w następstwie trudno było nawet rozpoznać jego zwłok, gdy je wydobyto z rzeki, objęte już gniciem.

Mieszkanie i Staśkę objął w posiadanie Sitok.

Swojej dotychczasowej przyjaciółce oświadczył pewnego dnia, że więcej się u niej nie pokaże. Wysłuchała tego w osłupieniu. Była to nieszczęśliwa istota, zepchnięta na najniższy stopień upodlenia i nędzy; żebrak stanowił jej ostatnie oparcie. Wprawdzie nie był hojny, żądał miłości za ogryzki jadła, ale bądź co bądź nie dawał jej umrzeć z głodu.

Chwyciła go za rękę; rozpacz pchała jej do ust jakieś nikczemne zaklęcia.

Sitok tymczasem przeżuwał swe myśli.

Naraz pogłaskał ją z czułością i zatrzymując kościstą rękę na jej ramieniu, rzekł:

— Nie bój się — wrócę do ciebie — prędzej czy później wrócę.

Złą myśl przeżuwa Sitok.

Oh, Staśka go ugryzła w policzek. Dobrze, bardzo dobrze. Takich rzeczy się nie zapomina.

Tak, mściwym jest Sitok. Gdy będzie miał dość tej dziewczyny — wróci tutaj, do starej swej miłości, a Staśkę wypędzi na cztery wiatry.

...Przez jakież jeszcze ręce przejdzie to biedne, kalekie dziecko, zanim splugawione i nędzne jej ciało doczeka się czystego uścisku śmierci?

PO CO DZIEŃ ICH BUDZI...

> Serce moje ścielę pod stopy wasze. Nie mam nad was ukochania bliższego. A kto najnędzniejszy z was i najzaraźliwszym trądem okryty — bierz do kropli krew moją, jeśli ci potrzebna, byś ozdrowiał i życiem się ucieszył. Nie kłamięć bracie, gdy mówię: nie masz jednej niedoli twojej, którejbym sam w sobie nie przeżył i gorzkością jej swoich ust nie opalił...

Dołem, pod wzgórzem miejskiem, mętne rzeki fale toczą się, unosząc ze sobą śmiecie i nieczystość wszelką. Górą, poprzez miasto całe, u zaułków brudnych i cuchnących poczynająca się — idzie inna fala... Wzdyma się ona, przewala i rozpryskuje, a gdzie kropla od niej padnie, tam już coś wyżre i ślad ostawi przeplamiony, kłujący w oczy tych, co na czystość tylko, schludność i dobroć przychylnie a łaskawie patrzyć mogą.

Owa zaś fala nie wybiera sobie koryta umiecionego; jak prąd szalejącej powodzi, pędzi na niwy czy pustkowia, rwie co napotka, unosząc ze sobą — jak tamta — śmiecie i nieczystość wszelką.

To nędza. Niby widmo, a przecież cielesność, dotknąć się dająca. Coś, co do śmierci doprowadza, a samo nigdy nie umiera. Nie daje się zniszczyć, nie stracha się niczego, pogryzione własnymi zębami, szarpane kłami głodu, zimna, chorób, upragnień wszelakich, a żywe wciąż i odradzające się; wypędzane, kopane, bite a precz wracające do tych samych miejsc i tym samym zawżdy odzywające się głosem, co to niby jęk chorego, niby skomlenie szczenięcia, żałosne, natrętne.

Oto zmieszał się z wiatrem dźwięk jakiś i już umilknąć nie może, wieki całe płacze i drży w powietrzu, z jego wiewem dokoła ziemi lata, do wszystkich uszu swoją skargę wciska.

Płynie ubóstwo owo ciemne i wyzbyć się nalatującego doń śmiecia a brudu występków nie mogące, płynie, jakby od morza fale się odrywały wzdęte, górom podobne, i lądy całe zalewały. Nie jest li ono samo morzem, a dostatek, schludna czystość, dobroć serc

spokojnych, uśmiech sytych dzieci, radosne życia ukochanie, pogoda starości nietroskliwej, umysły nie głodne wiedzy, ręce nie wyczekujące na pracę — nie sąż to na morzu owym wysepki tylko małe, małe?...

I.

Koło godziny ósmej zrana Agnieszka zziębnięta, zesztywniała, ogłupiona tą nocą na dworze spędzoną, wlokła z trudem nogi pod górę. Wązka uliczka, wiodąca z dolnej, nadrzecznej dzielnicy do górnej, wspinała się wzdłuż arkad, podpierających zjazd do mostu, po stokach dość stromego wzgórza.

Zdawało się kobiecie, że końca temu uciążliwemu wchodzeniu nie będzie. Wreszcie chodnik podstępować począł do pochylonej jeszcze płaszczyzny placu, a na zakręcie zlał się z równią szerokiej ulicy.

U żelaznych sztachet poblizkiego kościoła Agnieszka musiała się wesprzeć. Wcisnęła grzbiet między dwa pręty, jakby chciała, żeby ją trzymały, nie dały jej upaść na ziemię, ciągnącą ją nieprzeparcie ku sobie. Ach, zacisnąć się do jakiego kąta, zwinąć się w klę-

bek — jak to robią psy, nakryć głowę chustką i usnąć na krótko lub zamrzeć... Nie miała innego w tej chwili pragnienia.

Dzień listopadowy, mglisty, zaszarzał dopiero. Ruch uliczny zaledwie się budził. Od placu ukazał się pierwszy tramwaj, szparko sunący, bo pusty prawie. Stróż stacyjny, ukończywszy odgarnianie śniegu z pomiędzy szyn, otwierał poczekalnię.

Jest to izdebka maleńka, ze wszystkich czterech stron oszklona dużemi szybami. Żelazny piecyk, dwie ławy po jednej ścianie, po drugiej — dwie skrzynie, w których stróż przechowuje narzędzia, węgle, drzewo i swe rupiecie, w kącie konewka z wodą, a obok kubek na łańcuszku uwiązany, para kinkietów na ścianach, niesymetrycznie porozwieszane jaskrawe malowanki z ogłoszeniami na tekturze lub blasze — to wszystko, co w niej się mieści.

Jednym więcej jest ta poczekalnia dowodem, iż życie, przystosowując do różnorodnych swych potrzeb rzecz ludzką, czyni to niejako na swój sposób, nie dbając o cel, jaki jej ludzie przyswoili. Czasem trafia się istotnie, że wpada tam ktoś, oczekujący na tramwaj, przeważnie jednak «budka» — jak

pospolicie zowią — bywa schronieniem, lub miejscem wypoczynku ludzi, dalekich od myśli, chęci, potrzeby i możności jeżdżenia tramwajem.

Przesiadują tu emeryci, inwalidzi, rozmaite niedobitki nędzy, pensyonarze z poblizkiego przytułku, próżniacy niewiadomo z czego żyjący, chłopcy sprzedający dzienniki, dziewczęta uliczne, kochankowie tych dziewcząt, rodzaj przybocznej straży ich stanowiący, ludzie znużeni bezowocną bieganiną za jakiem zajęciem, robotnicy bez pracy, istoty tak szare i wypłowiałe, że niepodobna odgadnąć czem są lub były.

Jednych widuje się tu jak rok okrągły, prawie co dnia. Inni, pojawiając się przez czas dłuższy, znikają następnie, uniesieni widocznie falą swoją w inne strony i znów, po czasie, wypływają na widok tu, w tej samej poczekalni, więcej tylko zamorusani i wy miętoszeni, niż poprzednio.

Typy najrozmaitsze, ale wszystkie jakby z jednej zatoki życia wyłowione. Na ogół wszyscy oni, ci bywalcy stali, ani zbyt weseli nie są, ani zbyt czyści, ani zbyt syci, ani zbyt cnotliwi. Nie brak też między nimi poprostu łobuzów, wojujących przy sposo-

bności nożem, rzezimieszków małych i dorosłych, przygodnych i fachowych. Tropy zaś ich i dziewcząt, wałęsających się w tej stronie, ściągają często do budki łapaczy, tych, co węszą zwolenników cudzego mienia i tych, co polują na kobiety w początkach złego zawodu będące.

Wszystkich tych ludzi Jan, stróż stacyjny, zowie: prześwietną publicznością, która — oby ręce i nogi połamała — bezpłatnymi lokatorami, zarazą, złym nasieniem.

Pierwsze zwłaszcza lata stróżowania zatruwało Janowi poczucie daremnych wysiłków, by utrzymać w budce czystość.

— Człowiek naharuje się, zamiecie, czy tam zmyje podłogę. Patrz, już za pół godziny obdartusy nanieśli błota, że po porządnych osobach przez cały dzień tyleby się nie uzbierało.

Zimą mawiał:

— Pud węgla spalę i dla kogo? Ludzie, jak się patrzy, panowie, ichmoście godni, prawie — że nie zaglądają, wygrzewa się sama zaraza.

Twierdził, iż łajdactwo to obrabia w budce najpodlejsze interesy, że uszy więdną od słuchania rozpustnej mowy, że zostawiają po

sobie najobrzydliwszą woń i roztrząsają robactwo.

— Tak, tak. Jedna pani w paradnem, aksamitnem okryciu, spasiona pięknie, usiadła se raz na ławce — odpocząć krzynę. Ale to, mówię, osoba, co od urodzenia może nie widziała nic takiego obrzydliwego. Patrzy — aż tu lezie po rękawie... co — nie potrzebuję powiadać. Jak też pani nie wrzaśnie, jak się nie zacznie ciskać a błagać, żeby to z niej zdjąć.

Miał Jan wtedy co słuchać, bo wszyscy na niego, że porządku nie pilnuje. A cóż jego pilnowanie! Po tym wypadku dobrał sobie do pomocy stójkowego i przez parę dni oddawali się wyłącznie płoszeniu włóczęgów z tych stron. Ale Jan, prócz dozorowania poczekalni, musi jeszcze obmiatać tor tramwaju, a stójkowy ma gdzieindziej posterunek.

— Było dobrze dzień, dwa — opowiada stróż znajomym. — Omijali. Ale zajrzał jeden, drugi — widzą, że mnie niema — i ot, wsunął się dziad zatabaczony, co godzinami w kącie się wysypia; wlazło dziewczysko ladaczne, oberwane a przemarzłe od latania cięgiem po ulicy, a za nią jużci jest jej najdroższy, któremu nóż z cholewy wygląda —

i zaraz się pojawiły chłopaki od gazet — i stara warjatka z tej tu ulicy, co jak ją dzieci własne spierą za jej mamrotanie ustawiczne a na ulicę wypędzą, to nigdzie, ino tu do mnie, do budki prosto sypie — i komornik ten dawny, czy sędzia, tera w Dobroczynności odpoczywający. Jemu to znów cięgiem z nosa kapie i cuchnie coś kiele niego, że ani wysiedzieć... I kto je tam wszystko przeliczy — i kto je wie, skąd się to nabierze!

— Żeby choć nie kradli! — wzdychał.

Co tam mogło być w poczekalni do ukradzenia! A było. Zaczęło się od klosza matowego z kinkietu, ukradziono jeden, po jakimś czasie — drugi, następnie powędrowało gdzieś szkło ze zbiorniczkiem do nafty, potem samą podstawę kinkietu odłamano, nie mogąc jej zdjąć, z kolei ułaszczył się ktoś na fajerkę i drzwiczki od piecyka, na kubek blaszany do wody, na łopatę zapomnianą wypadkiem przez Jana, na trzonek od miotły. Puszkę blaszaną z napisem: «Zażalenia», przytwierdzoną do ściany, też usiłowano oderwać, choć na co się komu zdała. Wszystkie te szkody Jan musiał pokrywać z własnej kieszeni, więc — klął.

Marzył — to o ogromnem klepisku, gdzieby całą tę zarazę ułożyć można, a sprawić młóckę aż do wytrzęsienia z onych duszy, to znów o sicie, rozpostartem nad rzeką, i takiem przesiewaniu ludzi, żeby ostali się tylko ci, co nie nanoszą błota do poczekalni i nie wysiadują w niej bez potrzeby, reszta niechby się potopiła.

Raz jednak zdarzyło się, iż Jan zastał w budce kolegę swego, ongi woźnicę od tramwaju. Biedak chorował długo, postradał miejsce i oto kilka już miesięcy tuła się bez pracy, przymierając głodem. W domu baba skrzeczy, dzieciaki piszczą. Słuchać tego skowytu — to głowa pęka i serce się ściska. Ucieka tedy Franciszek na miasto, łazi, przepytuje się o robotę, a choć nic nie znajdzie, to myśl przynajmniej trochę rozerwie, odwróci, inaczej odrazuby kamień sobie u nogi — i do wody.

— No, no — pomyślał Jan — czyż to samo nie mogłoby mnie spotkać. Musiałbym więc przez to sito moje przelecieć i użyć śmiertelnej kąpieli lub na klepisku się rozciągnąć.

Jakoż czas i doświadczenie złagodziły odrazę jego do ludzi, przesiadujących w budce.

Po kilku latach już mawiał:

— Co prawda, wszystko to biedota sama. A że są źli między nimi — ha, niema chyba jednego człowieka, żeby nie wolał być uczciwym a szanowanym, niż takim, co mu w oczy plują. Ale to tak. Jeść się chce a djabeł zdaleka kęs chleba pokazuje; głodnemu mało ozór do jadła nie wyskoczy, tamten zaś prawi: zrób to, zrób owo. Niechże jeszcze na głodny brzuch wódki owemu przyleje, to już go ma. Idzie jeden na złodziejstwo, inna własne cielsko sprzedaje.

Swoją drogą wspierać swoim dorobkiem złodziei nie miał ochoty, więc kubek i konewkę zabezpieczył łańcuszkami, fajerkę przymocował drutem, kinkiety na dzień chował do skrzyni.

Podmiótłszy budkę, wziął się Jan owego ranka do rozniecenia ognia w piecyku.

Drzwi skrzypnęły. Nie odwrócił głowy: już sam sposób otwierania nieśmiały i stąpanie jakieś skradające się objaśniło go, że to przywlokła się biedota, zwabiona nadzieją ciepła.

Z ukosa jeno spojrzał na Agnieszkę. Nie znał jej, była tu chyba pierwszy raz.

Kobietę ziąb przejąć musiał do szpiku

kości; usiadła w kątku, skurczywszy się i zacisnąwszy rękami na piersiach chustkę, która i twarzy jej prawie widzieć nie pozwalała. Wymknęły się tylko z pod chustki kosmyki nieczesanych włosów.

Z poufałością człowieka, w mocy którego jest wyświadczyć, lub nie wyświadczyć komuś dobrodziejstwa, czyli pozwolić albo nie pozwolić na rozkoszowanie się ciepłem poczekalni, zagabnął ją Jan:

— No, matko, nie pod pierzyną chyba wygrzewaliście się do tej godziny?

Agnieszka usiłowała ocknąć się, zebrać myśli, ale wysiłek, by coś powiedzieć nie powiódł się jej, ustami poruszyła bezdźwięcznie.

Jan nie nastawał, rozgrzewał teraz swoje ręce przy drzwiczkach piecyka, od którego ciepło szybko rozchodzić się poczęło.

Stopniowo traciły członki Agnieszki sztywność i odrętwiałość, ale gdy ta ustąpiła, chwycił ją całą dreszcz silny, tak, iż nogi zlekka odskakiwać poczęły, postukując o podłogę; trząsł wychodzący zamróz tułowiem jej, rękami, głową. Wreszcie i zębów powstrzymać nie mogła, zaczęły szczękać, wydając suchy, niemiły odgłos.

— Ziąb bo ziąb — rozpoczął znów Jan, sadowiąc się przy niej na ławce. — Ale żeby tak przemarznąć, no — chyba skądciś z za miasta, parę mil szliście?

— Nie — wyksztusiła, usiłując jeszcze szczelniej owinąć się chustką i przyciskając grzbiet ile mocy do ściany, dla powstrzymania drżenia.

Zwolna zaczynała się uspokajać. Wstrząśnienia całego ciała powtarzały się już tylko z przestankami, dając jej chwile odpoczynku. W izdebce było coraz cieplej.

Po niejakim czasie poprawiła się na swem miejscu, odzyskując panowanie nad ciałem. Nie zaciskała już chustki na piersiach, ręką przygładziła włosy roztargane. Jan mógł się jej przypatrzeć.

II.

Była to kobieta trzydziestu paru lat, o twarzy ściągłej, śniadej, poplamionej — od niewywczasowania i chłodu zapewne — sinością pod oczami i wybledzeniem na policzkach i czole. Oczy jej niezwykle wielkie, ciemne, płomiennemi być musiały, bo i teraz

pod cieniem, którym okrutne ciała umęczenie je przyćmiło, snuły się w nich blaski jakl y niezgaszonego jeszcze doszczętnie ogniska.

Twarz to była bardzo miła, współczucie i pewną ciekawość budząca wyrazem swoim dość trudnym do odczytania, wśród tłumu zrzadka napotykanym.

Przed dziesiątkiem lat musiały się za nią niejedne obracać oczy i niepokój unosić ze sobą od płomieni, bijących z młodych, śmiałych źrenic. W owe czasy i na czole tej kobiety nieraz zuchwałość a hardość osiadać musiała, i nozdrza niewielkie a kształtne gniewnie wzdymać się potrafiły, i uśmiech, po ustach małych przewijając się, wyrazić pewnie umiał słodycz, lub drwiny. Tak musiało być dawniej, nim ją chwyciła fala owa bezlitosna, fala urągliwa i straszna, po przez miasto wielkie lecąca, zmiłowania nie znająca ni dla tego co młode, ni dla tego, co wdzięku pełne, ni dla tego, co ku dobremu się pnie, ni dlatego, co żyć chce.

Co ta topiel z jej duszą zrobiła, to właśnie w twarzy jej było zagadką. Widziałeś tylko, że coś rychło i brutalnie spłoszyło jej młodość, zmięło urodę, skruszyło hardość, że fala musiała nią tłuc o kamienie niego-

ścinnego wybrzeża, raniąc coraz silniej, okrutniej; że wyszła z tej kaźni żywa, jeno nabyła spojrzenie takie nieruchome chwilami i osłupiałe, właściwe ludziom, którzy już niedolę wszelką widzieli, co ani pobledną przed wygniłymi oczodołami czaszki trupiej, ani strachu, ni wstrętu nie uczują, choćby im wypadło koło trupa się położyć — sami spragnieni może nieruchomości spokojnej, wiecznej.

A dusza w niej była jeszcze — odgadywałeś, czułeś to. Może cała ranami krwawiącemi okryta, lub skorupą chropawą, ale — była... Nie objęta ostatecznem pognębieniem i jeszcze walcząca. Z oczu jej patrzało, że to jedna z istot, którym koniec życia tam, gdzie walka w ich duszy ustaje. Póki jeszcze czegoś bronią, o coś utarczkę toczą — póty żyją. Gdy zaś dusza — jak ptak z sił opadający — ma rozciągnąć się w pyle a pohańbieniu ostatniem — wtedy i ciało śmierci przyzywa i jej się oddaje bez targów, ni wypraszania nijakiego. Śmierć je bierze, jak miecz katowski głowę dobrowolnie podeń układzioną.

Wzdrygając się jeszcze od dreszczu przelotnego, ale już zewsząd ogarniającym ją

i coraz głębiej wsiąkającym ciepłem ożywiona, fizycznie miłemu uczuciu poddająca się, uspokojona jakoś odrazu i do głębi, uśmiechnęła się Agnieszka — jak dziecko po płaczu — do Jana, patrzącego na nią dobrodusznie i poczciwie. Sam się też roześmiał.

— A co przydała się budka?

— O — i jak. Że ja jeszcze żywa, to mi nawet dziwno — odparła. — Toć całą noc nie pod dachem.

— Takem ja myślał — rzekł Jan, nie okazując zdziwienia. — A gdzieżeście siedzieli bez noc?

— Dwie nas było — mówiła zwolna. — Wlazłyśmy pomiędzy stragany, tam na dole, gdzie targ, nieopodal rzeki. Zrazu było nienajgorzej, bo od wiatru dobrześmy były osłonięte; przytuliwszy się jedna do drugiej, możnaby jako tako do rana wysiedzieć i nie koniecznie zamrzeć ze zimna. Ale tamtej naprzykrzyło się i jakoś wprędce po północy poszła.

— I gdzie poszła?

Agnieszka milczała, oczu jednak nie kryjąc.

No tak — począł się Jan domyślać — jeśli niestara... Trafił się onej jaki znajomy

lub nieznajomy, uczepiła się byle którego chłopa, żeby ją tylko gdzie bądź do dom zabrać. Wiadomo — głodnego djabeł chlebem kusi, a marznącego — ciepłą izbą.

— A wy zostaliście?

— Ostałam.

— No to nie dziwota, żeście zmarzli jak sęk.

Nie obchodziła go wiele obca, napotkana kobieta, mimo to sprawiało mu przyjemność, że... została. «Znaczy się, jeszcze nie ostatnia — myślał — dość to urodne, nie stare jeszcze i miłe jakieś, żeby więc chciała, łatwo by sobie znalazła lepszy nocleg, niż pod straganem. Otóż nie chciała».

— Tak to tak — przemówił po chwili, rozcierając sobie to jedną, to drugą rękę miarowo, powolnie. — I dawno-ż tak bez dachu?

Kobieta odwróciła głowę ku oknu i nieruchomie zatrzymała oczu swoich spojrzenie na jednym dalekim punkcie. Nie było w twarzy jej wzruszenia żadnego, zakłopotania najmniejszego, ani nieukontentowania, że ktoś ją bada. Ona dotychczas co mówiła, to w połowie jakby do siebie, i teraz pytanie: dawno-żeś bez dachu? — trąciło jej myśli, jak-

by z własnej jej głowy, nie zzewnątrz, od ust obcych — szło.

Dawnoż ja bez dachu? — powtórzyło jakieś echo żałosne, niby pisk i poświst tego wiatru, co nocą, od rzeki rwąc, między domy się zapędził, po placu latał, wkoło straganów się kręcił, raz wraz to o deskę, źle umocowaną, to o blaszane daszki postukując.

Niby niedawno, a zdaje się, że już życie upłynęło, drugie życie całe od tej chwili — gdy dom swój, kąt swój postradała.

I zwracając znów oczy do twarzy stróża, rzekła przyciszonym, ale spokojnie i nieskargliwie brzmiącym głosem:

— Wczoraj — wypędził mnie.

— O! — podjął. — Kto? Mąż?

Milczała.

Jan podniósł się, powyglądał chwilę oknem, naciągnął potem swe rękawice futrzane i chwyciwszy grackę do wygarniania śniegu z wklęśnięcia szyn, zbierał się ku wyjściu.

— Gadu, gadu, a robota śpi — odezwał się też więcej do siebie, niż do niej. Coś prószyć zaczyna, śnieg czy sadź z mgły tej opada. Czas podły.

W istocie nic nań pilnego nie wołało,

tyle tylko, że odrazu zrobiło mu się jakoś niemile. Nie potwierdziła tego, że — mąż. Omylił się — mało ona warta.

Jednak przemogła go ciekawość, w jaki sposób ją djable opętały potęgi, a prędzej przemógł napływ niespodziany tej dobroci łaskawej, niewiadomo, z czego się rodzącej, od niejakich lat chwytającej go za serce, ilekroć o grzesznego i błądzącego idzie człowieka. Dawniej pięść mu się zaciskała, język lżyć był gotów, teraz — nie. «Bo te najgorsze ludzie, to i najbiedniejsze» — usprawiedliwiał się sam przed sobą, obawiając się, że przestępuje przykazanie — by nie pobłażać złemu, a tego się trzymał przykazania od młodości, w pracy i czystem zachowaniu się poczętej.

Ode drzwi zawrócił i znów przysiadł koło niej, pomilczawszy zaś nieco, rzekł, z pode łba na nią poglądając:

— Jucha i chłop, żeby w taką porę wypędzić jak sukę na dwór.

— Kochanek? Na wiarę żyjeta? — zniżając głos i głowę w inną odwróciwszy stronę, zapytał po chwili.

I znów wydało się jej, że te słowa: na wiarę żyjecie-ż, same zrodziły się w jej gło-

wie i trąciły znienacka myśli zaschłe i prawie umarłe, a te myśli zaszeleściły odrazu, jak liście suche szeleszczą, jesienią odarte, gdy ptak wpadnie w ich kupę — rozgartywać je i rozrzucać pocznie.

Tedy, jakby sobie odpowiadając:

— Oj! długo już, długo — rzekła – dziesięć lat tak żyjemy... Żyliśmy — poprawiła się niepewnym głosem, wspomniawszy, że od wczoraj wszystko się skończyło.

Nie dźwięczał w jej mowie wstyd, raczej splatała słowa obojętność istoty, która ukrywać się nie czuje już potrzeby ni chęci, ani się nie zarumieni, gdy nędzę jej obnażoną przed ludzkie wywleką oczy, a sądów ludzkich sobie nie waży.

Jan markotnie potarł dłonią czoło.

— Dziesięć lat. Prawda, czasu to kawał. Żeby i u ślubnych, to też nie inaczej by się zwało, jak ładnymi latami pożycia. I dzieciaków parę bez czas ten odchować można niezgorzej.

— A u was są-ż dzieci? — pytał, posiedziawszy dobrą chwilę w milczeniu.

O, jak szeleszczą gdzieś liście, jak podrywają się w górę, jak pęd je chwyta wichrowy — a rzuca — a niesie...

Masz-że dzieci, ty nieślubna, ty wiaruśna?— zalatuje echo skądciś.

Gdzie one, gdzie dzieci moje! — taki płacz w jej głowie naraz się rozlega, cościś za gardło ją chwyta, cościś zjadliwie pierś jej kąsa — pod sercem, pod sercem.

Niemal że się przeląkł Jan, tak twarz jezdziczała naraz i tak rozbłysnęły, niczem u zwierzęcia, jej oczy i tak wparły się w niego, nalane ognistością, pytające, badawcze, złe, jakby skoczyć doń miała zaraz z wołaniem: «Gdzie one, powiadaj, jeśli wiesz!»

Wnet jednak słabość ją wzięła, słabość przemarzniętego i czczego, a umęczonego ciała. Tylko usta jeszcze krzywiła, tylko wzdrygnęła się raz i drugi gwałtownie, a potem już bezwładna i skurczona w kąt się zacisnęła.

Jakby niespełna będąc rozumu, lub jak stara baba nad nieboszczykiem modlitwy odmawiająca, kiwać głową poczęła przed się i w tył, aż o ścianę raz po raz nią uderzając.

I prawiła spiesznie jakoś:

— Dzieci moje, panie — przecież pomarły. A jakże. Sześciolatkiem chłopaczek

zmarł a dziewczynka rok coś i miesięcy — tak, miesięcy cztery przeżywszy. I jak z Władkiem trumienkę do dołu spuszczano, to tam woda chlupnęła — słyszy pan — woda chlupnęła. Sypano piasek a ona precz chlupała. Tak z tą wodą mój chłopiec zapodział się gdzieściś i gdzie jest, nie wiem. Prawdę mówię. Sameś pan chyba słyszał, że biednych to na takim cmentarzu grzebią, że nie szukaj trumny w tem miejscu, gdzieś ją do ziemi dał, bo piaski sypkie albo woda na stronę odniesie. Ja zaś święcie powiadam, że w oczach moich trumienkę Władczyną woda, czy cościś porwało i poniosło hen pod ziemią. Dokąd — to nie wiem.

Ostatnie jej słowa brzęczały cichutko a żałośnie.

Jan wtłoczył sobie zrazu czapkę na oczy, potem desperackim ruchem na tył głowy ją zacisnął, poderwał się i znów usiadł.

— Cóż poradzić, wola na to Boska — przemówił nie głośno, sobie pod nosem. Że pomarły — może dla nich lepiej.

Gracką swoją o podłogę stuknąwszy i kobiecie krótkie: «Ostańcie z Bogiem» — rzuciwszy, wyszedł.

A już po nim drzwi coraz częściej skrzypiały. Goście nowi do budki przybyli.

III.

Staruszek nizki, z wygiętym w kabłąk grzbietem, bieżał od strony kościoła drobnymi bardzo, w truchcik przyspieszony wpadającymi kroczkami; do budki wpadł i corychlej miejsce na ławeczce zajął, tuż przy rozgrzanym piecyku.

Ledwie usiadł, gdy gwałtowny napad kaszlu wstrząsać nim począł. Staruszek zanosił się od kaszlania tego, głową miotał, parskał, raz po raz brodę, usta zaślinione i odzież na piersiach oparskaną wycierając chustką czerwoną. To rękami trzepotał, jak ptak skrzydłami, to chustką usta zapychał, wreszcie przygiął się tak, iż głowę między kolana wsunął, a czapka mu na ziemię spadła.

Agnieszka podniosła ją i do rąk mu podała skwapliwie.

Zżółkłą, wyschłą, porosłą rzadkim, białym meszkiem, skórą obciągnięta była czaszka astmatycznego staruszka. Kark i szyja chuda, śniadością, przyciemnioną brudem,

powleczona, uszły między ramiona. U rąk tylko skóra kosteczki w kupie trzymać się zdawała.

Było na nim dziwne jakieś odzienie, niby siermiężne, a krojem palta zrobione, z rękawami dla długości zbytniej pozawijanymi. I spodnie, snać znacznie nad potrzebę dłuższe, staruszek popodwijał, tak iż dołem wyloty ich niby wałkami okrążone były.

— No, patrzcie państwo, jak to dusi — przemówił, uporawszy się z kaszlem, i rozpoczynając na nowo usuwanie chustką z twarzy i odzieży śladów parskania. Na ostatku oczy załzawione starannie wytarł.

Twarz jego o rysach drobnych, zwiędłe, pomarszczone jabłuszko przypominająca, świeżo ogolona była; wąs krótko przystrzyżony. Wyblakłe oczy patrzały niefrasobliwie.

— To nic teraz, pani moja — zwrócił się do Agnieszki — ale w nocy prosiłbym posłuchać. Koncert, muzyka, po trzy godziny z rzędu — powiadam pani kochanej — rozmaite głosy ze mnie ten kaszel dobywa. Zaś sąsiad mój z lewej strony — my z przytułku tego, tu nieopodal — wyklina mnie, djabłami sadzi. A czy wie, co jego jeszcze czeka.

— Możeby lekarstwo jakie pomocnem było? — zaczęła kobieta.

— Owszem. Poczekaj pani, tylko patrzeć, jak wpadnie konduktor i zawoła: Powązki! Otóż i lekarstwo, tylko, że mnie nie pilno; siedmdziesiąt dwa lat, a nie pilno. Jeszcze się tam człowiek wyleży dość, nagnije, ziemi naźre. Nie pilno mi, wolę kaszlać, a świata widzieć choć tyle, co z naszego okna, albo z tej budki.

— A mnie-ż po co świat ten? — niby za wichrem poleciała myśl Agnieszki.

Czem dla mnie — świat? Trucizną? A jaż dla świata? By palcem miano wytykać kogo i w twarz pluć, żeś taka — żeś taka — żeś taka...

Zdychaj-że teraz, bo i roboty już dla ciebie nie ma i oto wypędzonaś, ty — coś kulą była u nogi jego uwiązaną, że ani jemu kroku postąpić swobodnie, ani tobie oderwać się i po innej lecieć drodze...

Aż na ostatku powiedział ci...

Wzdrygnęła się Agnieszka i osłupiałe spojrzenie na zwiędłej staruszka twarzy zatrzymała.

— Ta i cóż, pani moja — począł ten niespiesznie — patrzysz na mnie a myślisz,

za czem jeszcze starość ta po świecie łazi. Bo i prawda — interesu tu już żadnego nie mam, ale i drogi nikomu wiele nie zawalę — i mało dla mnie potrzeba. A życiu zawżdym rad. Wy zaś młodzi ludzie — choćby i pani naprzykład — tak patrzycie, jakbyście lata wasze ciągnęli niby kajdany najcięższe; nie jeden samby już do ziemi rad. Źle mówię?

— Prawdę.

...Oj, do ziemi, już do ziemi. Po tem, jak robotę tobie odjęto i po tem, co on powiedział — już do ziemi tylko.

A może zrobisz, jak on przykazywał, wypędzając ciebie po latach dziesięciu? — pytał ją niby głos czyjściś, ze świstem wiatru lecący, a żalem odęty i wzgardliwy.

— Nie zrobię! — wykrzyknęła, myśl z jawą pomieszawszy, i tak głośno, że staruszek drgnął, popatrzył na nią badawczo i palec do czoła sobie przytknąwszy, zakiwał głową ze współczuciem.

— Biedota — do siebie prawić począł, nie bacząc, czy będzie słyszany. — Chodzi to i takich po świecie wiele. Nie ma zaś cięższego nieszczęścia, jak gdy komu Pan Bóg rozum zaćmi.

Jakoż zdawało się, że Agnieszka ani sły-

szy go, ani rozumie. Chustką znów szczelnie się otuliła, że i oczów prawie widać nie było. Umordowanie powiązało członki jej odrętwiałością, jak powrozem całą okręciło. Snu by pragnęła teraz nad wszystko na świecie.

Tymczasem ze wzmożeniem się ruchu na ulicy — bo już ku południowi szło — budka wprędce jakoś wypełniła się ludźmi i ścisk się tu uczynił a rozgwar.

Weszło kilka osób przyzwoicie ubranych, oczekujących na tramwaj. Patrzyły one z pewnem niedowierzaniem na resztę tłoczącej się publiczności i unikały troskliwie ocierania się o ludzi, których najwidoczniej do poczekalni przywiodła chęć uraczenia się ciepłem. Piecyk był w oblężeniu, zewsząd ku jego rurze nagrzanej wyciągały się ręce, z za bark i pleców najbliżej stojących szczęśliwców.

Kobiet znajdowało się tu kilka, chustkami tylko po wierzch okrytych i to lekkiemi. U mężczyzn też przeważały okrycia albo na cieplejszą porę stosowniejsze, albo djablo znoszone i w dziury a łaty zasobne.

Pomiędzy dorosłymi chłopięta kręciły się, nieosłoniętymi świecąc karczkami, lub piersią, wyglądającą z pod pozbawionej zapięcia watówki, wykrajanej bez najlżejszego o mo-

dzie myślenia — ze starego matczynego kaftana, jeśli nie z resztek palta ojcowskiego. Spodenki na nich szmatami płóciennemi połatane, obuwie wzute na gołe nogi, a obuwie-ż to było!... Olbrzymie, każdy z innej nogi kamaszyska, co dorosłym z nóg już pozlatały, powykręcane, może ze śmietnika podjęte, może z mułu rzecznego wydobyte.

Ziąb malcom i za kark załaził i piersi oszczypywał — i kolana, z dziur w spodenkach wyglądające, czerwienił — i nóżęta odmuchiwał: oni sobie z tego nic nie czynili. Nie frasunek im z oczu patrzał, tylko zuchwałość. Przytupując, na jednej podskakując nodze, tłocząc się, pchając, szturchańce między siebie rozdzielając, do piecyka się przeciskali, a gdy który, zbyt blizko rękę przytknąwszy, oparzy się — zaraz kolegę w kark trzepnie. I krzyk:

— Czego bijesz, ty chamie!

— Bom łapę sparzył, to ją studzę — tłumaczy ów, w dłoń sobie chuchając.

— Czekaj, niech ja teraz swoją nagrzeję — woła malec skrzywdzony i oddaje przeciwnikowi w dwójnasób, a ten — z kolei — głową w brzuch stojącej za nim kobiety całą

siłą uderza, że ta się aż w pół zegnie i klątwę z ust wyrzuci.

— O podłe bękarty!

Baba próbuje, czy nie uda się jej malca którego za głowę uchwycić, by wraz z czapką włosów mu wydrzeć nieco. Gdzie zaś, czapka już pod pachą ukryta — malec taki nadewszystko czapki strzeże — a włosy ostrzyżone jak u rekruta, nie ma co w garść ująć. I chłopaków już niema — polecieli — już po ulicy śmigają, jeden zaś z nich wyrostek po ognisto rudej czuprynie do poznania łatwy, progu dopadłszy, ucieszne miny czyniąc, pokrzykuje:

— Okropny wypadek! Ciężkie potłuczenie kałduna szanownej damy! Byle się przed czasem co nie wytrzęsło!

Poczem pomknął za innymi, czując, że miarka swywoli przebrana.

W budce oburzenie.

— Szarańcza, złe nasienie, czarci przychówek!

— Co to z tego wyrośnie — szemrze staruszek. — Ja państwu powiem: to będą łobuzy.

— Nie będą, bo już są — sarka skrzywdzona kobieta — gorszych we świecie nie

najdziecie. Ale poczekaj — odgrażała się pięścią — znam ja ciebie, rudy łebku, wiem, czyjś ty jest. Żebym tak nocy nie doczekała, jeśli dziś jeszcze tatulo twój cię nie spierze — że tydzień nie usiądziesz.

W porze cieplejszej — póki rzeka żyje i życie do siebie przyciąga — tym malcom raj jest na wybrzezu; kijem ich stamtąd nie odpędzi. Teraz, gdy zimową pustką tam powiało, nudno im wśród zaułków głuchych i domostw odrapanych, gdzie bieda się rozsiadła — jak wiedźma ze złą, skrzywioną gębą — wesołość każdemu, więc i tym małym łobuzom nadrzecznym, odbierając. Ciągną tedy «na miasto», powody sobie ku temu różne dobierając, lub i bez powodu — bo komu sprawę zdawać będzie malec taki: ojciec w robocie, matka drobniejszej dziatwy odstąpić nie może i za chłopakiem nie pogoni. A gdy wróci — że po uchu coś nie coś oberwie — to i cóż! Dobre to nawet na rozgrzewkę.

Gromadka, która przed chwilą ucieczką się ratowała, zebrała się nieopodal przy skwerze i zaraz wśród niej się zakotłowało.

Rudy wyrostek wygrażał chłopaczynie, odzianemu w coś, co do kostek mu sięgając,

górną częścią szubki watowej kobiecej być musiało. Szczególna ta opończa, poszarpaną już była, wszędy watę brudną ukazując. Na jednej nożynie miało chłopię owo ze słomy upleciony łapeć olbrzymi, w jakich stróże nocni chadzają, na drugiej szczątek kalosza.

— Gdzieś podział moje ćtyry numery — darł się rudy, wymachując paczką gazet — płacisz za ćtyry, czy nie — pytam?

— A jakże, płacę — sumitował się malec w szubce — ino Hipolitek podleci, to zara zapłacę.

— Mnie co do twego Hipolitka, albo znam jakiego Hipolitka! No, widzicie — jak to zaświecił, sianem się wykręca, Hipolitkiem mi oczy mydli!

— Żebym tak zdrów był, że ma Hipolitek te ćtyry numery. Sprzeda i zara tobie zapłacim. To mój brat. Ino go patrzyć...

— Czy ja tobie pożyczałem, czy Hipolitkowi — niech go djabeł powiesi? No — gadaj! — upierał się rudy.

— Kiedy w tej słomie do trambaju sam nie podlecę. I tak już po łbie-m od stójkowego dostał, żeby się tu nie kręcić. Więc dałem Hipolitkowi.

— Patrzcie, moi kochani — zwrócił się

rudy do całej gromady — ten wysmrodek mnie na kawał bierze. Kiedy tak — masz, to dla ciebie, a to dla Hipolitka.

Otrzymawszy dwa szturchańce i miarkując, że na tem się nie skończy, malec począł zmykać, gubiąc najpierw słomiankę, potem kalosz. Prześladowca jego i reszta chłopaków — za nim. Wpadli wszyscy do budki, ale tu powitano ich nieżyczliwie. Wszczął się tumult. Astmatyczny staruszek przez okno począł rozpaczliwe czynić znaki Janowi, oczyszczającemu szyny.

Gdy Jan z trzonkiem gracy, do góry wzniesionym groźnie, stanął na progu, chłopców już — ani poświeć. Pięty im na zakręcie ulicy ino migały. Poturbowany malec unosił w fałdach opończy swój wielki łapeć i biedne resztki kalosza. Tylko rudy nie uciekał, a i pogoni za Hipolitka bratem dał za wygranę; na stopień tramwaju wskoczywszy, przenikliwym głosem wywoływał nazwę dziennika.

Wogóle ukazanie się stróża odniosło ten skutek, że budka wyludniła się. Pozostało parę osób, lepiej odzianych, oczekujących na tramwaj, staruszek kaszlący, Agnieszka, którą znużenie przygwoździło do jej kąta, i nie-

stary jeszcze, bardzo otyły osobnik w długich butach i watowej, zatłuszczonej marynarce.

Kończył on właśnie — po krótkiej przerwie, najściem małych łobuzów spowodowanej — opowiadanie o niepowodzeniach, jakich doznał w «interesie» rzeźniczym na przedmieściu, zwracając mowę swą do staruszka, miarowem kiwaniem głowy, uwagę swą w słuchaniu zaznaczającego.

— Więc tedy — wyszedłem na dziady. Jednego ranka — ani wieprzy w chlewie, ani mięsa w wędzarni, ani pół połcia słoniny. Pieniądze z pod poduszki przepadły, a mnie na pierzynę, pod nos, zdechłego kota położono.

— Że to pan jednak nic nie słyczał, nie poczuł! — zadziwił się staruszek.

— Niepojęte, niepojęte — powiadam. Coś było mi zadane wieczorem w szynku. To sprawa tego szelmy Fabisiaka: jak tylko z jego ręki kieliszek przyjąłem, zamroczyło mnie. No, i powiedz pan, sąsiad mój widział złodzieja, a — nic, pary nawet nie puścił. Jeszcze powiadał później: przycupnąłem se za parkanem, byle mnie aby on nie zoczył.

— Tak — potwierdził staruszek — naród

tera bojący; każdy ino o siebie, o swoją skórę...

— Prawdę pan mówi — ciągnął dalej rzeźnik — ja też tak wiele nie dziwuję się jemu, sąsiadowi niby. Na własne oczy widzieć mi się raz zdarzyło, że złodziej mści się na takim, co go skapuje.

Było tak. Szła sobie rano pani dostatnia, z targu wracając; za nią dziewucha niosła w koszyku mięsiwo i inne różności. A to — na Przyrynku. Jak się zrównały z figurą, co przed kościołem, przyklękły se kole siebie, a z tyłu złodziejaszek jedną ręką mięso z koszyka wybiera, drugą pani do kieszoneczki zapuścił. Po drugiej stronie baba wiejska szła z próżnemi blaszankami, mleko rozniósłszy i do woza swego, co przy targu ostawiła, powracając. Zakrzykła na panią: «A obejrzyj się ino, jejmość!» Ladaco dał chodu i przepadł, w Samburską gdzieś wpadłszy ulicę.

A no, podeszła baba do onej pani i służącej, i dalej wszystkie trzy rajcować — jakie to złodzieje śmiałe, w biały dzień, przy ludziach, kraść się nie strachają. Nie wytrwało może trzech pacierzy, idzie od Samburskiej jakiś — nie ten, co kradł, ale napewno zło-

dzieja owego kolega, nasłany bez zemstę. Czapka na oczy, kołnierz marynarki do góry. Że to tam chodnik wązki, ów, babę wymijając, jak nie rozedrze gębę: «Cóżeś to drogę zawaliła, a nie ustąpisz mi zaraz!» I chlast babę w zęby, że ta jak snop rozciągła się w rynsztoku. On zaś ino okręcił się na pięcie — i jak to złodzieje: nigdy prosto nie pobieży — wysunął się w jedną stronę, zawrócił w drugą, oczy nam zmylił i za węgłem się skrył.

A baba w rynsztoku leży i nawet się nie drze, tylko pojękuje: Ratujta me! Byłem i ja tam, podchodzim osób parę — mówim: «Wstańcie, matko, przecież wielkiej krzywdy wam nie uczynił, może ino ząb który się obruszył». A ona charczy, straszne oczy zrobiła, białka całe wywaliła. Patrzyć — a tu bok się u niej czerwieni. Podnosim ją — Jezu ratuj! Baba przebita, za kaftanem krew aż bulkocze i z ust już chlusta!

I kiedy ją przebił — niktby we świecie nie pomiarkował. Toć patrzałem, prawie, jak tu na pana; widziałem, że bokiem się o nią otarł — potem jakoś zawrócił i trzasnął ją w gębę — i tyle. Co gadać, kiedy nawet ta sama pani, kiele niej stojąca, i to powiada:

«Nijakiego noża u niego nie widziałam i żeby żgał tę kobietę — nie widziałam».

A to tak było: on ją najpierw żgnął — majster musiał być nielada, co to ręką aby nieznacznie ruszy, nożyk wbije, wyjmie i wszystko tyle trwa, co amen powiedzieć — a jak baba do krzyku buzię rozdarła, on ją zamalował. I tem się ratował, bo inaczej by go pojmano. Żeby baba zakrzyknąć zdążyła i hasło poszło, że przebita, toby i stróże wylecieli i gwizdkę by dano — i już by nie uszedł. Tak zaś, ludzie myśleli ino, że ktoś tam kogoś po pysku sprał; niewielkie zmartwienie...

— A cóż z kobietą ową? — staruszek pytał.

— Przyjechała karyta i wzieni ją. Wylizała się z tego, bom ją potem, w miesięcy parę, widział znów z mlekiem na targu. Tylko biała była jak chusta, a idąc, słaniała się trochę.

Opowiadanie zakończywszy, rzeźnik uderzył dłonią po swem kolanie, potarł je mocno, odsapnął — i z miejsca się ruszył.

Za nim staruszek też podreptał.

Ocknęła się Agnieszka. Była znów sama. Przed oknem Jan stał i na nią spoglądał zna-

cząco, jakby rzec chciał: «Jeszcze-ś tu, czy to pomieszkanie będzie twoje?»

Za chwilę wlokła się po pod ścianami domów, głowę opuściwszy, jak pies od legowiska nieswojego odpędzony.

IV.

Z szarych, grubych, szorstkich nici utkana wstęga jej życia...

Weź zwój ten do ręki — jaki ciężki...

Porównaj go ze zwojem wstążki jedwabnej — miękkiej, lekkiej, delikatnej, pieściwej w dotknięciu, połyskliwej a mieniącej się — gdy ją rozwijasz — w odcienia coraz inne, coraz milsze. Ta ci wzrok usidla, tamta w oczy kłóje.

Tamtej zwój za zwojem, własnym ciągniony ciężarem, z dłoni ci się wysuwa — i zwój za zwojem jednako szare, ostre, drapiące. Patrz, patrz — nie ma tu nici, które do żywota ludzkiego wplata radość, pogoda, słońce, oddech wolny i czysty, powiew z pól i lasów, słodycz ludzkiej przyjaźni, ucałowania niewinnej, rumieniącej się miłości; niema

wcale nici, które splot życia krasnym, miłym, mieniącym się czynią.

Już wszystko się rozwinęło, został ci w ręku jeden zwój, na wstępie jej życia utkany. Dziwisz się — skądże tu ślad jedwabnego włókna, krótkiej zerwanej niteczki drogocennej, skąd centki barwne, lśniące na parciance, w tem jednem miejscu!

Pytaj. Polecą myśli tej kobiety wstecz — daleko, daleko; polecą, umęczą się i wrócą, nic nie niosąc.

— Jedwabna nić? Nie, tej nie pamiętam.

— Przypomnij sobie...

— Jedwabną nić, co jak tęcza się mieni? Gdzież by...

W tej suterynie, od rzeki niedaleczko, gdzie piętnaście lat mieszkalim — tam by się snuła jedwabna nić? O nie. Tam woda o mało nas nie zalała. Pamiętam — dziewuszyną małą jeszcze byłam — woda pojawiła się raz — taka zimna, taka straszna... W naszej izbie było zawsze ciemno; o dniu — choć się na świecie dawno rozwidnił — my tam prawie nie wiedzieli; jeśli matka, wychodząc nie zabaczyła lampki przed obrazem zaświecić — to od niej coś nie coś pobłyskiwało.

Siedzę ja sobie, Walusia naszego koły-

sząc, a u progu bulkocze coś, bulkocze — jakby od deszczu zaciekało. I tak się tam zrobiło czarno koło progu, a po tej czarności kółka zaczęły chodzić świecące; na ostatku ślep rozbłysnął stamtąd do mnie, czerwony, zły, mrugający. To lampka we wodzie się przejrzała.

Odrazu podeszło mi pod nogi bose cosik zimnego, jak lód. Skoczyłam a to pluska. Jak nie chwycę Walusia w ręce i na stół nie polazę. Do drzwi się nie rwałam, bo matka zawsze zamykała na kłódkę. Nie wiem, co to się wyrabia, ale mnie trzęsie strach, że mało ze stołu nie zlecę. Wtem szyba z okienka wypada i tamtędy woda chlusta; chciałabym krzyczeć — nie mogę, tylko bardziej się trzęsę, bo przysłyszało mi się wołanie: Zabiorę was — potopię was — poniosę was.. Potem — w okienku czyjaś głowa, ktoś woła: «Dziewucha — żyjesz?» Okienko wylata. Wyciągli nas...

Woda poszła — jak przyszła. Izba obeschła. My do niej wrócilim, ale i potem nie snuła się nam jedwabna nić. Ino pamiętam, że Waluś tam umarł — i jak tatkę do szpitala wzieni.

— Więc może dawniej, jeszcze dawniej?

— Gdzieżby to? Chyba, chyba — jak jeszcze mniejszą byłam, ledwie od ziemi odrośniętą... Prawda! Toż rodzice z Kamionki, z miasteczka. Ja się tam urodziłam; do moich pięciu czy sześciu lat w Kamionce mieszkalim.

...I szuka lśniących centek na szarej parciance, a w miarę, jak je znajduje, uśmiech pobłażliwy okrążać poczyna wargi jej przywiędłe, pobladłe.

...Oto furtka w opłotku, którą malec jasnowłosy otwiera i zamyka ze skrzypieniem i piskiem zawiasów. Na niej wpół się przewiesiła dziewczynina, prawdziwie od ziemi ledwie odrośnięta, w koszulce i czerwonej spódniczce za cały strój — i używa jazdy.

— A pódzies Jaguś, do lasu?

— Nie pódę. A po co?

— Pan Jezusek się obalił — pokaze ci.

— A kłamies.

— A nie kłamie, bo obalił się. Bylim z Antkiem i Zochną, widzielim — lezy.

— Posłabym ale me tatuś zbijom — mówi mała wahająco, a już nogi na ziem opuszcza.

Chłopiec rozważa tę przeszkodę, dłubiąc sobie w nosie.

— To nie chodzi, Jaguś — zeby cie nie zbili.

— A moze nie obacọm — szepcze ona i ukradkiem do okien popatrzy. Nikogo nie widać. Zgrzyt piłki stolarskiej z izby dochodzi.

Jedna chwila wahania — wreszcie biorą się za ręce — lecą.

Gdzie choina porasta na wzgórku piaszczystym, krzyż ogromny u spróchniałej podstawy złamany wichurą i obalony, leży, ramię jedno w bielutkim zagrzebawszy piasku. A Pan Jezusek na skrzyżowaniu ramion maleńki, z blachy, zczerniały, pogięty. Wokół ludzi gromadka.

Dzieci nieopodal przycupnęły i gwarzą:

— Co tera bedzie, Jaguś?

— Z cem?

— Z kzyziem. Pan Jezusek nie mogą na ziemi lezyć.

— To postawiom jak było.

— A nie postawiom, bo to drewno znowuj sie psełomi.

— Skąd wis, mądralo?

— Psełomi sie, wim.

Pomilczą, pomilczą.

— To chodźma syski zbirać.

Nazbierali — on w swój kaśkiet z oddartym daszkiem, ona w kiecuszkę czerwoną.

Odrazu przypomni się jej:

— Zbijom me.

Cały swój zbiór na ziemię wysypuje i co sił do domu pędzi, nie oglądając się na towarzysza. On stoi — patrzy za nią niespokojnie, patrzy na jej mały pleciony warkoczyk z tyłu głowy, w powietrzu się unoszący — i drapie się po głowinie.

A w domu ten sam zgrzyt piłki. Nikt nie wygląda. Trwoga ją odstępuje.

— Moze nawrócić do kzyzia?

E, nie. Głód czuje dokuczliwy, wspina się na przyzbę, główkę w okno wtyka i odrazu hałasem wielkim po całym podwórku i izbie śmiech jej się rozlatuje.

— Ha, ha, ha, matuś! Jeść. Oj, jeść!

...Taki to ślad ubożuchny jedwabnej, złotawej nici w pierwszym zwoju jej życia odnajdziesz.

I nic więcej.

Bieda rodziców jej z miasteczka wygryzła i do miasta wielkiego pognała. A tam — co. Mrokiem swym i wilgocią spleśniałą ogarnęła ich suteryna, co od rzeki niedaleczko. Złotawości i słoneczności wszelakiej

tu był koniec. Niby więźniom wesołość z serc uchodziła i w mur zimny, siwy po trochu wsiąkała, a w jej miejsce stęchlizną piwniczną piersi biedaków nasiąkały, zaś dusze ich — szarością przygnębienia. W oparach ziemnych, niezdrowych śmierć się lęgła i raz po raz po któreś z nich przychodziła: to Waluś — to starszy, co ojcu już pomocnym bywał, Marjanek — na ostatku i ojciec sam poodchodzili.

Otóż i dzieciństwo jej zeszło, a młodość podeszła niby kwiat już w zaraniu pobladły.

Pomimo bladość swoją — ładny.

Choć usta jej nie wiśniom podobne były, tylko leciutko zaróżowione; choć policzków krew rumieńcem nie umalowała, choć chudość owal twarzy przeciągła — zawżdy i usta, i policzki, i twarz całą, a oczy nadewszystko pociągające miała.

Nie raz słyszała, że mówiono o niej:

— Śliczny buziak, udatny buziak, takiemi oczami przywiąże do siebie kogo zechce.

A nic jej to nie cieszyło. Nie była rada swej ładności, jak inne. Nie było w niej wcale swobody dziewczęcej, niefrasobliwości wiekowi jej właściwej, ucieszenia się ze siebie samej, ze swej krwi młodej, z gibkości swego

ciała, ze swej siły, ze swego wdzięku, który — że jest i że urok od niego na ludzi bije — każda wie, czuje, choćby w zwierciadło nigdy nie patrzała i świadomość ta każdą cieszy lub bawi. Pierwsza lepsza dziewucha wiejska w kawałku stłuczonego lusterka się przejrzy i zaraz rozśmieje się, nie wie czego — i nie wie, czy do chłopców, czy do siebie samej, czy do świata całego — a śmieje się.

Agnieszka nigdy się tak nie śmiała. Suteryna śmiech jej wyssała i lękiem jakimś posępnym ją napoiła.

— Cóż z tego, żem nie brzydka? Na co moja uroda. Z nią, czy bez niej — zmarnieć mi przyjdzie, dni swoje potyrać, uwiędnąć.

V.

Obie z matką pracowały w jednej fabryce, wyrabiającej koronki. Obie robotnice dobre, ze wszystkich chyba najcichsze i najpracowitsze.

Nie, żeby chciały cichością swoją wyróżnić się, lub lepszemi od innych się okazać, nie, żeby tak strasznie na zarobek większy łakomemi były i chciwemi — jak są niektóre —

by drugim robotę odebrać i samym przerobić. Tylko, do rozmowy chęci najmniejszej a najmniejszej nie miały, robotę zaś lubiły.

Po ogromnych salach, z furkotaniem transmisyi i postukiwaniem miarowem warsztatów zmieszany rozlegał się, o sklepienia trącając, huczny głosów ludzkich rozgwar. Salą, w której kobiety zatrudnione były, wstrząsała fala najhuczniejsza, aż przez okna na ulicę się przelewając.

W tym babskim trajkocie ostre ze sobą trącały się wyrazy; poswarki słyszałeś, złorzeczenia, przytyki w oczy wzajemnie sobie ciskane, cały jarmark kobiecych pretensyj.

Te dwie obok siebie, jednako pochylone, z jednakiem zajęciem i bystrością w robotę swoją wpatrzone, uważne, ciche — choć nie zasępione.

Owszem — i na uśmiech czasem się zdobyły i słowo jakieś rzuciły, i czyjąś mowę głowy kiwnięciem potwierdziły, właśnie jakby wiele im szło o to, by nie odróżniać się, uwagi na siebie nie zwracać, tej nienawiści nie ściągać, którą ogół bab wściekle kąsać potrafi każdą nieprzystępną i dumną robotnicę.

Ale że wyrazu brudnego — to już od

tych dwu nie posłyszeć. Mogła wkoło nich przekleństwami plwać zajadłość kobieca, mogła złość gotować się i pryskać, mogła się rozkiełznać mowa, o uszy im obijać się mogły opowiadania niewstydliwe, zwierzenia na głos czynione niezbyt skromne, oskarżenia jednych na drugie miotane, najgorsze. Co im do tego.

W tem codziennem, zwykłem piekle sali fabrycznej kobiecej, w tym rozgwarze od rana do nocy trwającym, pośród tego wrzasku skupionej w jedno miejsce biedy i ciemnoty, która własne rany z dziką zajadłością rozdrapując, próbuje ból zagłuszyć krzykiem, swarliwością i udanym najczęściej, sztucznym, jakimś podnieconym bezwstydem — niektóre, a w ich liczbie Agnieszka z matką — umiały odnaleźć przyjemność ze samej roboty płynącą.

One lubiły robotę niekoniecznie dla samych rubli trzech i kopiejek kilkudziesięciu cosobotnich, ale jeszcze i dla zaprzątnięcia myśli nią, dlatego, że ona cościś w nich zapełnia, nasyca a również coś na uwięzi trzyma, a to — gdyby głodne i wolne było — tedy by skomlić poczęło a szarpać wnętrze człowieka tęsknicą, upragnieniami.

Gdyby nie robota — do matki, nie czekając wiele, przyleciałby w te pędy Waluś maleńki — jedne kosteczki białe, chrzęszczące, a za nim, czyby i ojciec Walusia nie przyszedł ze starszym synem, wszyscy wszak mogiłkom swym nie radzi! I czyby nie szeptali jej do uszu użalań swoich to na robactwo, to na piasek żrący, to na wodę ziębiącą, to na odzież przegniłą, to na sąsiadów, co od nich słowa nie posłyszeć. A cóż by im rzekła, czemby pocieszyła.

Gdyby nie robota — córce też nie opędzićby się myślom kąśliwym, które, niewiadomo skąd się biorąc, z pytaniami podlatują: dla kogo słońce, radość, dola, kwiat pachnący, śpiewanie ptaków? Na co młodość moja? Kiedyż jeden grób na drugi się przemieni?

Stąd szło, że wielki do roboty pociąg miały i robiły tak jakoś niespiesznie, a chętnie, a uważnie.

Gdy ostatnia gwizdka powietrze spruła i po wszystkich salach popłoch, końcowi pracy właściwy, rozniosła, całą wielką gromadę ludzką jednym przejmując wstrząśnieniem, w nich żadnego nie widziałeś pośpiechu, ani ukontentowania.

Odchodząc, oglądały się zawsze na miejsca swoje.

— Daj Boże — jutro powrócić!

Na Agnieszkę nie oczekiwano u furty.

W chwili wyjścia robotnic, przed fabryką snuło się wielu mężczyzn; każdy wyglądał swojej. Do niej nikt nie bieżał.

Brały się z matką pod ręce, chustkami szczelnie otulone; skręcały spiesznie do poblizkiego zaułka, znikały — zawsze dwie tylko — zawsze same.

VI.

Od owdowienia jednej a osierocenia drugiej — mieszkały kobiety te u ludzi obcych, kątem.

Poddasze to było, z dwu składajace się izb — niemałych, ale do przytulenia tylu ludzi, ilu kąty tu powypuszczane sobie miało — za szczupłych. Dziatwę — a był jej zastęp liczny, bo od trzech par małżeńskich, nocą pokotem kładziono na zasłanej czemkolwiek podłodze, że dla stopy postawienia nie znaleźć wtedy wolnego miejsca.

Prócz rodzin trzech, oraz Agnieszki i jej

matki, cisnęło się tu pojedyńczych jeszcze lokatorów czasem paru, czasem kilku, nieposiadających łóżek a zatem i kąta właściwego, sypiających na byle gdzie rozłożonym sienniku. To byli ludzie niekrępowani obowiązkami rodzinnymi, mający zajęcie niepewne, często zmieniające się, dziś tu — jutro tam, lub urywające się na czas dłuższy lub krótszy. Wyrobnik lub wyrobnica, posługacz czy posługaczka; służąca po odejściu z jednej służby a przed znalezieniem drugiej; czasem szwaczka, kiedyindziej robotnica młoda, bez rodziny lub mająca powody do zamieszkiwania osobno w oczekiwaniu, aż kochanek jej poczuje się do obowiązku zagładzenia błędów lub osiągnie środki do uwicia gniazdka już dla trojga, lub może — bez żadnych na przyszłość określonych nadziei — czekająca czasu odbycia połogu gdzieś w przytułku; innym razem znów rzemieślników paru, młodziaków po koleżeńsku jednym dzielących się siennikiem, słowem — ludek z tych czy innych powodów, nieustatkowany i sierocy, pojawiał się tu, znajdując przytulenie za kilka złotych na miesiąc i pomieszkawszy dłużej — krócej, znikał. Wciąż jedni drugich zastępowali. Tylko kobiet, złem rzemiosłem się trudniących i ta-

kich ludzi, których o złodziejstwo podejrzywać można było, nie przyjmowali gospodarze stancyi.

Gdyby miejsca więcej było, woleliby jedynie rodzinom kąty odnajmować.

— Z tych, co luzem po świecie latają, mała dla nas pociecha — mawiała główna lokatorka, praczka Leonowa. — Nigdyby my mieszkania opłacić nie zdołali, żeby na nich liczyć. Przemieszka to miesiąc, złapie sienniczynę na plecy, tobołek, czy tam skrzynkę ze szmatami pod pachę i jazda we świat. A ty człowieku ostań i płać dalej. Wolimy, dużo wolimy, żeniatych, dzietnych, robotę stałą mających. Choć z małżeństwem umitrężenie większe, bo to i gratami pół izby odrazu zastawią, i baby przy jednym kominie o garnki się co dzień swarują i dzieciaki piekło podnoszą a izbę, jak chlew mi zaśmiecą — zawsze co małżeństwo — to statek, to miejsca jednego trzymanie się. Małżeństwo przewłóczyć się co miesiąc lub dwa bez racyi dobrej nie będzie.

Przydawali się jednak i owe luzaki. Choć bowiem na trzy rodziny rozłożony za wielkim był jeszcze dla każdej z nich czynsz komorniany, a miejsca już szczupło ostawało.

Z pomiędzy mieszkających tu w pojedynkę trafił się wszelakoż jeden, okazujący stateczność w tem, że raz zamieszkawszy, nie myślał o prędkiem wyniesieniu się, choć zabranie pod pachę ruchomości swych wszystkich nie sprawiłoby mu trudności żadnej.

Zwał się Dominik.

Około trzydziestki liczący, szczupły, średniego wzrostu, nic wyróżniającego się w powierzchowności swej nie posiadał. Twarz jego przystojną dość pospolitą, ozdabiał niebrzydki jasny wąs.

— Gładki dość — mawiały o nim mieszkanki poddasza — ale żeby przepadać za nim — to nie. Ot — ujdzie.

Rozmawiając z nim jednak częściej, można było upodobać sobie niektóre brzmienia jego głosu lub śmiechu, łączące serdeczność, chęć ujęcia sobie słuchaczów z pewną nieśmiałością, wywołującą nagłe zamilknięcia, jakby usta krępowała obawa, czem ludzie na życzliwość odpowiedzą. Trafiały się w mowie jego takie odcienia delikatniejsze, miłe dla ucha i do serca wkraść się mogące, tylko że taką mową nie szafował. W obejściu zuchwałości, ani junactwa, usidlającego niewiasty, brak mu było, ale zachowanie spokojne

a nielękliwe znamionowało i pewności siebie nieco i uporu dość. Robotnikiem był jednym z kilkuset zatrudnionych w wielkich zakładach mechanicznych.

Wprędce jakoś potem, jak Agnieszka z matką u Leonostwa zamieszkały, sprowadził się i Dominik. Że zaś one w drugiej izbie kąt swój miały, że przytem, Dominik, dalszą musząc do swojej fabryki przebywać drogę, czy może też bałamucąc się wieczorami, późno — gdy te się już pokładły — wracał, a zrana wcześniej, niż one, wychodził, nie wiedziały nic o nim długi czas. Dopiero niedzieli którejciś wieczorem, Agnieszka przelotnie dostrzegłszy w pierwszej izbie Dominika, gdy do spoczynku się zabierał, matce pytanie półgłosem rzuciła:

— Chyba Leonowie mają kogoś nowego tamój? Nie wie mama, co za jeden?

— Podobno z fabryki. Powiadała mi cosik o nim Leonowa, ale na oczy go pierwsze widzę i co powiadała mi — nie przypomnę. Tyle chyba, że człowiek cichy, nie pijak.

— U nich to prawdziwy zajazd — szepnęła Agnieszka i więcej o tem nie mówiły.

Tak słabo zapamiętała twarz jego, że gdy

na ulicy powracające z roboty napotkał je kiedyś i pozdrowił czapki uchyleniem, nie mogła pomiarkować, kto to jest.

— Zna mama?

— Zdaje mi się, że ten, co w pierwszej stancyi u Leonów, ale nie spierałabym się, czy to on.

Nadszedł zaraz za niemi, więc poznały, iż to ten sam. Pierwszy to raz zdarzyło się, że wieczerzając w swoim kątku, posłyszały głos Dominika i przez drzwi, do sąsiedniej izby uchylone, dobrze mu się przyjrzeć mogły.

— Roboty ubyło — opowiadał gospodarzom — trzydziestu naszym zapowiedziano, że za dwa tygodnie będą mieli książki podpisane — i abszyt. Bądź zdrów — trzymaj się ciepło.

— Trzydziestu — olaboga! — żałośnie zawodziła jedna z kobiet. — I co będą te ludzie robić?

— A cóż — świętować, z kąta w kąt łazić, przepychać biedę jak się da. Na pociechę — urżnąć się nie zawadzi, jeśli będzie za co — albo przyjaciel zafunduje. I aby dalej, aby — miesiąc, półtora.

— A potem?

— A potem nazad do roboty poprzyjmują.

— Aha, poprzyjmują. Więc to nie całkiem, nie na zawsze oddalają?

— Tak się nam widzi, bo to już nie raz było, że robota ustanie a za miesiąc, dwa — obstalunki podejdą i znów się ruszy.

— Dobrze to tak mówić: miesiąc, dwa — rozważała taż niewiasta, żona tragarza, który w tej chwili milcząco, z głośnym jeno ust i języka mlaskaniem wieczerzę spożywał — ale kto z dzieciskami, to jak przeżyć, jeśli insza robota na ten czas się nie trafi.

— To też za żeniatych i z dzieciskami jeszcze się nie wzieni. Nas wybrano, pojedynków na pierwszy ogień. Ale jak źle pójdzie, to i tamtych przerzedzą.

— Nie daj Boże — lepiej, żeby ich nie ruszali. Bo tam was, kawalirów, to i żałować nie warto — nie zginiecie.

— Ja nie kawaler — obojętnie wtrącił Dominik.

O! — zadziwiły się obecne w izbie kobiety. A gdzież pan Dominik żonę schował, może do tej tu malowanej skrzyneczki?

— Schowana ona ale do ziemi, na wieki wieczne. Prawdę powiedziawszy, to nawet

nie ja ją chował a obcy ludzie, i nie tu a daleko, w obcym kraju, w mieście nadmorskiem — mówił Dominik, bawiąc się wyrazem ciekawości, którym roziskrzyły się odrazu oczy słuchaczek.

— Widzicie, jaki skryty nasz pan Dominik — odezwała się gospodyni — miesiąc już tu u nas i słóweczka jeszcze o sobie nie pisnął. Pierwsze teraz słyszę — że wdowiec.

— Bo wdowce – przemówił ktoś inny — jeśli są bezdzietne, zawsze się ukrywają i za kawalirów lubią siebie wydawać, bez to, że wiele jest dziewuch, co za wdowca, chociażby i dzieci nie miał iść nie chcą, woląc takich, którzy żeniaczki jeszcze nie wypróbowali.

Dominik śmiał się bez przymusu swobodnie.

— Niech-ta wolą. Ja o żadną nie stoję.

Dzień był powszedni, ludzie pomordowani, rozmowa więc wprędce się zakończyła wśród przygotowań do spoczynku.

VII.

— Wdowiec, o żadną nie stoi, żona mu na obczyźnie umarła i sam jej nawet nie cho-

wał — szeptała Agnieszka do matki, siedząc na krawędzi łóżka, w którem sypiały razem.

Maryanna po spożyciu wieczerzy, składającej się z kawałka wędzonki, chleba i kubka herbaty, do której wodę dostarczała im gospodyni, i po odmówieniu krótkiego pacierza, wsunęła się czemprędzej do łóżka. Córka czekała zawsze z rozbieraniem się, aż inni pokładą się i lampkę zgasić lub przyciemnić można będzie, a póki to nie nastąpi, tuliła się w ubraniu koło matki, głowę przy jej głowie na poduszce ułożywszy. Jeśli starą sen zaraz nie zmożył — jedyna to była za całą dobę chwila, że gwarzyły ze sobą, gdy miały o czem.

— Może i nic dobrego jaki — odparła Maryanna, przecierając dłonią czoło, by senności nie dać się pochwycić — pewnie albo on żonę odeszedł, albo ona, z nim wytrzymać nie mogąc, do obcych uciekła.

— Albo była ladaco i bez to się rozeszli — zgadywała Agnieszka. — Pamięta mama, jak te co u Leonów w zeszłym roku mieszkali?

— Nie pamiętam, dziecko, tyle rozmaitego narodu przewaliło się w tem mieszkaniu. Aha, ci — jakże tam im — co to on aż

popłakiwał, aż usechł ze zmartwienia. Bywa, bywa i tak między ludźmi.

Suchą, szorstką ręką pociągnęła po gładziutkiej, jedwabistej twarzyczce córki, potem tę samą rękę zapuściła w splot miękkich jej włosów, ostrożnie wyjmując podtrzymujące je szpilki.

— Ciebie, córuś, kto weźmie, to już nie porzuci, bo skarb mu się dostanie — wierność — poczciwość do śmierci samej.

— A kto znów tak o mnie będzie się ubiegać, moja matuś. I niech mama nie chwali przed czasem; ja sama nie wiem, czy zła ja, czy dobra.

— Dobrą ty będziesz żoną, Jaguś, przyjacielską, uczciwą, robotną — i dostaniesz według siebie człowieka.

Do szepczących tak podeszła najbliższa, po jednej z niemi ścianie sypiająca — sąsiadka, Joanna. Pościelenie swe rozkładała ona zwykle na dwu do siebie przystawionych skrzynkach, łóżko, którego nie miała, zastępujących; na dzień siennik do komórki uprzątała.

Niestara, ze śladami wynędznienia na pociągłej, wychudzonej a miłej twarzy, miała Joanna pokorny i onieśmielony wyraz oczu.

Trzecim już powrotem mieszkała u Leonostwa. Wszystkim wiadomo było, że ta kobieta żyje z niejakim Piotrem, szewcem, wybiedzonym przez pijaństwo nałogowe, i że, od kilkunastu lat pobrać się mając ze sobą, nie pobiorą się nigdy, bo w dniu stanowczym młody uie jest w możności wybełkotać paru słów zrozumiale. Ludziom zaufanym Joanna z płaczem zwierzała się, iż drugi jeszcze powód staje na przeszkodzie ich połączeniu, oto — idzie jej o chustkę i pierzynę.

— Swoje wszystko przemarnował, pozastawiał, poniszczył. Broniłam, perswadowałam. Powiada: to moje. Ale jak już do tego dochodziło, że brał za chustkę albo pierzynę, ja mu pięść pod nos. Twoje? Mąż jesteś? Jakim prawem? I nie ruszył. Państwo moi, niech dziś ślub z nim wezmę, jutro pierzynę poniesie do *ciotki.*

Rozchodzili się co najmniej dwa razy do roku. Joanna dla ukarania go za ciężkie wykroczenia pijackie, uroczyście zarzekając się dalszego pożycia, opuszczała wspólne mieszkanie, szła — do ludzi. Po tygodniu, stęskniony do niej i pierzyny — bo sypiać teraz musiał na gołym sienniku, bez przykrycia — zjawiał się szewc, pełen skruchy. Zgoda

jednak nie następowała tak prędko; czasem — miesiąc i dłużej kobieta z największą obojętnością wysłuchiwała jego próśb, zapewnień, przekonywań, zaklinań — wypowiadanych głosem, pełnym brzmień dziecinnie żałosnych i płaczliwych.

— Dobrze ci tak, Piotrusiu — powtarzała twardo i nieubłaganie — niech cię robactwo oblezie, zgnij na barłogu, zdechnij nawet — grudki ziemi tobie nie rzucę. Wnętrzności ze mnie powyciągałeś, serce ś mi poszarpał, obolałam cała bez ciebie. Pomorduj się i ty.

Raptem następował zwrot pomyślny. Gdy Piotr wyczerpał już wszystkie zaklęcia i przychodząc do niej — usiadał na brzeżku skrzyni, bez słowa, pokorny, przygnębiony, z bezmyślnie wlepionemi w podłogę oczami, ona ni stąd ni zowąd głaskała go po głowie, kazała mu zabierać skrzynkę i pościel.

— Sądzono widać, żebyśmy do reszty się sponiewierali... Do jednego śmietnika kiedyś nas wrzucą — wzdychała i szła znów za tą przeklętą dolą.

Ludzie ganili ją, lecz i żałowali, a za dobre, ciche, zgodne usposobienie nawet lubili

Przysiadłszy koło Agnieszki na łóżku i ona do szeptów się przyłączyła.

— Ten Dominik, czy to aby nie z tej samej grzędy, co my z Piotrusiem. Kiedy od niego odejdę, to nicpoń za wdowca się podaje. Po prawdzie — to i ja, jeśli do nieznajomych wtedy na mieszkanie popadnę, mówię: wdowa-m, bo i po co ludzie gęby zaraz o człowieka ocierać mają. Co innego tutaj — znają mnie i tak ostatnio jeszcze mną grzeszną nie gardzą, to i sekretu nie czynię... Za młodo mi ów na wdowca wygląda — dorzuciła po chwili.

Maryanna, już usypiając, bezdźwięcznie poruszyła ustami. Agnieszka ze smutnem doświadczeniem dziewczyny z ludu miejskiego, przed oczami której od najwcześniejszego wieku przesuwa się bez liku obrazów nędzy, pobłądzeń, grzechów nieukrywanych, nieosłanianych — szepnęła:

— Kto go wie, kto duszę obcego człowieka przejrzy.

— Bo to mnie gniewa — ciągnęła Joanna — że o śmierci żoninej tak sobie mówi jak o psie, że tam gdzieś zdechł i do rowu go ciśnięto.

Agnieszka nic nie odrzekła.

W obu izbach uścielono już dzieciom na podłodze. Ciasno się zrobiło, kręcenie się wszelkie po mieszkaniu ustać musiało; każdy już swego kąta tylko pilnować był winien.

Lampek na noc nie gaszono, żeby w razie wychodzenia ktoś dzieciom krzywdy nadeptaniem nie uczynił, ale skoro już do rozbierania się starszych przyjść miało, zaciemniono światło na tyle, by choć pomroką wstydliwość ludzką osłonić.

I niebawem na poddaszu tem dusznem, przejętem odorem mydlin, swędem kopcia naftowego i wyziewami ludzkimi, sen objął gromadkę ludzką coś dusz piętnaście — małe dziecinne duszyczki też włączając — liczącą.

VIII.

Gdy robota fabryczna się urwała, Dominik na razie innej nie znalazłszy, dni całe miał wolne.

W tym to czasie zdarzyło się parę razy, że znajdywał się on umyślnie, czy nieumyślnie, wieczorem, na jednej z ulic, któremi Agnieszka i Maryanna powracały z fabryki.

Innych znów dni, jeśli nie spotykały go

na ulicy, to już pewno przed domem wystawającego. Pozdrawiał je uprzejmem słowem i zapytywał, jak robota idzie.

Raz, drugi, mając sobie bez opryskliwości udzieloną odpowiedź, za trzecim przedłużył rozmowę, wtrąciwszy użalań nieco na własne przymusowe próżnowanie. Kobietom tak osobliwie spieszyć na poddasze nie było powodu, słuchały więc Dominika bez niechęci; zwykle jednak rozmowa na dole wszczęta, tu się też kończyła, przy ludziach w mieszkaniu już się nie wznawiając. Co najwyżej, z drugiej izby opowiadaniom jego o różnościach, widzianych, gdy wojskowość odbywał — przysłuchiwały się kobiety obie dość uważnie, śmiechem cichym wesołości ogólnej, zrywającej się chwilami, wtórując.

Gdy parę razy nawinął się im niedaleko od fabryki i do domu im towarzyszył, Maryanna baczność sobie nakazując, pilnie uważać nań poczęła. Wprędce też spostrzegła, że Dominik na Agnieszkę z uwielbieniem spoziera.

Któregoś więc wieczoru zapytała córkę:

— Jak on się widzi tobie, Jaguś, bo miarkuję, że silnie koło ciebie zabiegać poczyna, już i pod fabrykę podlatuje...

— To mu powiedzieć, niech zaprzestanie — odparła Agnieszka — ludzie dostrzegą i tyle będzie dobrego, że na języki mnie wezmą.

— Więc nie widzi ci się?

— Nie mówię, żebym przeciw niemu coś osobliwie miała. Tylko że — mnie, matuś, żaden się nie widzi.

— Czemuż to córuchno?

— Tak, sama nie wiem — czemu. Żałość mnie jakaściś chwyta, gdy pomyślę, żeby za chłopa iść. A ty, matuś, jakbyś została?

— Ostałabym w wielkiem ukontentowaniu. Tobie przyjaciel a opiekun potrzebny bardzo. Bo na mnie, Jaguś kochana, liczyć nie możesz, takam ci ja mdła jakaś, taka mdła... może i nie pociągnę długo.

Agnieszka ucałowała ją i popieściła, rękoma głowę matki okoliwszy.

— Byle mi mama nic o śmierci nie gadała.

Przytuliły się do siebie mocno i wkrótce zasnęły. Ale nazajutrz, do fabryki idąc, matka o toż samo znów potrąciła.

— Że wdowiec — nie szkodzi to nic, niechby tylko dobry był człowiek, z dobrem

sercem. Powiedz prawdę, Jaguś — wcale ci się nie widzi, gadasz z nim jakoś chętnie...

— To może i prawda. Ale czy wiemy, co u niego w sercu, jakie zamiary ma?

— Otóż to. Niech powie — czy w pomyśleniu jest uczciwem, i wtedy może z nami chodzić. Inaczej — wara.

Bodaj — że tego jeszcze dnia Dominik, jakby odgadując kobiet rozmowę, do wyjawienia zamiarów i upragnień swoich przystąpił.

Zaczepił on powracające i do wypoczęcia na skwerze, którędy przechodzić musieli, zachęcił. Dzień był po temu, kwietniowy; powietrze ciepłe, miękkie, pieściwe; do izby się pchać, gdy zmierzch zapadać jeszcze nie począł, nikogo ochota nie ciągnęła. Na ławce im miejsce znalazł, usadził.

Rozgadali się o tem, o owem, niezadługo jednak naprowadził Dominik rozmowę na żeniaczkę i począł dzieje swojej opowiadać.

Ożenił się młodo, w dziewiętnastym roku życia. Wziął kobietę o lat trzy, czy cztery starszą od siebie, ogromnie w nim rozmiłowaną.

Postawna — opowiadał — bielutkiej twarzy, słowem piękna kobieta, mowna, śmiała.

Zarabiała szyciem kamizelek ładne pieniądze. Co w nim, młodziaku, upatrzyła — nie wie, dość, że przylgnęła od pierwszego widzenia, wabiła, ciągnęła do siebie, aż przed ołtarz zaciągnęła.

Po ślubie miłowała nad wszelkie opowiedzenie, ale długo-ż... Coś w czwartym już roku, bez ludzkich oznajmień, ni plotek, sam na własne oczy przekonać się mógł, że źle się koło niego święci; w następnym — miłowanie nowe we świat ją pognało. Bez wieści przepadła. Po trzech ledwie latach posłuchy go doszły, gdzie, w jakiem miejscu ostatek życia spędziła. Daleko, za granicą, w portowem mieście. Kolega jeden dawniejszy, rzemieślnik, za chlebem po świecie się uganiając, napotkał ją wypadkiem, w szpitalu ją zeszedł — już dogorywającą.

Dominik wyjął z kieszeni marynarki paczkę papierów, w okładkę książeczki jakiejś, czy notatnika wciśniętych, odnalazł arkusik listowy, dobrze już zmiętoszony i na zgięciach przybrudzony — i Agnieszce go podał. Ta półgłosem wyblakłe pismo odczytywać poczęła.

W drugiej listu połowie (pierwsza pozdro-

wieniom i wiadomościom o zdrowiu swojem, żony i dzieci poświęcona była) stało tak:

«Leżała twoja na sali sąsiedniej z tą właśnie, gdzie moją starą, gdy wypadek ów z ręki stłuczeniem nastąpił, położono. Wydobrzawszy trochę i że to baby zawsze ciekawe, moja po salach się kręcąc, ją poznała. Zrazu oczom nie wierzyła, ale na tablicy imię Ludwika; tylko nazwisko to jakoś chyba przekręcone było, a może — bo to francuskie pisanie — litery się mojej w oczach splątały. Podeszła jeden raz, drugi — ta sama. Rozmówić się nie było sposobu, bo biedaczkę gorączka silnie rozebrała. W przedostatnim dniu coś nie coś, na godzin parę oprzytomniała, ale mojej poznać nie mogła, choć nachylać się jej ku samym oczom swoim i do światła obracać się kazała. Stamtąd jesteście, stamtąd? — wypytywała. Moja zaczęła o tobie mówić. To go znacie, znacie? — powtórzyła razy kilka — no to napiszcie-ż mu jak pomrę, że już wolny.

«My akuratnie adresu twojego nie wiedzieli. Dopiero z listu brata żoninego, Franciszka, dowiedzieliśmy się, gdzie zamieszkujesz; wprzód zaś dokąd było pisać? I nie miej do nas żalu, że my ją pochować nie

mogli — grosza w tym czasie prawie że jednego nie było. Szpital tedy, czy gmina tutejsza pochowała — akuratnie nie wiemy i na pogrzebie my nie byli».

Agnieszka list starannie po odczytaniu złożyła, dłonią go na kolanie wpierw wygładziwszy, i Dominikowi z powrotem wręczyła.

Obie kobiety westchnęły głęboko, po kilkakroć i zamyślone przysłuchiwały się kościelnemu na wieczór dzwonieniu. Zmrok zapadał.

Po chwili milczenia, Dominik, czoło trąc, w onieśmieleniu widocznem, wybąknął, że domyślają się pewnie, dlaczego on te rzeczy im opowiada. Należy się, żeby wiedziały wszystko, co jego się tyczy, bo oto zamierza pytać, czy panna Agnieszka nie ma do wdowców uprzedzenia, czy on wstrętu w niej nie obudza. Jeśli nie — to o wyjęcie papierów, sepultury i co tam potrzebne będzie — do kolegi zaraz pisać mu wypadnie.

Ani jedna, ani druga nie odrzekły nic.

Poważne, milczące, podniosły się, jednakowymi zupełnie ruchami poprawiając swe chustki, któremi się otulały. Ku domowi zwolna zmierzać poczęły. Dominik nie odstę-

pował. Gdyby odprawa być miała, usłyszałby ją zaraz, bez ogródki; milczenie odprawą nie było.

W sieni domowej Maryanna, przyzostawszy się za córką, powiedziała doń z prostotą:

— Uczciwym pomyśleniom nikt przeszkadzać nie będzie. Poznajcie się. Jeśli dziewczyna ku wam się skłoni... Czasu dość, bo i owe papiery nie tak prędko nadejdą.

Dominik nachylił się i rękę jej ucałował.

IX.

O «zamiarach» wprędce powiadomiono współmieszkańców poddasza. Inaczejby młodzi żadnej, najmniejszej swobody mieć nie mogli pod ustawiczną oczu ciekawych i języków do pytlowania skorych kontrolą.

Gdy zaś wiadomem się stało, że Dominik po papiery napisał, że skoro te nadejdą, z wyjęciem metryki Agnieszki kłopotu nie będzie i wszystko pójdzie zwykłą ku ślubowaniu małżeńskiemu wiodącą drogą — nikt się już do nich wtrącać nie miał powodu. Czy to w mieszkaniu, przy ludziach poroz-

mawiać, czy na ulicy się spotkać mogli, na obmowę się nie narażając.

Więc co dzień, gdy po wyjściu z fabryki skręcały do zaułka, na rogu Dominik już się znajdywał. Zrazu, w pierwszym tygodniu, po dawnemu przymawiał się o pozwolenie odprowadzenia:

— Czy panna Agnieszka pozwoli... czy panna Agnieszka nie będzie gniewna...

Powoli jednak utarło się to w zwyczaj, przyzwolenia każdorazowego nie wymagający.

Za furtę wyszedłszy, Agnieszka nie bez ciekawości rzucała okiem ku załomowi ulicy.

«Czy jest?»

Jeśli był, trącała nieznacznie matkę i szczelniej okrywała się chustką, uśmiech pod nią chowając leciutki. Gdy nikogo na rogu widać nie było, przeglądała bystrem spojrzeniem dwie zbiegające się w tem miejscu ulice. Zdarzało się czasem, że podlatywał niespodzianie, kiedy kawał już odeszły.

Towarzysząc kobietom, Dominik okazywał im to, co w innej sferze zowią atencyą: uprzejmość poszanowaniem podkreśloną wyraźnie, znacząco, jakby chciał być zrozumianym w ten sposób: «skoro się o ciebie ubiegam, więc dla mnie już jesteś pierwszą

w świecie, a gdyby moc moja była — sprawiłbym, żeby wszyscy tobie pierwsze oddać musieli miejsce».

— Niech też panna Agnieszka będzie łaskawa nie ustępować tak każdemu z drogi — prosił zrazu, a potem, gdy poufałość wzrosła, wprost strofował dziewczynę na ulicy, jeśli dla przepuszczenia panów i pań, ku ścianie się cisnęła, lub z chodnika ustępowała, matkę za sobą ciągnąc.

— Co mi tam — ona mu ze śmiechem odpowiadała — bom to ja wystrojona, żeby się przed ludzi pchać. Na ulicy zawsze mi czegoś nijako, radabym co prędzej do domu przylecieć a z oczu tym państwu zejść.

— Bo panna Agnieszka uważa siebie za coś gorszego od postrojonych — wymawiał jej z żywością i pewnem rozognieniem.

— To znów nie. Wiem, że strój to jeszcze nie człowiek.

A on prawił:

— Ustępować byle komu dlatego, że ładniej ubrany — to źle. Bo to raz — ty ustępujesz, a osoba pana udająca precz na ciebie lezie — pozwól jej tylko, to do rynsztoka cię zepchnie.

Jakoż, gdy on kroczył obok nich, Agnie

szce zdawać się mogło, że mur ją od ludzi przedziela; nie tylko potrącić, ale otrzeć się o nią nikomu nie dał, odsuwając łokciem tłoczących się przechodniów, żeby najokazalej wyglądających. Dostawały mu się też za to od panów spojrzenia groźne i złością rozognione, które Dominik wytrzymywał z półuśmiechem uprzejmym i już przez to samo na urąganie zakrawającym.

Czasem ktoś sarknięcie miał na ustach, lecz skrzyżowawszy wzrok ze wzrokiem robotnika spokojnym i śmiałym, zmilczał, wargę jeno gniewnie przygryzając.

Raz, gdy następował na Agnieszkę potężnej budowy jegomość, nikogo przed sobą nie zdający się widzieć, Dominik za ramię ją przytrzymał, by na stronę się nie usunęła, łokciem zaś drugiej ręki wykonał ruch, który toczącą się wprost na nich, pełną buty bryłę, zniewolił do zboczania z drogi.

— Oh! canaille! — rozległo się za niemi.

Dominik przystanął, kobiety same puściwszy. Parę sekund mierzyli się oczyma: jeden gniewnie sapiący, z piorunami w źrenicach, drugi z zimną badawczością świdrując wzrokiem w twarzy pańskiej. Krwiste wypieki ukazały się na twarzy jegomościa; wargi

odąwszy, wzrok spuściwszy, oddalać się począł z widocznym pośpiechem.

Zawsze to miłe uczucie, gdy ktoś za nami obstaje. Agnieszka nawykła łacno do narzucanej sobie opieki. Ani jej nie szukała, ani nie potrzebowała, ale zagustowała w niej wprędce. Matce zaś obejście się i zachowanie stateczne Dominika nadzwyczajnie się podobało.

— Otóż w jakiem córuchna moja u niego poszanowaniu — myślała ukontentowana.

Nadeszła ciepła pora. Dnia po robocie zbywało wiele, albo więc nadkładali wszystko troje drogi byle nie zaraz do domu iść, albo na skwerze nowomiejskim, który im po drodze był, siadywali. A niekiedy zachodzili na błonie zazielenione, rozesłane za ostatnimi starej dzielnicy domami. Podobne ono było wprawdzie do kobierca, miejscami wielce przetartego i zaśmieconego, trawa na nim ledwie nieco odrosła, już wygniecioną była i szarą od pyłu, zawsze jednak widziałeś stąd przestrzeń murami niezapartą i nieba szmat.

Błonie to wysunięte jednym bokiem do samej krawędzi wzgórza nad Wisłą, a przeciwnym sięgające do pustkowi aż po szpital

żydowski i Muranów zalegających, roiło się w tej porze do zapadnięcia zmierzchu, mnóstwem ludzi. Dnia powszedniego, ku wieczorowi, w święto zaś — ledwie południe zeszło, wylegała tu z sąsiednich, ciasnych i dusznych ulic, wylotami Rybaków, Przyrynku, Zakroczymskiej, od Muranowa i Bonifraterskiej, ludność szara, odrębna tych stron publiczność.

...Oto dzień na schyłku. Kobiet pełno, powyprowadzały drobiazg swój, by w Izbach nie wiądł a nie sechł, i zawsze tak: jedno na ręku, zaś dwoje — troje spódnicy matczynej się trzyma. Stary — jak męża one zowią — jeśli zawczas robotę kończy, też się przywlecze, przy swoich na trawie legnie, mięśniom i kościom utrudzonym folgę dając; dom nie nagli — niech tam córka podlotek, do gospodarstwa się zaprawiająca, lub babka stara wieczerzę tymczasem upitraszą.

Najwięcej po placu rozsiądzie się mamek, piastunek a służących, dziewcząt dość zaniedbanie ubranych, ubogo, jak i dziatwa z niemi będąca, wyglądających. Które z nich bez kawalirów, to razem, kupkami posiadają, a które ze sobą kawalirów przywiodły lub tu ich sobie na poczekaniu — bo to prędko idzie —

zjednały, te z osobna, parkami po brzegach błonia usiądą.

Już i kółek różnych tworzy się wiele. Oto murarze, gdzieś niedaleko zatrudnieni, prosto od roboty, w wyżartej wapnem odzieży, porzucali się na trawę, wpierw buty swe obielone, stwardniałe, spękane, gniotące pozzuwawszy. Na suchym, poznać, są ludziska te wikcie; flasza obeszła koleją, chlebem się połamali, do chleba kadryl czarny lub okrawków mając garść w papierku — jeśli nie post. Parę kobiet z nimi — nie robotnice to, coby wespół przy mularce robiły, i nie na ślubne życia towarzyszki wyglądają, ot — przyjaciółki łatwe do pozyskania, czepiające się ich zarobku i skore do udziału we flaszy. Szczęki pracują, usta mlaskają, czasem śmiech się ozwie krótki, gardłowy, urwany.

Gdy głód trochę przymilkł, baraszkować poczynają; kobietom dostają się pieszczoty — silna dłoń sięgnie do karku, chustką osłoniętego, palcami twardymi uchwyci, ściśnie.

— Puszczaj — taki synu...

Jeszcze nie wyrzekła, a już głowę ma do murawy przytłoczoną. Jeden dusi, drugi po plecach, czy gdzieindziej dłonią palnie, aż się odgłos palnięcia tego rozejdzie.

Śmiech, krzyk, gniew udany.

— Ah, ty podły, nauczę ja ciebie...

Podnosi się. Głowa jak strzecha wiatrem potargana. Odzież kupy się nie trzyma, rozpiął się stanik — raczej stanika resztka, nędzna, spłowiała, poprzecierana, dziurami świecąca; koszula brudna wygląda.

— Ej, elegantko — ogarnij się trocha modniej, bo wstyd mamy bez ciebie.

— To se weź ładniejszą, co ogonem ulicę zamiata; ja nie taka zazdrosna — niech i inna popróbuje wielgiego szczęścia przy tobie. Niech se zaśpiewa: Pójdę za mularza — nie będę robiła...

Umordowanie i ociężałość wieczorna górę nad mężczyznami bierze, porozciągali się jak kloce. Kobiety im papierosy zwijają.

W innem znów kółku ludzi widać wcale nie pomęczonych; gromadka to liczna mężczyzn i kobiet młodych; twarze złe, zuchwałe, miny zaczepne. Co jedna tam flasza skończona, to po drugą na róg niedaleki która z niewiast bieży. Głosy swarliwe, zajadłością brzmiące, kłótnia to zrywa się, to przycicha jak na rozkaz. Siedzą w niejakiem od innych oddaleniu, bo nikt blizko ani przysiąść, ani nawet podejść nie ma chęci.

— Powadzą się ze sobą a będziesz koło nich się plątał, za nic nożem oberwiesz — przestrzegano się wzajemnie w innych gromadkach.

Duże błonie, dużo ludzi. Robotnicy z fabryk powracający, czeladź piekarska, umączeni, we fartuchach i w pantoflach na gołych stopach, zbijają się w kupki, rozsiadają, gwarzą. Malcy ze Starego i Nowego Miasta, puszczając latawce, chmarami, niby ptactwo, z miejsca na miejsce przelatują. Na uboczu, pod parkanem, zgromadzenie liczne wyrostków i młodziaków; poukładali się w szczelnie zwarte koło, że prawie nie dojrzysz kart miotanych na malutkim krążku łąki, wieńcem głów i błyszczących oczu okolonym.

Są i w pojedynkę wylegający się. Gdzieniegdzie, w kłębek na murawie zwinięty spoczywa ktoś zszarzany, w odzieży barwą ziemię przypominającej, lub w strzępach tylko odzieży ledwie ciało brunatne przykrywających; nie pytaj, gdzie dom jego. Nigdzie. Żebrak, włóczęga, pijak kradnący tyle tylko, iżby na upicie się starczyło i o nic zresztą we świecie nie dbający; kobieta, której nikt już nie chce, skora do ofiarowania siebie je-

dynie za miarkę wódki — tu w dzień znajdują wyleżenie spokojne. Śpią. Gdy który obnaży się, gdy z pod łachmanów pierś mu wyjrzy czarna, niby uwędzona w kurzu i na skwarze, znajdzie się ktoś, co śpiącego kopnie i upomni:

— Schowaj cielsko.

Zresztą nikt na nich uwagi nie zwraca. Bo wiadomo – gdzież pójdą? Nocą i stąd umykać muszą, gdy patrol krąży. Oni dążą wtedy dalej, za miasto, lub po mieście za żerem niepewnym się rozpraszają.

Litościwe — rzec można — jest błonie to zamiejskie. Bierze tyle ludzi na pierś swoją, nie żałując im murawy wiośnianej, bierze ich pod blaski, pod światła potoki, pod promienność cichą, różową zachodzącego słońca, a biorąc onych nie pyta się: «Ktoś ty, co u mnie spocząć chcesz?» I powiew od rzeki lecący, świeży, miękki, ciepławy a nie skwarny, onych się też nie pyta: »Ktoś ty, co chcesz, bym pierś twoją tchnieniem zdrowem orzeźwił?» I cudne, głębokie, czyste niebiosa nie pytają: «Ktoś ty, co chcesz, by w źrenicę twą zapadło piękności naszej odbicie?»

Ale gdyby człowiek był w przeźroczem niebios rozpięciu, w wiewie wiośnianej świe-

żości, w zieloności błonia... oh, on pytałby się: «Ktoś jest, co chcesz bym cię kochał? Tylko piękno miłuję, tylko cnotę miłuję».

Dobrze — iż w rozpięciu niebios, w oddechu pieszczotliwym wiosny, w szmaragdowem łąk okryciu — niema człowieka!...

X.

Południe niedzielne schodzi.

Strawa obiednia z mis i talerzy żwawo uprzątnięta; niejedno z dzieciaczysków językiem nawet po talerzu i łyżce zawinęło.

— Nu-że, głodomorki — woła Leonowa na troje swoich starszych: chłopaka ośmiolatka i dziewuszki dwie, bliźniaczki w szóstym roku — będzieta miały zadosyć, czy jeszcze nie. Obaczę-ż ja choć raz jeden kiedy, żebyście wy misę odstawiły bez przyniewolenia a nieoblizaną.

Nie może ta kobieta wyrozumieć, gdzie jadło się w nich podziewa.

Miło, nadzwyczajnie to miło matce — każdej chyba w świecie — gdy dzieci z apetytem jedzą; taka pewnie się nie najdzie,

którayby swoje do syta nakarmić nie chciała. Byle było co kłaść w te dzióbki żarłoczne — to któżby im żałował. Ale właśnie, skoro się niczego nie żałuje, własnej nieraz odejmując gębie, to chciałoby się, żeby dzieci były tłuste i miały okrągłe, świecące buziaki.

A te, jak na złość — suche szczapy i tyle. Przynajmniej raz w tygodniu czyni Leonowa skrupulatne dochodzenie, czy nie przybyło im choć trochę sadełka. I teraz, ledwie jej Stefek zerwał się od stołu, już go pochwyciła, ustawiła przed sobą i dalej go obracać w wszystkie strony, obmacując mu boki, ręce i piersi.

— Tłściejesz? Nic, jak Bozię kocham — skóra i gnaty.

— Co mama wiecznie od nas chce — krzyczy chłopiec okręcany jak rekrut na mustrze — czy mama myśli nas pozarzynać na drugą Wielkanoc! Świeża pretensya — żeby mamine dzieci były jak wieprzki.

— No, no, nie pyskuj za wiele. Powiedzcie raz lepiej, gdzie jadło w was przepada. Toć każde tyle bez dzień zje, co chłop przy robocie, albo i więcej.

— A mamie krzywda. Mamie żal tego,

co zjima. Mama by chciała powietrzem nas żywić. Dobra mama!

— Strasznie ś hardy, ruszaj sobie — mówi matka, kurteczki jego z rąk jednak nie popuszcza. A chłopak już na szyi jej uwisł.

— Bo to, widzi mama — jak człowiek poleci nad Wisłę i przyleci nazad, a potem na Starówkę i znów nazad, a jeszcze potem na plac — to i wytrzęsie się wszystko. Naprawdę. Chłopaki nie dadzą spokojności, gonią, latawca chcą odebrać — ja nie dam, bronię się — a niech człowiek długo się broni, to jeść mu się zachce — i jak. A jeszcze zrobimy potem parę razy z górki na pazurki— mama wie z której górki? — więc zaraz jeszcze gorszy głód. Już mamie wytłumaczyłem wszystko.

Ogromnie się podchlebia, głaszcze matkę, do ucha jej coś szepcze.

— Nie dam. Oho, co na łakotki, to ani grosza, ani złamanego — broni się matka, ale kurteczki wciąż jeszcze nie popuszcza i malcowi wymknąć się nie daje.

— Nie to nie. Bez łaski. To proszę mnie puścić — dobra taka mama — inne chłopaki nakupią pestek, a ja co?

— Jeszcze czego. Zresztą pójdziemy

wszyscy na plac — sama wam kupię. — Puszcza chlopca, bo teraz dziewuchy do niej się garną, trzeba i je poskubać, czy tłuściejsze. Nic a nic.

Swoją drogą jej dzieci źle nie wyglądają. Suche — ale mają buziaki wesołe, oczy iskrzące, policzki choć pociągłe, ale jędrne, że uszczypnąć trudno, cerę zdrową. Tylko ta upragniona przez matkę tkanka tłuszczowa pod skórą jakoś nie porasta.

— Jakie tam są — zawżdy moje udatniejsze — myśli praczka, spozierając ku pucułowatym dzieciom tragarza, które matka w tej chwili właśnie poszturchiwać musi, żeby krupniku na miseczkach nie ostawiały.

Bo z tamtemi znów inna sprawa. Do talerza je wołaj, przysadź, łyżkę do ręki daj. Przy jadle jakby im się spać zachciewało — szturchnie to łyżką, nabierze niewiele i skubie dopiero — jeśli kasza, po ziarenku — jeśli kartofle, po kruszynie — jeśli zupa, po kropelce sączy do ust. Stój nad niemi i wołaj. A chętnie, bez przymusu, to tylko chleb ćpają i słodkie rzeczy.

Matka im całe torby znosi okruchów, lub ciastka czerstwe, które przekupki staro-

miejskie po cukierniach skupują i rano na targ wynoszą.

Czworo tych dzieci, podobniuteńkich do siebie: twarzyczki jakby nalane, jakby odęte, blade, policzki miękkie, ciałko bez jędrności żadnej; oczy senne, ruchy powolne; nawet mowę mają utrudnioną, bąkającą.

Krupniku nie wyjadły.

— Oj garde wy, garde nad miarę — wzdycha ich matka, Wincentego tragarza żona, zlewając z miseczek do garnka resztki niespożytej zupy. Ale gardość dzieci w istocie przykrości jej nie sprawia, widzi w niej rys zbliżający je do dziatwy pańskiej.

— Byle czego nie chcą jeść — tak siebie pociesza — nie takie głodomorki wieczne, jak tamte.

Ze szafeczki torbę, dość jeszcze pękatą, wyciągnęła i dzieciom ją cisnęła. One zebrały się w kupkę; dziewuszka najstarsza młodszym na dłonie nadstawione sypie garsteczki słodkich okruszyn. Buzie już w pogotowiu, rozdziawione, zupełnie jak u rybek, które pyszczki swe szeroko a okrągło ku połknięciu zdobyczy pootwierały.

Przez okna w głębokich, ciasnych niszach umieszczone, rozwarte, wiatr od rzeki lecący

z uzbieraną po małych ogródkach na Rybakach wonią bzów kwitnących, wpycha do izby, jakby przemocą, powietrze świeże, łagodne, miłe, wywołujące na dwór. Poruszają te powiewy listkami fuksyi, gieranii i pelargonii — i wydymają, na podobieństwo żagli, małe u okien, ubożuchne firanki.

— Na plac, na plac — poczynają wołać dziewczęta Leonowej. — Stefka już niema; poleciał przed innemi.

— Mamusiu, niech mama się zwija; my pomożem.

Podają matce naczynia, statki; pomagają zmywać, wycierać i ustawiać w szafce.

Uprzątnięto po obiadowaniu. Ojcowie wdziewają surduty lub marynarki, bo byli po domowemu w kamizelkach. Kobiety uspokajają swe najmłodsze pociechy, z kołysek, z uśpienia poruszone i do płaczu się krzywiące. Pobrały je na ręce, chustkami się okręcają, w czem starsze, za róg chustki trzymając, są im pomocne.

Zagląda, odchodząc, Joanna do drugiej izby.

— Joanna nie idzie?

— A cobym tu robiła? Idę — idę, a jakże, bo to nie rad człek odetchnąć na dworze!

Zerwała się ze swego zydelka, ale po chustkę nie sięga. Jakaś ją zatrzymała w miejscu niepewność, czy oczekiwanie. Pogląda ku drzwiom, kaftan na sobie poprawia; zdaje się, że chciałaby jeszcze na czasie coś zyskać. Zapewne on nadejdzie dzisiaj — jej Piotruś osamotniony i żebrzący bezskutecznie już od miesiąca o jej powrót.

Praczka nie nalega; przypomina tylko, gdzie klucz ma być położony, gdy wszyscy mieszkanie opuszczą.

Poszli. Joanna znów przysiadła na zydelku, łokieć wsparłszy na kolanie, a głowę na dłoni, cicha jak zawsze, jakby jej nie było. Że jednak i tamtych reszta — co w izbie pozostali — milczą, więc aby coś rzec — pyta:

— Panna Agnieszka nigdzie się nie wybiera? Czy to młodym w mieszkaniu się wędzić.

Dziewczyna spoziera ku matce, którą senność na łóżko pociągnęła.

— Niech tam mama trochę się przedrzemie. Taka jakaściś niesilna, może wyspania jej dłuższego potrzeba. Obudzi się, to pójdziemy.

Popatrzyła na Dominika.

— Pójdziemy?

— Żeby już rychlej.

Ona życzliwie się do niego uśmiecha.

— Nasiedzimy się jeszcze na placu, do wieczora.

Drzwi w pierwszej izbie zaskrzypiały, stanął w nich człeczyna mizerny, licho odziany, w wypłowiałym paltociku letnim.

Joanna, nie ruszając się z miejsca, nie zmieniając nawet położenia wspartej na dłoni głowy, może go widzieć. I przygląda się uważnie, jak on stąpa nieśmiałym, skradającym się krokiem, jak zatrzymuje się u progu ich izby, jak kłania się siedzącym przy stoliku Agnieszce i Dominikowi wprzód, potem jej. Dlaczego ma podniesiony kołnierz od palta?

— Albo sprzedał koszulę, albo ma czarną, jak święta ziemia, i wstydzi się — pomyślała. — Boże, Boże — jak on dziś wygląda.

Nędznie w istocie wyglądał. Jego smutna mina, wystraszone oczy, wychudłe policzki, szara jakaś, zielonkawa cera — wszystko to wymownie świadczyło, że mu źle jest bez niej, że bieda mu dokucza teraz, gdy nikt o nim nie pamięta, że się zaniedbał, opuścił.

Nie przemówili do siebie ani słowa. Piotr

usiadł na brzegu jej kuferka, ręce poczernione od roboty, nie dające się odmyć wcisnął między swe kolana: zgarbił się. Po długiej dopiero chwili ona półgłosem odezwała się:

— Jadłeś co?

On zcicha również, ale spiesznie, jakoś, skwapliwie, rad, że przemówiła, odparł:

— A jakże, jadłem — jadłem.

— A coś jadł?

— Co — albo to Joanna nie wie, co się jada.

— No, nie kręć — nie kręć — tylko powiadaj.

— Herbaty ze sklepiku przyniosłem, chleba kupiłem i wędzonki — a jakże. Bardzo się dobrze pożywiłem.

Zerknął ku Agnieszce i Dominikowi, ale ci nie tylko, że na nich wcale nie zważali — jeszcze, umyślnie może poodwracali się do okna, ze sobą o czemś gwarząc. Wtedy znienacka, szybko zbliżył Piotruś głowę swą do twarzy Joanny, chuchnął jej w nos i równie szybko znów się odchylił, spoglądając na kobietę z uśmiechem, pełnym komicznego zadowolenia i tryumfu. Wódki nie pił, co?

Ona dość obojętnie machnęła ręką. Zna

to wszystko, aż za dobrze. Zawsze tak jest, iż gdy ona odejdzie, opuści go, następuje dla niego wtedy okres dobrowolnego umartwienia, powstrzymywania się od picia. Biedaka kosztuje to wiele, traci apetyt, humor — schnie, staje się trwożliwym, milczącym, jak każdy pijak w pierwszych miesiącach walki z nałogiem. Cierpienia te jednak nie przynoszą mu korzyści, nie prowadzą do wyleczenia się zupełnego; gdy nareszcie wzruszy Joannę, przebłaga ją, natychmiast upija się z radości — i tak wiecznie w kółko. Do przebłagania zaś jej dochodzi zawsze jedną i tą samą drogą, ukazując Joannie wynędznienie swoje, zaniedbanie się, ślady przymierania głodem i wyschnięcie na suchem jadle.

Co ona ma robić? Zdejmuje ją gryząca, dokuczliwa wątpliwość, jaką obrać drogę. Zostawić go samemu sobie? Zmarnieje. Wrócić? Zmarnieje. Za trudne to dla jej głowy; odpycha myśli, zdaje się na wolę fali, unoszącej ich oboje; czeka tej chwili nieuniknionej, gdy litość nad nim i tkliwość wzbierze w niej tak silnie, iż nie pozostanie jej nic innego, tylko ręką machnąwszy — powrócić.

XI.

Gdy Maryanna się ocknęła, wszystko troje, zostawiwszy Piotra i Joannę samych, poszli za innymi na plac, o tej porze ludźmi już przepełniony.

Oni usiedli nad zboczem stromo przy wybrzeżu Wisły uciętego wzgórka.

Tu dla oczów najprzestronniej. Rzeki szmat między dwoma mostami widać, a za rzeką i zieleni oko nie ułaknie, bo nią brzeg zasłany — i nasyp kolei okryty — i park praski obrzucony gęsto.

Lubiła Agnieszka ten wybrzeża kawał, co — gdy tak siedzieli — słał się im pod nogami od Rybaków do przyczółka mostu kolejowego. Lubiła nie wiedzieć za co, bo uroczego nie było tu nic, a może właśnie za ubóstwo i szarość tych stron, za smętność od pustkowia wiejącą.

U wylotu Rybaków nad wodą stłoczyło się kilka małych drewnianych domostw i baraków z okienkami o czterech drobnych szybkach — istne klitki, uczepione brzegu — mieszkania służby rzecznej i rybaków. W pobliżu tych klitek łodzie, dnem do góry, to

z osobna rzucone, to jedne na drugich w sterty nawalone; pełno sieci, rozpostartych na żerdziach w ziemię wbitych, a dalej, do samego mostu wybrzeże nagie, gliną czerwieniejące, lub miałkim z niej pyłem szarym osypane. Gdzieniegdzie tylko żwiru po Wiśle zwiezionego kupy, lub kamienia brukowca, na szaber roztłukiwanego. Tuż zaś przy wodzie gruz ze śmieciem pomieszany, z miasta nawieziony, czerwonawym zalega paskiem. Tylko głębiej, pod wzgórzem samem, pod zboczem jego, wodą deszczową w brózdy rozpłukanym, trawa ubogo porasta, wyleżenie ludziom dając.

Rzeka i wybrzeże nastręczały zawsze oczom Agnieszki coś, za czem długo śledzić mogła, co ją zajmowało; dostarczały jej wrażeń niezłożonych, najprostszych, powtarzających się, które nigdy nie przestawały sprawiać jej przyjemności, świadczącej, że po te lata niewiele z naiwnej wrażliwości dzieciństwa utraciła. Od niejakiego zaś czasu -- odkąd Dominik począł jej towarzyszyć — te rzeczy dobrze znane, tyle razy widziane, rzeka i wszystko, co na niej i na wybrzeżu się działo, oblekło świeżość jeszcze żywszą, stało się nowem, ciekawszem, milszem jeszcze wiele

więcej, niż wprzód. Godzinami by patrzyć mogła, nie nudząc się.

Największą uciechę tych chwil świątecznych stanowiło dla niej, gdy mogła, trącając ramię Dominika, wskazywać mu to, lub tamto, rzecz czy zjawisko, zachodzące na rzece, i że czuła przytem, wiedziała, iż on z równą ciekawością popatrzy na to, co ją zajmuje, i sam znów coś jej wskaże, podpowie.

Oto berlinka z złożonym masztem, pozbywszy się ładunku, drzemie u brzegu. Nikogo na niej nie widać, ludzie jednak muszą być, bo z nad daszku kajuty ciągnie się sinawe pasemko dymu. Agnieszka i jej towarzysz podpatrują pilnie, jakby Bóg wie ile im na tem zależało, kto i kiedy na berlince poda pierwszy znak życia.

Pies!

To ich bardzo zabawia.

— Główny gospodarz!

Czarny kundelek z podgardlem białem, z ogonem kościastym, w półkole na grzbiet zachodzące skręconem, otworzywszy sobie sam drzwiczki niedomknięte, wylazł z izdebki, zaszczekał i przeciągnąwszy się na daszek wskoczył, przysiadł, na wodę się zapatrzył. Potem kobieta wyszła z szaflikiem i chlusnęła

zeń pomyje do wody. Zostawiła za sobą drzwiczki uchylone -- widać tuż przy nich, głowami do wyjścia usłane łóżko ze stertą pod sam wierzch kajutki sięgających poduszek bardzo białych, pewnie świeżo obleczonych.

Przyglądają się tej kobiecie, odzianej w czerwony stanik i kieckę perkalową w różowe kwiatki, przyglądają się potem Niemcowi, jak podszedł do swej baby i coś do niej przemawia, ręką wymachując.

Od strony Rybaków, z szumem i łoskotem przytłumionym płynący wysuwa się statek biały, niby tylko co pomalowany, wdzięczący się w słońcu świeżością swoją, i z wdziękiem zakreśla ku mostowi łuk, ubijając kołem pianę i ciągnąc za sobą po wodzie niby ogon sfałdowany, rozlatujący się coraz szerszemi falami, które słabo o brzeg trącają; łuk zakreślił, zmalał i między przęsłami mostu skrył się niespiesznie.

W najdalszej głębi widoku, gdzie nasyp kolejowy zrazu odsłania wązkie pasemko białych wydm piaszczystych, a okrążywszy je, zasuwa się pod sinawość dalekiego widnokręgu, ukazał się szary obłoczek. Znów mają za czem śledzić. Obłoczek wydłuża się i wy-

rasta, wprędce ruch jego staje się widocznym i pełzającą za obłoczkiem, posłuszną mu liszkę już widać. Pęcznieje ona i dłuższą coraz się staje, wciąż jeszcze sinawością oddalenia obrzucona.

Nie spuszczają z niej oka ci tu na wzgórku, póki w pociąg huczący, po moście żelaznym do miasta lecący — nie przeobrazi się ta liszka. — Potem znów po rzece błądzą ich spojrzenia. — Łodzi w tej stronie, przy święcie, gdy niema piasek dobywających ludzi — mało przepływa. Jedną, dwie — dostrzegą — w dół rzeki mknące. Czasem zupełny spokój cichością tchnie na rzekę, niema statków, niema łodzi, niema innego ruchu nad przelewanie się wód w ich wielkim korycie.

Takie chwile Agnieszka jeszcze bardziej lubi.

Ona by chciała widzieć rzekę w jej samotności największej i takiej ciszy, żeby niczyj głos dokoła nigdzie się nie odzywał. Żeby rzeka sama gadała.

— Od rzeki, gdyby gadać chciała, dużoby się dowiedzieć można, prawda, panie Dominiku?

Czy w obecności ludzi, czy choć sami są, Agnieszka mówi jemu: panie. On zaś —

jeśli nie przy obcych — przemawia: Agnieszko. Tak to jakoś przyszło samo z milczącem jej przyzwoleniem. Ale *ty* nie mówi nigdy, mówił by może, jeśliby choć raz ją pocałował.

Siedząc na ziemi, obok dziewczyny, nieco niżej od niej, przygląda się Dominik z boku oczom Agnieszki wielkim i rozwartym szeroko a pełnym blasków tak miłych, że wprost pociągają człowieka. Pociągają mocą swoją, ale i zatrzymać się każą wtedy właśnie, kiedy usta wasze chciałyby do oczów tych przylgnąć, kiedy ręce rwą się, ciągną chciwe, łaknące, by całą ją przygarnąć.

— Pewnie, że miałaby o czem gadać rzeka — odparł niespiesznie.

— Prawda? Naopowiadała by różności.

— O topielcach chyba najwięcej.

— Może najwięcej o tem, co po brzegach swoich widzi — jakie miasta — jakie wsie — jakich ludzi.

Milczą.

— Kochana moja, miła rzeka — szepce Agnieszka.

— Czy za to kochana — podejmuje on po chwili — że Agnieszkę zabrać chciała,

zatopić — kiedyś tam, jak to Agnieszka mówiła?

— Tego jej nie pamiętam. Mała byłam, głupia — tom się i zestraszyła.

— A teraz Agnieszka Wisły się wcale nie boi?

— Teraz sobie rozważam, czyby to ona chciała umyślnie krzywdę komu czynić. Myślę, że jest taki mus, co na nią nalatuje i przyniewala do złego. Choćby nie chciała, musi tak robić...

On pokręcił głową.

— Prędzej psem na łańcuchu jest ona. Spuść go a poszczuj — wszystko, co jeno napotka, rozerwie na kawały.

Agnieszka chciałaby zaprzeczyć, ale nie bardzo potrafi ubrać w słowa myśli swoje. Czy złość jest gdzie sama z siebie? Czy grzech jest gdzie sam z siebie? Czy złość a grzech nie jest to jak brud, do ciała przylegający, lub jak zgłodniałość w wnętrznościach ludzkich; chciałby-że kto z dobrej woli w brudnym przyodziewku chodzić, albo głodem przymierać?

— Pies na łańcuchu! powiedział pan Dominik — zaczęła znowu — to więc i w człowieku byłoby takie zwierzę, które — by je

tylko spuścić z uwięzi — zaraz krzywdzić, szarpać innych, zło czynić by jęło? Nie, to nie może być.

Nie może być. Ona nie czuje w sobie obecności zwierzęcia takiego. Uśmiecha się nawet z powodu tej myśli, kładzie rękę na ramieniu Dominika, nachyla się ku niemu, w oczy mu zagląda.

— Nie może to być! — prawda?

A on czy nie słyszał słów, które wymówiła, same tylko blaski uśmiechnięte z jej oczu pochwytując łakomie, dość, że rękę jej znienacka ujął i w swoich zgniótł prawie. Strumień gorącości trysnął ku niej z połyskujących źrenic jego; wypadły z nich strzały, które twarz jej, oczy, usta przeszyły ukłóciem piekącem.

Ale stało się z tą płomiennością od niego lecącą, iż ledwie dosięgła dziewczyny tej — już lodem była i jako mróz do piersi jej weszła, jako przelęknienie, które twarz zaróżowioną wybieliło nagle.

— Co to jest — boli — puścić... szepnęła, targnąwszy sobą mocno i rękę, zbielałą od uścisku, wyrywając.

Odsunęła się i zamilkła naraz zupełnie. Postać jej zgarbiła się, wzrok do ziemi opadł.

Nigdy jeszcze z oczów ludzkich nic takiego ku niej nie wyjrzało.

— A on już nie mógł tych błysków w swoich źrenicach przygasić i ze wzrokiem słał je do niej coraz jeszcze śmielej, niecierpliwiej. Przysunął się, począł mówić prosząco.

Agnieszka i za taką rzecz się gniewa? Za uścisk ręki. I tego nie wolno. Cóż to złego — uścisk lub nawet pocałunek? Chyba, że odrazę czuje do niego. — Ale nie mógł dobyć z niej ani słowa; tyle tylko, że nie odsuwała się.

Wtedy i on umilkł, uspokajając swe wzburzenie nagłe, nad którem zrazu panowania nie miał. Odwrócił się od rzeki, która ich poróżniła, przeniósł oczy na błonie, rozściełające się za niemi, pełne ludzi. Dotychczas wcale w tę stronę nie patrzyli, zajęci tylko wodą i wybrzeżem.

Darowała mu, nieprawdaż? — przemówił już zupełnie innym, zwyczajnym głosem — skoro to jej sprawia przykrość, nie dotknie więcej nawet jej ręki. A teraz dadzą pokój rzece — niech Agnieszka obróci się, popatrzy na ludzi, którzy bawią się, śmieją się,

weseli, kontenci z święta, z ciepła majowego.

Agnieszce rozjaśniła się twarz. Co to było? Przykre, przejmujące zimnem uczucie minęło już; pierś uwolniła się z uścisku trwogi.

Na placu rzeczywiście wesoło, gwarno. Ludzie inaczej, huczniej od nich się bawią; może i nie znalazł by drugiej pary tak cichej i skromnej, wszędzie śmiech głośny, rubaszny, mieszający się z nutą niewyszukanego śpiewania, z ostrymi dźwiękami harmonijek. Cały ten szmat przetartej miejscami, a miejscami świeżej jeszcze zieleni, aż po Muranów, dziś niby obsypany masą płatków kolorowych — to świąteczne, jaskrawe spódnice dziewcząt, mamek, nianiek, ich bluzki różowe, ponsowe, liliowe — fartuszki białe — cała ich kokieterya niedzielna, rozpromieniająca to zamiejskie pustkowie.

Pomiędzy siedzącymi na trawie krążą po całym placu przekupki z koszykami, wypełnionymi resztką pozostałych z zimy, drobnych, marnych jabłuszek, piernikami, karmelkami, pestkami. Od gromadki do gromadki przebiegają kobiety te, podglądając gdzie parki

młodsze, podsłuchując skąd śmiech hucz-niejszy.

Tuż za Agnieszką i Dominikiem siedzi parka: dziewczyna tęga, o szerokiej, pełnej, bardzo białej twarzy, piastująca na ręku dwu-letnie dziecko — i młodzian bezwąsy, zucho-watym, roześmianym wzrokiem spoglądający. Szczypie ją, ręką okala w pasie, przegina. Gdy na głos śmiechem parsknęła piastunka, już-ci mają nad karkiem kobietę z koszykiem. Jak z ziemi wyrosła.

— A kupże, panie kawalir, jabłuszek dla najukochańszej. Nie bądź skąpy. Skąpstwo grzech paskudny.

Idą zwiędłe, wyschłe jabłuszka na schru-panie, pod białe zęby, z ust roześmianych wyglądające.

— Na zdrowie, na zdrowie, panience — mówi baba, zgarniając miedziaki. — Kto nie kupi, ale narzeczony narzeczonej zawsze kupi.

— Czy prawdę powiedziała? półgłosem pyta dziewczyna towarzysza.

— Czemużby nie. Ja na to — jak na lato.

— Na co niby, — na złe? Do tego zawszeście gotowi, a przed ołtarz i para wo-łów was nie zawlecze; wszystkie chłopy takie...

Jeszcze miesiąc temu Agnieszka, patrząc na takie zalecanki, sama by się roześmiała niefrasobliwie. Teraz — gdzie ta niefrasobliwość pierzchła tak odrazu?

To coś, oblewające ponsowością twarze, rozbłyskujące w oczach, zmieniające brzmienie głosu i śmiechu, istniało dotychczas na zewnątrz, zdaleka, nie dotykając jej. Teraz, blizko podszedłszy, zajrzało prosto jej w oczy. Z jednego uścisku ręki wysączyło się, urosło z pobłysków oka i podskoczyło do niej już wielkie, śmiałe, harde, z wołaniem:

I ty nie ujdziesz.

— Ujdę — a ujdę właśnie... — omal że na głos nie zawołała z przekorą.

I gdy o zmierzchu, powracali do domu, nierozmowni, zrzadka tylko rzucając sobie słowo jakieś, Agnieszka przytulona do ramienia matki, usta ząbkami przyciąwszy, powtarzała w myśli te same słowa.

XII.

Z wieczora myśli, na błoniu owym rozbudzone a lęk w niej jakiś niecące, odbiegły ją.

Przed zaśnięciem, po kilkakroć, z czułością ogromną, niespodzianie wezbraną, ucałowała zwiędłe policzki i poorane czoło matki, przytuliła się do niej tak mocno, tak pieszczotliwie, jak za czasów dzieciństwa i zasnęła spokojnie.

Późno w nocy przebudziła się nagle, jakby od dotknięcia czyjegoś lub na czyjeś wołanie. Uniosła się i siadła na posłaniu, nasłuchując. Tylko oddechy śpiących trącały o ciszę nocną.

Poddasze pełne było duszności wielkiej, gorącej od natłoczenia ludzi, gdy na dworze pachniała świeżość, ochłodzona tchnieniem niedalekiej rzeki. Usiłujące się wedrzeć przez małe okienko powiewy rzeźwiące, nieznacznie poruszały firanką i ginęły zduszone, zbyt słabe, by dalej przeniknąć mogły.

Lampka przyćmiona wydawała swąd gryzący a światła tyle jeno, iż od niego pomroka nabrała gęstości, zawisła w powietrzu, jakby muślinem przejrzystym, lecz ciemnym, poosłaniano kąty.

Trzy dziewczynki, maleństwa, na jednem pościeleniu, rozesłanem pośrodku izby, śpiące i w śnie rozmiotane, zgrzane poodsłaniały się, zepchnąwszy nożynami swą nędzną koł-

derkę. Ich ciałka spocone czerwieniały ciemnemi w pomroce plamami.

Duszność uściskiem silnym dławiła gardło Agnieszki.

Zesunęła dziewczyna nogi z łóżka i siadła na krawędzi, chciwie nastawiając otwarte usta ku oknu. Słaby wiaterek z dworu zesłał jej litościwie odrobinę świeżości i chłodu, od którego piersi jej orzeźwiały.

Wzrok Agnieszki padł na śpiące, poobnażane dzieci; schyliwszy się, koszulki, w miotaniu sennem pozesuwane, obciągnęła, nóżki kołderką osłoniła.

Sen ją teraz pociągnął znów ku sobie, lecz gorącość pościeli z łóżka wypychała. Nie chciało jej się odjąć nóg od podłogi, chłodzącej stopy. Ociężałość objęła ją wielka.

Zwolna stopniowo — w nowym, niespodzianym i niezrozumiałym przypływie — podstępować znów poczęły do niej tchnienia palące, duszne. Tylko, że teraz szło to nie z zewnątrz, lecz z głębi jej własnej istoty; podniosło się od obnażonych nóg Agnieszki, na które padło ociężałe jej spojrzenie; potem fala ta rozlała się ciepłem po wnętrzu, w piersiach stała się gorącą, do głowy podeszła

w żar obrócona, a twarz musnęła płomieniem.

To było tak dziwne, że Agnieszka zakrzyknąć chciała, podobnie, jak tam, na placu:

— Boli — puścić...

Teraz jednak było to coś silniejszego, niż ręki ludzkiej uściśnienie — coś, zmieszanego z wszystką krwią, owładającego całem ciałem, które odrazu stało się niemocnem. Ani krzyczeć, ani bronić się — tylko oczy zamknąwszy, lecieć w otchłań skwarną, bezwładnie. W ciągu jednej, krótkiej chwili czuła się w mocy nieznanego, w mocy niepodobnej do przełamania.

A gdy ta chwila przeszła — gdy gorąca odpłynęła fala — srom, srom ogromny podstąpił w to miejsce. Drżąca, zalękniona — uczuła zawstydzenie od widoku nagości stóp, gołych rąk, od falowań piersi. Schowała się pod kołdrę, okryta z głową.

Zrozumiała.

To, co lice ludzkie ponsowością oblewa, co brzmienie głosu odmienia, co rękom do uścisków rwać się każe — nie było już nazewnątrz niej, nie zaglądało do oczów. Było w niej samej, weszło w nią.

— Nie ujdziesz mi teraz.

— Otóż ujdę, ujdę — szeptała.

Ale to był szept lękliwy, niby z ust dziecka, które się odgraża na silniejszych od siebie.

XIII.

Rychlej, niż sobie obiecywał nawet — bo już po miesiącu — Dominik robotę w fabryce odzyskał.

Spotkania wieczorne z Agnieszką i przechadzki w tygodniu ustały: prawie, że i pomówić nie było kiedy; za to niedziela tem była milsza, tem bardziej wyglądana. A gdy nadchodziła w rozpromienieniu pogodnem, z iskrzeniem się blasków letnich, oddychająca upałem, który siedzenie w domu, na poddaszu rozprażonem i dusznem, uprzykrzał, Dominik od rana dziewczynie spokoju nie dając, namawiał, by po chłodzie, nim żar słoneczny przypiecze, za miastem, w stronie Bielan, cieniu poszukać. Iść, jadło ze sobą wziąwszy, pozostać do wieczora, nacieszyć się choć raz latem. Czyż wszystkiego na świecie łaknąć muszą, niczego i nigdy nie użyć.

Maryannę trudno było namówić. Radaby,

sił tylko brakło. Po całotygodniowej robocie doznawała rozbicia a umęczenia takiego, że łóżko jedynie ją nęciło.

— Co mi się stało — nigdy lezuchem nie byłam.

— A no cóż, wiek, lata te podeszły. I ja się taka sama teraz zrobiłam — wtórzyła jej praczka. Niech roboty aby na chwilę zbędę, niech ręce z balii wyjmę, niech się z dzieciakami i starym obrządzę — tobym już tylko leżała a leżała.

W istocie nie miała nigdy dostatecznego wypoczynku, kładąc się później od wszystkich i zrywając się do balii o świcie.

Maryanna jej pracy już by nie podołała. Niby tak wyraźnie nie chorzała, ale we wnętrzu była słabością jakąś trawiona. Nogi jej mdlały, ręce drętwiały często; znużenie brało ją niekiedy całą, ssąc grzbiet i piersi, garbiąc ramiona, przygważdżając — gdy dzień był wolny — do łóżka.

— Ale ty, córuś, nie masz co z przyczyny mojej w izbie się wędzić — do Agnieszki mówiła, upierającej się niedzieli którejś, by z domu bez matki nie iść. — Ja nie chora, do niczegoś mi tu nie potrzebna.

— Bo i prawda — wtrąciła Leonowa —

matka niech się wyleży a Agnieszka, jeśli obmówiska się boi, w czem ma się rozumieć słuszność przyznać jej należy — i z mężczyzną sama chodzić nie chce — niech dzieciaków moich zabierze. To będzie najlepiej.

Uśmiechała się, mrugając w stronę Dominika, rada, że mu dopomogła.

Przybrawszy więc do towarzystwa dwoje dziewcząt i Stefka, poszli jednej niedzieli taką gromadką. Dzieciaków obecność, ich rozradowanie ogromne, hałaśliwe, roześmiane, świergot ptasi przypominające, ich żywość — skry ogniste z nich czyniąca, ich gonitwy po brzegu Wisły, zlatywanie z górki na pazurki, przekomarzanie się starszym, wytworzyły wesołość czystą, uspokajającą.

Powtórzyło się to następnego święta i znów następnej niedzieli. Utarło się. Czasem dzieci pobiegły wprzód, a Dominik z Agnieszką za niemi zdążali; czasem oni raniej wyszli, uszli kawał i gdzieś nad drogą lub brzegiem czekali, aż »Leoniątka« ich dogonią.

Dominik pilnował się, by słowa nie złamać; dusił w sobie zrywające się, jakby od dotknięcia płonącej żagwi, podmuchy upragnień, niepokoju.

»Obiecała mi siebie — to dosyć. Powinienem być jej za to Bóg wie jak wdzięcznym; powinienem psem koło niej warować a na żadne zachcenia sobie nie pozwalać., Taką dobrą, miłą, śliczną — szanować mi, jak świętą«.

Ale, gdy blizko była, gdy zapachniała mu swem ciałem, ślicznością swoją w oczy wionęła, musiał całą mocą wstrzymywać się, by jej nie uchwycić i nie przyciągnąć. Od tego mocowania smutniał, sechł. Czas mu się dłużył; list za listem pisał do kolegi o prędsze papierów nadesłanie. Upewniając samego siebie z racyi narzeczeństwa, że z czasem posiąść ją musi, tem uspokajał napastujące go wzburzenie; ale znów kiedyindziej owa pewność właśnie jeszcze bardziej go niepokoiła, sprawiała, że zacinać musiał zęby dla powstrzymania tłoczącej się do ust zdradliwej prośby, namowy złej, grzesznej: »Czy za miesiąc — czy dziś... Ja Agnieszkę nie zdradzę; jeszcze wierniejszym będę«.

Lecz to tylko z krwią gorącą zaklęcia takie przelatywały mu przez głowę. Z ust nigdy im wyjść nie da; nigdy nic podobnego on jej nie powie, nie obrazi jej.

Tymczasem — bez słów, bez zaklęć, bez

próśb, bez zaprzysięgań — przyszło to, stało się. Tak dziwnie, niespodzianie, niezrozumiale.

Dla czego! Jedno i drugie broniło się, opierało, nie chciało dopuścić — a jednak rzecz ta przyszła, stała się.

Krótka chwila samotności w oczekiwaniu na dzieciaków, które się w domu zapóźniły; ustroń w pobliżu Wisły; dobrotliwa promienność rozpiętego nad światem bezchmurnego nieba, a nad niemi chłodem i resztką wilgoci porannej nasycony cień przybrzeżnych wierzb i topoli; niepokój drżący listków, trącających się w górze; pieściwość woni traw, z rosy obsychających; skrzenie się na rzece rozsypanych pobłysków; plusk łagodny, miękki zalatującej na piasek nizkiego wybrzeża fali — i jedno niespodziane otarcie się ramion, jedno ócz napotkanie i pomieszanie ze sobą szybkie wytrysłych z nich blasków — jedno umilknięcie dziwne, jakby ktoś znienacka zacisnął gardło.

— Nie ujdziesz mi.

Moc wielka, nieprzełamana, chwytająca w uścisk tak gwałtowny, że ani krzyczeć, ani bronić się — tylko oczy zamknąwszy lecieć w bezdenność zarazem straszną i kuszącą — wionęła na nich, jak ten nagły po-

ryw wiatru, co wzbije kurzawę w słup, zakręci nim i cisnie o ziemię.

Jeden krótki jęk rozkoszy i bólu... Wicher skwarny, podmuch potężny, roznoszący nakazy życia i wołanie wszechprzyrody, rwący jak pajęczynę, zapory uwarunkowań, więzów i przyzwoleń ludzkich, pomknął dalej, już nie dbając o tych dwoje, rzuciwszy im — jak rzuca on każdej parze żywych istot — na pożegnanie w ostatnim wiewie swoim:

— Cieszcie się, radujcie się.

XIV.

Noc pomroką senną, skwarnym zaduchem przesyconą, znów objęła poddasze. W ostatniej izbie Joanna, umordowana gorzkiemi myślami o Piotrze, coraz nędzniej wyglądającym, obszarpanym, brudnym, wychudłym — nie mogła do późna usnąć.

Do oporu dłuższego nie czuje już sił. Dziś mówił jej, że chyba weźmie kartkę do szpitala, bo bóle rozłamują mu ręce, nogi i krzyż. Popatrzyć na niego — istny Piotrowin z grobu wywleczony. Ha, trudno, nie odmieni się ta dola.

— Jutro powiem Leonowej, niech kąt mój odnajmie.

A może — może, teraz będzie on już innym, może to zupełna poprawa, wyrzeczenie się raz na zawsze trucizny, ogłupiającej tę słabą głowę. To marzenie ukrywa się w najskrytszej głębinie jej pomyśleń. Gdyby się ziściło — życie ich, kto wie — natrafiłoby może na inną kolej, podobną do kolei innych po ludzku żyjących, ślubnych stadeł.

Wybita zupełnie ze snu, z boku na bok przewracając się, na twardem pościeleniu, posłyszała tuż obok żałosne westchnienia i wplatające się do nich tłumione odgłosy łkania.

Płakała Agnieszka, próżno — by jej nie dosłyszano — zatykając usta rogiem poduszki.

Była w Joannie przenikliwość istoty cierpiącej, rozliczną i z gorzkich najbardziej gorzką nędzą napojonej. Nie zadając sobie, ani tamtej pytań, odrazu z zupełną jasnością, bez powątpiewań, może po akcencie płaczu, odgadła, co te łzy wyciska.

Wstała, podeszła do Agnieszki i nachyliwszy się szepnęła:

— Żeby matki nie obudzić i niechby inni

nie posłyszeli. Narzuć może cokolwiek na siebie — wyjdziem do sieni.

Strach, okrutny strach przed nieszczęściem jakiemś, tuż w pobliżu czatującem, nękał Agnieszkę — daleko odegnawszy pamięć płomiennej chwili. Teraz on sam jeden nad całą istotą jej panował. Uciec przed nim, przytulić się do kogoś, szukając obrony...

Skwapliwie posłuchała Joanny.

Nie ubierając się, spódnicę tylko wziąwszy, cicho przemknęły się między śpiącymi, minęły przylegający do poddasza stryszek, gdzie chrapanie czyjeś słyszeć się dawało — zapewne ktoś tu sobie z izby przeniósł posłanie; po kilku schodkach zeszedłszy, u skrętu do niższego piętra na stopniach usiadły przed oknem rozwartem.

Na dworze czerń nocy rozrzedzoną już była nasiąkającym w nią od wschodu brzaskiem. Rama okienna obejmowała zatopione w szarości jednostajnej, równej, szczyty dachów kilku i wieży kościelnej nad nimi. Cichością ukojoną, czy też zmartwiałą ze świątu wiało.

I prawie nie mącił jej szept dwu kobiet przytłumiony, urywany, dla nich samych tylko zrozumiały — szept kobiecej żałości, skarg, wyznań na półsłowie zatrzymujących się.

Joanna objęła dziewczynę, głaskała jej włosy, przytulała jej głowę do swojej piersi. Ten poryw współczujący, litościwy, rodził się w niej z poczucia wspólności fali, przewalającej się pod niemi, pochwytującej je obie wraz z setkami innych, unoszącej je dokąd, po co? Przedstawia się Joannie obraz jakiejś rzeki. Płynie po wodzie gałąź równiutko, spokojnie, jakby się ślizgała z fali na falę. A w tem podleci z boku pęd nowy, chwyta ją i niesie, gdzie wir, gdzie zapamiętałość wód, pianą ociekających. Pośród szumu i łoskotu jeno zakręci się gałęź, wpadnie do lejka i albo już się nie pokaże, albo drobne z niej kawałki. Są, które się ustrzegą, ale tych co się nie ustrzegą, na złą dolę wydanych — jak dużo, jak dużo.

Żałość dla Agnieszki rozbudziła w Joannie wspomnienie dawnej krzywdy swojej, gorzkiej, obmierzłej.

— Tyś Agnieszko poniosła to od kochanego człowieka i nie wspomnisz tej chwili z jakimciś obrzydzeniem wstrętliwem, jak gadu zimnego dotknięcie się przypomina. A ja...

I widzi siebie równie młodą, świeżą, jak

Agnieszka, ale więcej zdrowia, siły, wesela wprost z wiejskiej zagrody przywiezionego mającą, rumianą i kraśniejącą, żywą jak skra, a przecież gotową pokłonić się i uszanować starszych, mądrzejszych, »uczonych«.

Pierwsza służba. Przypomina sobie tę panią poważną, surową, z przypruszonymi siwizną włosami. Syn do niej właśnie był podobny — z twarzy — jednako też małomówny, grzeczny a nieprzystępny. I dziś jeszcze z równą siłą odzywa się w niej oburzenie, wstręt na myśl o ohydzie tej chwili gwałtu, dokonanego po obmyśleniu tysiącznych ostrożności, by łajdactwo się nie wydało, dokonanego na zimno. Nie chciał pieszczot — tylko nasycenia. Nie zdobył się na rzucenie choćby z litości jednego serdeczniejszego słowa. Obszedł się z nią jak z rzeczą. Nie ma mocy, któraby wskrzesić mogła to, co w niej zabite zostało w owej chwili i potem, gdy matka z podłością oczu nie mrużącą rzuciła jej:

— Nigdy nie uwierzę — to ty prędzej uwiodłaś jego, łajdaczko! Policyi cię oddam, która takie jak ty spisuje.

Łzy jej płyną jeszcze po latach.

— Tyś szczęśliwsza, szczęśliwsza — szepnęła, tuląc głowę Agnieszki.

XV.

Na listy Dominika odpowiedź nadeszła taka:

«Nic tobie, kolego mój, dopomódz w sprawie wyjęcia świadectwa, iż żona twoja umarła, nie mogę. Nie swoje ona tutaj podała ludziom nazwisko, lecz wcale inne — może ze wstydu. Jak się to udawało — nie wiem, dość że papierów przy niej żadnych nie było, a w szpitalu tak ją zapisano jak sama powiedziała, nazwisko prawdziwe ukrywszy. Teraz jak dowieść, kim była — nie poradzę ci, bo nie wiem, ale sposób pewnie na to najdziesz, może przez urząd napisawszy. Na odjezdnem słowa te ci przesyłam; w insze strony wyjeżdżamy, tutaj nic dobrego nie zaznaliśmy«.

Patrząc na zbielałą zupełnie i jakby w oka mgnieniu zeszczuplałą twarz Agnieszki, na wargi jej, z których krew uciekła, drganiem bezdźwięcznem poruszane, na oczy przed się w bezdenność, nagle rozwartą, zapatrzone — rzekłbyś, że widzi ona dzień po dniu wszystko, co nastąpić ma.

— Sposób się najdzie — z pewnością najdzie — szeptał Dominik.

A w jej głowie huczało z stanowczością nieodwołalną, pewną:

— Nie najdzie się.

XVI.

Starania były robione, ale zawsze czegoś brakło — pieniędzy najczęściej — i sposób się nie znalazł, ani w pierwszym roku, ani w drugim, ani następnych.

Nim macierzyństwo podeszło, była Agnieszka już sierotą. Odjęte miała prawo smucenia się z tego, raczej błogosławić trzeba było śmierć cichą i spokojną starej kobiety, nie przewidującej nieszczęścia przed nią zatajonego.

Gdy syn się urodził, Dominik prosił ją, by dole swoje połączyli.

— Dla dziecka, dla naszego dziecka, Agnieszko. Niech ono nie idzie na szpitalny garnuszek, na poniewierkę, jak szczenię wyrzucone.

Odrzekła krótko, z prostotą:

— Nie potrzebujesz prosić, ani niewolić.

Gdybyś pierwszy się nie odezwał, jabym sama nie inaczej ci powiedziała. Rozumiesz? Tylko dla dziecka.

Nie udawała. Kochanie, jeśli było jeszcze to już nie to. Zmysły, zrazu gwałtownie wyrwane z otulenia, w jakiem młodość smutna, szarzyzną przepojona, w pracy ciągłej uchodząca, je trzymała — zamilkły, zmartwiały od nieustannego ssania bólu i zgryzoty.

Nienawistnym on jej nie stał się, ale to raczej żałość była, którą wspólnie jego i siebie ogarniała, nie dość jednak mocna, by na pożycie takie poszła dla niego. A dla dziecka szła, nie namyślając się. To źdźbło życia małe, słabe i niemowne wkładało w płacz swój, w pisk żałosny — prośbę, wołanie, nakaz, by równie ojciec, jak matka byli przy niem. Niech go nie odstępują ci, co dali mu życie. Nawet złe, dzikie bestye kładą się wspólnie na straży swych małych. A że matka ściągnie na swą głowę urągania ludzkie, że wytykaną będzie — nie wie o tem to pisklę.

Odmieniła się Agnieszka. Hardość w nią weszła. Uczyła się nie dbać — co ludzie powiedzą, byle ona pełniła wszystko do niej należące. Nabrały jej oczy blasków ostrych,

a po czole snuł się cień, odpychający pytania, współczucia, natrętność ludzką.

— To co robię — robić muszę. Posłusznam memu Władysiowi — powtarzała sobie z posępną uciechą, zamykającą cały świat w tem jednem ździebełku.

Powtarzała również często i to jeszcze:

— Na żadne inne złe nie pójdę nigdy.

Było to pełnienie służby. Zrazu przy dzieciach i przy nim, potem, po latach siedmiu czy ośmiu — już tylko przy nim. Dzieci poumierały. Pozadzierżgane przez nie i przez czas węzły nabrały krzepkości stalowych ogniw — rodzice rozejść się już nie mogli.

Dominik chorzał. W fabryce z podźwignięcia nabył kalectwa ciężkiego i wstrętnego, które do pracy fizycznej niezdatnym prawie go czyniło. Lekka, odpowiednia robota nie trafiała się. Agnieszka z ochotą pracowała za dwoje, cierpliwa, prawie rada temu, że dzień, budzący ją z punktualnością dozorcy, nie przynosił jej nigdy najsłabszego promyka radości, ucieszenia się, swobodnego odetchnięcia. Przeciwnie nawet. Choroba sprawiła u Dominika dużą odmianę. Zgorzkniał, złym się stawał, ulegać poczynał ponęcie wódki.

Zwolna stawał się dla Agnieszki, czem Piotr był dla Joanny — istotą wymagającą roztoczenia nad nią opieki — tylko nie tak potulną, jak szewc. Miewał napady złości, miotania się; wódka pchała mu do ust wymysły, grube, ciężko uderzające słowa.

Wśród takiego położenia rzeczy stało się, iż Agnieszka straciła robotę w fabryce. Miesiąc i drugi tylko dorywczo coś nie coś zarobić mogła, nic stałego nie znajdując.

Bieda skradać się poczęła, rozlewać od progu ich izby, jak ta woda niegdyś, co przedostawszy się do suteryny, groziła Agnieszce: «zabiorę cię — poniosę cię nawet nie wiesz dokąd».

Ale ta pogróżka, z powiewem zimnego wiatru krążąca po izbie, napełniła kobietę oburzeniem.

— Nie prawda, nie poniesiesz mnie tam, dokąd nie zechcę. Do śmierci możesz mnie przywieść, do złego — nie.

Serce jednak trochę cierpło.

Raz, ona tylko co powróciła z półdniowej bieganiny, po bezowocnem dowiadywaniu się i wypraszaniu roboty. On już od godzin kilku przetrawiał w sobie złość pijacką, nasuwającą mu dziwaczne pretensye.

W izbie zimno — to jej wina. Zostawiła go samego na tyle godzin — czy to nie podłość. Musiał na czczo napić się wódki, nie przekąsając niczem — jeśli to go struło, czy nie ona winna.

Zajęta swemi myślami, nie otrząsnąwszy się jeszcze z gnębiącego wrażenia dzisiejszych zawodów, prawie go nie słuchała. Nie zwróciła uwagi na jego stan podniecony, na niezwykły wygląd, ani się domyślając, że tym razem wypił więcej, niż kiedykolwiek, że cała flaszka opróżniona, w kąt rzuconą była.

Żywo zakrzątnąwszy się około ognia, nie odzywała się wcale. Ot — zwykłe zrzędzenie głodnego z powodu nieprzygotowanej na czas strawy; dostanie jeść i uspokoi się.

Ale on podniecał siebie, usiłując rozbudzić w niej gniew.

Lata, drze trzewiki — po jakie licho? Czy można przymusić kogoś, żeby dał robotę, gdy jej nie ma lub dać nie chce. Trzewiki z nóg jej oblecą, zostanie bosówką — i otóż koniec karyery.

Słuchała z rosnącem zdumieniem.

— Co ty dziś wygadujesz?

Dziś? On już dawno zbiera się jej po-

wiedzieć, że nie może być dłużej na jej łasce i świat jej swoją osobą zawiązywać. Naturalnie. To musiało się jej naprzykrzyć. Mogliby się rozejść. Po rozwód do papieża nie potrzebują pisać.

— Co ty mówisz, czyś zwaryował! — krzyknęła już z rozjątrzeniem.

Wcale nie. On mówi jej z dobrego serca. Tak, tak — kobieta niebrzydka, oswobodzona od takiej kuli u nogi, jaką on jest, mogłaby nawet bez pracy opływać w lepszym bycie.

Osłupiała. Zrazu skołatana jej głowa nie mogła ogarnąć, pojąć tej mowy.

— Co wygadujesz, co wygadujesz?

Ale gdy nie odpowiadał, śmiejąc się chrapliwym, złym, udanym śmiechem, odrazu w zimnej jasności uprzytomniło jej się znaczenie jego słów. Chce się jej pozbyć i czyni to tak okrutnie.

Milcząc, z uczuciem śmiertelnego chłodu w piersiach, narzuciła chustkę i wybiegła.

XVII.

— Agnieszko, Agnieszko — przez pamięć dzieci naszych daruj mi, odpuść mi.

Słowa to rwały mu się w ustach, to więzły w gardle, to wylatywały szybkie, goniące się, w gorączkowych tchnieniach.

— Gdybyś wiedziała, com wycierpiał.

Mówił o męce tej nocy, o okropności przebudzenia, powrotu jasnej myśli z poczuciem sprawiedliwości i pamięcią wyrządzonej krzywdy. Chciał teraz jak najśpieszniej wypowiedzieć to wszystko, wyrzucić ze siebie, ale zmusiła go do umilknięcia oschłość w gardle i nagłe zwątpienie czy przekona ją, czy wzruszy.

Ból, kąsający duszę, wyrzuty, wstyd okrutny niepokój, targający nim aż do chwili, gdy wreszcie, po nieskończenie długiem przebieganiu ulic miasta, napotkał ją wlokącą się pod murem ustronnego zaułka, wszystko to wyżarło ślady widoczne na jego twarzy. Stał koło niej, nie śmiejąc ująć jej ręki, nędzny, z przybitym do ziemi wzrokiem, chwiejący się na nogach.

Westchnienie ulgi — jak jęk głębokie — wyszło mu z piersi, gdy uczuł pod ramieniem swem jej rękę. Pociągnęła go.

— Chodź, chodź.

Już pierwsze jego słowa i pierwsze na niego spojrzenie napełniły ją światłem i cie-

płem radości, która wszystkie utracone siły jej wróciła.

Więc on cierpiał. Więc to tylko gorzkość prześladującej ich doli i trujący opar wódki mówił jego ustami. Więc można żyć, nie wszystko skończone. Przed chwilą jeszcze tylko jedno powtarzało się w jej głowie odrętwiałej: «Umrzeć — do niego nie wrócę — na złe nie pójdę. Cóż zostaje — umrzeć». Lecz oto życie wraca, rozlewa się po żyłach, z których krew zda się już była uszła. Jeszcze się nie dadzą losowi, będą walczyli.

Prędzej, prędzej do domu.

...Przy blasku małej lampki, tak dziwnie tego wieczora przyjaznym, rzekła Agnieszka:

— Wiesz ty, kto był ze mną tam, między pustymi straganami? Taka nieszczęśliwa, uliczna kobieta. Mówiła mi, że obrzydzenie do samej siebie chleba jej przełknąć nie daje, odpycha jej garnek ze strawą od ust. To co robi — robi dla swojej córki sparaliżowanej, od pół roku w szpitalu leżącej. Jej nosi lepsze jadło a sobie na opłacenie kąta żałuje.

Wstrząsnęli się oboje. Spotkały się ich spojrzenia a mieli w nich jedno zaprzysiężenie.

* * *

Słuchajcie ludzie dobrzy, cnotliwi, posiadający serca tkliwe. Proszę was, jeśli los zdarzy, że zejdziecie tych dwoje wtedy, kiedy stać oni będą nad nurtem rzeki, gdy w oczach ich dostrzeżecie nieruchomość i taką przygasłość posępną, jaką mają toczące się fale w dniu pochmurnym — cofnijcie wasze dłonie, zostawcie dla innych litość waszą, a im nie wzbraniajcie umrzeć. Śmierć bowiem pozwoli im zachować to, co utraciliby, gdyby dzień nielitościwie nazajutrz ich obudził.

KONIEC.

SPIS RZECZY.